PIERWIOSNEK

NOWOROCZNIK

na rok

1839.

[illegible] F. [illegible] Warsza[illegible]

PIERWIOSNEK.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

PIERWIOSNEK

Noworocznik

Na Rok 1839.

złożony z pism samych Dam

ZEBRANY

przez **Paulinę K.....**

Ozdobiony dwiema Rycinami.

Warszawa

DRUKIEM J. WRÓBLEWSKIEGO

KRAKOWSKIE-PRZEDM: N° 369.

1839.

PIERWIOSNEK.

Kiedy nowego światła promienie
Zbudziły ziemię uśpioną,
A lubéj wiosny czarowne tchnienie
Rozgrzało skrzepłe jéj łono;
Wtedy, sam jeden, słaby, lękliwy,
W lekkiém i skromném odzieniu,
Zeszedł kwiateczek wśród nagiéj niwy,
Jak blada gwiazdka wśród cieniu.
Ciekawi tłumém cisną się w koło
Zwabieni nowym widokiem,
A kwiatek schyla nieśmiałe czoło
Chcąc przed badawczym ujść wzrokiém;

Lecz próżno, próżno! tysiączne zdania
Wnet obok niego się wznoszą;
Jeden go chwali, drugi przygania,
Trzeci nań patrzy z rozkoszą;
Ten wątłą główkę starannie wspiera,
Ten barwę zbyt lichą mieni,
Ten drobne listki z pyłu ociera;
Ów kopie aż do korzeni,
Radby je zbadać, zliczyć, wymierzyć,
Ostrém narzędziem wygładzić,
I by się zbytnio nie mogły szerzyć,
W kruszcowe formy osadzić.
A kwiatek?... poznał jak to wśród świata,
Ile przykrości jest w życiu,
I pewno teraz przez długie lata
Zechce pozostać w ukryciu.
Nie! ledwie drugie stopniały szrony
Już świeżą skroń swą wychyla,
I chociaż jeszcze trwożny spłoniony
Nowym się wdziękiem umila.
Czemuż?... bo były i w zeszłym roku
Serca co kwiat ten pojęły,
Z uśmiechem w twarzy, z tkliwością w oku
Pierwszy dar wiosny przyjęły,

Co go zródlaną skrapiając wodą
Piosenki nócili wieszcze;
Ci niech się jego cieszą urodą,
Dla nich on zeszedł raz jeszcze.

Paulina K.....

Ludwika z Czółnowa.

(Z RYCINĄ.)

JASKRAWE światło zachodzącego słońca powlokło czerwoną łuną niskie słomiane dachy *Czółnowa*, gdzie pod troskliwém okiem starego stryja jak kwjat wiosenny wzrastała młoda Ludwika.

Dziewczę dostrzegłszy dawno oczekiwanego blasku postawiło w kącie kołowrotek, i wybiegło przed plebanję, bo Lu-

dwika była synowicą plebana, co przez lat dwadzieścia dzielił sercem smutki i uciechy wszystkich mieszkańców téj wioski.

Spójrzała ku wschodowi, stare wieże zamku dziedzica stały jak w ogniu, blask słonecznych promieni odbijał się o potrzaskane szyby, jakby o świetne zwierciadła, i mchem porosłym zwaliskom nadawał postać złocistego pałacu; jedno tylko okno było otwarte, a wśród niego ukazywała się niekiedy piękna, jasnemi włosami zwieńczona głowa młodzieńca. Ludwika patrzyła chwilę w to okno, potém z uśmiechem wioskę przebyła, z każdéj chaty powitano ją miłém wejrzeniém, lub przyjaźném słowém, ona każdemu uprzéjmie ukłon oddała, minęła chaty, przebyła pola, i zatrzymała się pod lasem, nad brzegiem rozległego jeziora. W krótce nadbiegł jasno włosy młodzieniec, powitał serdecznie dziewczynę, i oboje ująwszy się pod ręce weszli do lasu.

— Jakże cię długo nie było Romanie! rzekła Ludwika: jak mi też tęschno było

bez ciebie, jak niecierpliwie wyglądałam dzisiéjszego wieczora.... a kiedy twoje okno zobaczyłam otwartém jak mi też serce biło!

Młodzieniec ścisnął rękę Ludwiki.

— Nie prawdaż? dodała: że teraz przyjechałeś na długo?

— Na dwa dni tylko Ludwisiu.

— Na dwa dni!... a potém?

— Potém jadę znów do stolicy.

Ludwika się zapłoniła.

— O! wiem już, rzekła z cicha: pewnie pozwala....

— Rozkazuje, droga Ludwisiu, ale tą razą bardzo chętnie jego rozkaz wykonam.

— Wierzę ci rzekła tkliwie dziewica, ale jakimże, cudem tak się ten twój opiekun odmienił, że ci każe....

— Na sześć lat jechać za granicę! ja sam nie mogę wyiść z podziwienia.

— Co! zapytała ze drżeniem Ludwika:

— O! nie posiadam się z radości; wiesz jak pragnąłem wydoskonalić się w malarstwie, i rozwinąć talent, który w so-

bie czuję; pamiętasz jak mi serce biło na myśl że kiedyś wielkim mistrzem zostanę, że moje imię stanie w wielkich ludzi rzędzie!.... teraz jestem na drodze wiodącéj do tego celu!... lecz cóż to? ty się widzę mojém szczęściem nie cieszysz?...

— O! bo ja bym wolała żebyś tu został Romanie.

— I żył z sowami i nietoperzami w zamku moich przodków? cóż bym tu robił? chyba bym patrzył na dymiące kominy wioski, i rozmawiał z wieśniakami, gdyby im czasu zbywało.

Ludwika z zadziwieniem patrzyła na młodzieńca, wyrazy jego nie mogły się z jéj przekonaniem pogodzić, nareszcie rzekła z przymuszonym uśmiechem:

— Ty pewnie żartujesz Romanie?

— Nie żartuję Ludwisiu! nie! jak cię kocham; wyraz ten zimno i jakby ze zwyczaju wymówiony rozdrażnił serce dziewczęcia, łzy puściły się z jéj oczu:

— Ty mnie kochasz! zawołała z gorzkim wyrzutem: kochasz mnie! a na sześć

lat wyjeżdżasz, i cieszysz się, i mnie cieszyć się każesz.....

—Ależ droga Ludwisiu, zgodzisz się na to jeżeli chcesz mego szczęścia, bo powiedz sama po cóż bym tu został? żeby zagrzebać tę iskrę gienjuszu, którą w mojéj duszy czuję? jakaż mnie tu przyszłość czeka? jakież mógł bym tworzyć widoki?...

Ludwika raz jeszcze z niedowierzaniém spójrzała na Romana;

—Ja ciebie nie rozumiém! powiedziała niechętnie: bo albo ja, albo ty musiałeś pamięć utracić. Zapomniałeś, kiedyśmy się przed trzema miesiącami w tém samém miéjscu żegnali, jakie układałeś widoki, jaką mnie przyszłością łudziłeś?....

—Doprawdy nie pamiętam, ale sądzę że moje widoki musiały bydź zupełnie dzisiéjszym podobne.

—Dopomogę więc twojéj pamięci, kiedy cię tak zupełnie odstąpiła; wyjechałeś do miasta chcąc prosić opiekuna, aby ci tu osiąść dozwolił...

— Osiąść! rzekł Roman wstrząsając głową: prawda, jedno z nas straciło pamięć, ale to nie ja.

— Jak to! zawołała obrażona dziewica, nie pamiętasz więc że zamyślałeś pojąć żonę, żyć ze szczupłych twych dochodów, zająć się gospodarstwem, żeby dla nas obojga starczyło.... nie pamiętasz że mieliśmy mieszkać w téj izbie zamkowej co dotąd całą została? przez dzień, ty byś malował, ja bym przędła, szyła, chodziła koło domu, a w wieczór, o! jakby to dobrze było siedzićć spokojnie przed kominkiem, i czytać, lub z dobrym stryjem rozmawiać!...

W miarę jak Ludwika mówiła wzrok jéj tkliwszy przybierał wyraz, w głosie przebijało się głębokie uczucie, że taki obraz za prawdziwe uważała szczęście, i żal, że to wszystko tak prędko zniknąć miało.

Roman za każdém słowem dziewicy smutniéjszą przybierał postać, a gdy mówić przestała, uderzył się ręką w czoło, i rzekł;

— Daruj Ludwiko! daruj! ja zbłądziłem; ale zbłądziłem jak ten co we śnie głośno mówi— czułem że mi czegoś do szczęścia potrzeba, lecz czémby zapełnić próżnię w mojém sercu sam niewiedziałem. Twoja dobroć, tkliwość, rozlała nieznany wdzięk na moje życie, sądziłem że połączenie się z tobą zapewni mi szczęście; lecz teraz czuję że mnie nie miłości brakuje; zwiódłem się Ludwiko, i z boleścią widzę że bardziéj jeszcze zwiódłem ciebie!

Potok łez spłynął po bladém licu Ludwiki, wzruszył się niemi Roman i rzekł tkliwie:

Wierz mi Ludwiko, gdybym kiedy miał kochać kobietę, ty byś nią była; lecz ja nie chcę, nie mogę bydź zwyczajnym człowiekiem; mnie nie podobna przywiązać się do domu, do żony; — moim domem świat kochanką sztuka, żoną sława będzie, — imię moje rozéjdzie się po całéj ziemi, najsławniéjsi mistrze cześć i uwielbienie mi złożą; chwała, hołdy, bogactwa staną się moim udziałem!... wtedy... dodał,

widząc że Ludwika patrzy nań z boleścią: w tedy dopiero wrócę, odkupię Czółnów..

— Alboż go przedać myślisz?

— Nie inaczéj; za cóż bym pierwszą podróż odprawił?... wtedy mówię odkupię wioskę, odbuduję zamek, daruję go tobie, obsypię cię bogactwy, żebyś nie mogła żałować iż przez chwilę byłaś moją przyjaciołką.

— Dziękuję! rzekła dumnie dziewica: nie bogactw, nie wielkości, twego serca chciałam! — bądź zdrów! bodajbyś nigdy dzisiéjszych słów nie żałował.

Biała jéj suknia mignęła między drzewami, zaszeleściała jeszcze nad jeziorem i zniknęła w niskich drzwiach plebanii.

Nazajutrz, na zamkowym dziedzieńcu zakładano konie do bryczki i pakowano na nią tłómoki; bo Roman wyjeżdżał.

Przed plebanią cisnęły się kobiety i wiejskie dziewczęta, na każdéj twarzy ciężki malował się smutek, bo Lndwika niebezpieczną złożona była chorobą.

Raz jeszcze zachód spłonął ognistém światłem słońca, promienie jego oświeciły wielki kanał w Wenecyi, i długie rzucając cienie zdawały się z żalém opuszczać tę wspaniałą wód córę, ten przybytek przepychu, i pomnik przeszłéj wielkości— gdy ostatni promień zniknął na widnokręgu, przejrzyste wody kanału zaczęły się z wolna pokrywać mnóstwem gondoł; każda z nich różno barwnemi ozdobiona wstęgami, wśród każdéj wesołe płynęło grono; tu śmiechy i żarty tu piosnki przewoźników, tu dźwięk gitary, lub przeciągłe tony fletu, tam nakoniec dobrana orkiestra wykonywając wielkie sławnych mistrzów dzieła, ożywiała ten obraz pełen ruchu i rozmaitości; tu mały przykryty statek porąc szybko wody unosił przed wzrokiem ciekawych obraz szczęścia lub smutku stroniących od świata, tam kilka gondół witając się przyjaźnie tworzyły jedno grono; dodajmy do tego wonne Włoch powietrze, i ten mrok lekki, co Wenecyę po zachodzie słońca okrywa, plusk wioseł, lekkie kołysanie łodzi, a wyznamy

sami, że życie w Wenecyi milszém jest jak gdziekolwiek.

Z przed Willi stojącéj na małéj wśród kanału wysepce, odbiła niewielka lecz świetna gondoła; białe z niebieskiém wstęgi powiewały z lekkiego masztu, dwóch przewoźników w białém jak śnieg odzieniu, z niebieskiemi pasami, od niechcenia uderzali wiosłami, a na drugim końcu statku siedziała młoda jeszcze i piękna niewiasta. Biała suknia obwiewała wspaniałą jéj postać, kruczych włosów kędziory spływały na snieżną szyję, z czarnych oczu płonął ogień dowcipu, i genjuszu, a lekka koronkowa zasłona zarzucona na głowę, unosząc się z miłym wiatru powiewem, łagodziła blask, co z całéj jaśniał postawy. Statek jéj dumnie pruł wody, sam jeden lekki, wspaniały, śmiało wpłynął w tłum gondół; wnet najpiękniejsze z nich zaczęły opuszczać dotychczasowe towarzystwa, i jakby na możnego władcy skinienie, w jednéj prawie chwili liczny orszak otoczył statek wspaniałéj niewiasty. Bogacze, poe-

ci, artyści, książęta, wszystko to ubiegało się o jeden uśmiech, jedno spójrzenie wielbionéj Donny Luizy.

Któż ona była? można, bogata Hrabina Montebello; przed pięcioma laty przybyła do Wenecyi z starym chorowitym małżonkiem, wkrótce została wdową, i odtąd co rok trzy miesiące przepędza na łonie pysznéj Adryjatyku córy; resztę poświęca podróżom, gdziekolwiek się zatrzyma, sieje blask, przepych, i powszechne wznieca zdumienie. Jéj salon zawsze i wszędzie jest przybytkiém wdzięków i genjuszu, wszystko co jakiekolwiek znaczenie posiada, pragnie je uświęcić w towarzystwie Donny Luizy. Malarz, poeta, rzeźbiarz, wirtuoz, filozof, każdy z zaufaniem ku niéj bieży; ona każdego pojmie, zrozumie, błędne mniemanie sprostuje, zniechęconego pocieszy, słowem, spójrzeniem, uśpionego ducha obudzi, a kto ją raz słyszał poruszającą dzwięczne stróny harfy lub fortepianu, kto raz widział płomień ożywiający jéj oko, gdy świeże usta w kwiecistéj mowie wyrażały

uczucia władające jéj duszą, temu dość były by wierzyć, że ta kobieta wyższą jest nad płeć swoją, ze więcéj niebieskiego ognia posiada, niż go śmiertelne zwykły dostawać w podziele. Na cóż więc badać z kąd przybyła, gdzie jéj kraj, rodzina, kiedy sama jéj obecność najsmutniejsze miéjsce w świątynię szczęścia zamienia.

Wiedziano tylko, że zwiedziła Francyę, Hiszpanję, że zna mgliste Brytanii niebo, i że głęboko w sercu nosi wspomnienie jednego z północnych krajów Europy.

Do ciemnéj nocy trwała przejażdżka po kanale, ożywiona żywą dowcipną rozmową, żartami, śmiechem, pustą wesołością; Donna Luiza nigdy jeszcze tak miłą, tak uprzéjmą nie była, w nie jedno serce radość wstąpiła, w nie jednéj głowie dumne powstały pomysły, lecz najszczęśliwszym, najdumniéjszym, był Maestro Romano, malarz, którego imię sława po całéj Europie rozniosła, bo łódź jego płynęła najbliżéj statku Luizy, bo z nim naj-

więcéj mówiła, do niego uśmiechała się najczęściéj.

Nakoniec gondoła zatrzymała się u brzegu willi, Donna Luiza powstała, białą chustką pożegnała towarzyszącą jéj młodzież, i wsparłszy się na ręku Romana wysiadła na ląd. Z żalem i zazdrością w sercu patrzyli pozostali na niknącą w odległości parę, nigdy dotąd Luiza nie dawała nikomu nad innymi pierwszeństwa, dziś dopiero, z widocznym namysłem Romana wybrała, a ta łaska co umysł jego aż pod niebo wzniosła, kilkunastu przyjaciół, w niechętnych mu zmieniła.

Blada lampa oświecała pyszny salon, w którym Donna Luiza wsparta na miękkiéj aksamitnéj sofie słuchała ognistéj mowy Romana, malarz wielbił czarodziéjkę, kochał ją całą mocą wzniosłéj duszy, a każdy wyraz dźwięcznéj południowéj mowy, malował głębokość uczucia, co całą jego owładnęło istotę.

Luiza patrzyła nań z uśmiechem, a gdy przestał mówić, podała mu rękę i rzekła ojczystą obójga mową:

— Romanie! upoiło cię ułudne Włoch niebo; zbudź się, nie powtarzaj wyrazów niezgodnych z twoją ani moją myślą.

— Tyś polka! krzyknął zdumiony Roman, ty mówisz moim językiem!

— Tak! jam nawet Ludwika z Czółnowa, ta sama, któréj nad brzegiém jeziora te pamiętne rzekłeś słowa: — „mnie świat domem, sztuka kochanką, a żoną sława" — Pojęłam je Romanie, pojęłam choć późno i odtąd za niezmienne przybrałam godło.

Malarz zakrył twarz rękoma, przeszłość stanęła mu w pamięci; tak! zawołał, ty musisz bydź Ludwiką, bo nikt prócz niéj nie słyszał tych bluźnierczych wyrazów lecz,.... lecz...

Lecz nie podobną zdaje ci się przemiana którą we mnie widzisz; opowiem ci całe moje życie, a zrozumiesz jakim sposobem uznałam słuszność twego zdania-

Wkrótce po twoim wyjeździe z Czółnowa mój stryj umarł, byłam sama, opuszczona, gdy nabywca twego zamku przybył go zwiedzić: był to bogaty Hrabia, miał dwie córki, te ulitowały się nad moiém sieroctwem i przybrały biedną Ludwikę niejako za towarzyszkę. — Wyjechaliśmy w podróż kilka lat trwać mającą, przebywszy Niemcy, Szwajcarję, Francyę, zatrzymaliśmy się w Paryżu; ciągłe roztargnienia, rozmaite widoki zmieniły mój umysł i odbiegła mnie pusta dziecinna myśl, którą się niegdyś karmiłam, że i w chacie szczęśliwą bydź można.

Roman z niedowierzaniem patrzył na Luizę.

— Ty szydzisz ze mnie! rzekł z boleścią.

— Bynajmniéj: słuchaj daléj — W liczném bywając towarzystwie, wykształciłam się znacznie, hrabianki nierozłączały się zemną ani na chwilę, prowadziły wszędzie z sobą, pozwalały czytać wiele, a chci-

wy mój umysł chwytał wszystko, co piękném i wzniosłém było.

Mieliśmy zimę przepędzić w Paryżu; w wśród mnóstwa osób przedstawionych hrabiankom, był hrabia Montebello, sędziwy i bogaty Hiszpan; moja postać przypomniała mu kobiety rodzinnego kraju, to wspomnienie odmłodziło jego umysł, żądał mojéj ręki i otrzymał ją.

— Szczęśliwy! zawołał Roman.

— Bydź może; odrzekła z uśmiechem Luiza: nie kochałam go, ale był dobrym, bogatym, pozwalał mi na wszystko, byłam mu więc wdzięczną jak ojcu; — osiedliśmy w pysznym zamku hrabiego w okolicach Sewilli; śliczne widoki, pomniki sztuki, zwaliska Maurytańskich pałaców, wszystko to unosiło moją duszę, i czułam że można wielbić sztukę jak naturę, — lecz jedna myśl mąciła moją spokojność; mogę ci ją objawić Romanie, bo już dawno opuściła mój umysł — była to myśl o tobie, o twojéj miłości, którą przez chwilę posiadać sądziłam: o szczęściu jakiego byś-

my razem doznawać mogli;— ta myśl zatruła mi życie, na łonie bogactw i zbytku czułam próżnię tęschnotę, zdawało mi się że twoje serce zdoła jedynie dopełnić miary mojéj pomyślności; — lecz wnet stawały mi w pamięci twe ostatnie słowa, i duma zajmowała miéjsce tęschnoty, — on mógł pokochać sztukę, poślubić sławę, myślałam sobie; i szczęśliwy! czemuż bym i ja tego nie potrafiła?

Zajęłam się nauką, otoczyłam się uczonymi, artystami, zaczęłam się uczyć muzyki, spiewu, malarstwa; jasne Hiszpanii niebo rozwijało szybko moje zdolności; Hrabia Montebello szczęśliwy że mu byłam wierną i niegoniłam za uciechami świata, w których by mi dla słabości nie mógł towarzyszyć, obsypywał mię skarbami; pałac jego zmienił się częścią w Muzeum, częścią w Akademję.—Najdroższe pomniki, rzeźby i malarstwa, napełniły jego galerje, ogromna biblioteka zajęła obszerny kiosk w ogrodzie —najsławniejsi mężowie zwabieni moją młodością, żądzą nauk, i wspaniałością

hrabiego, obierali sobie u nas kilkomiesięczne mieszkanie, i cóż dziwnego, że siedm lat takiego towarzystwa zmieniło prostą Ludwikę w wytworną Donnę Luizę?—Lecz i dusza moja zmieniła się do niepoznania; błahe urojenia młodości znikły przed wielką, namiętną miłością, sztuki i mądrości; a ilekroć się wznoszę do krainy szczytnych utworów gienjuszu, ilekroć czuję wyższość tego szczęścia, jakiego dziś doznaję, błogosławię cię Romanie, żeś mi nie dozwolił zakopać się w starym twoim zamku, przy krośnach lub kołowrotku.

Roman z wyrazem najmocniejszego cierpienia słuchał słów Luizy, a gdy skończyła, rzekł z goryczą:

— O! ja zasłużyłem na tę karę! tyś mi niosła czyste, tkliwe, kochające serce, a jam cię odtrącił; — jam się przeklął obierając zamiast domu wieczne i przykre tułactwo; za kochankę dziwaczną, niewdzięczną sztukę; poślubiając tę czczą a jednak tłoczącą marę, którą nie baczni ludzie sławą nazywają.— Ale Ludwiko! gdybyś wiedziała

jak ja gorzko opłakałem to szczęście, którego-gom się wyrzekł, jak otoczony wszystkiem co w dniach ślepéj młodości pomyślnością zwałem, wzdychałem za tą odartą izbą w Czółnowskim zamku, za twoim miłym głosem, za tym kominkiem przy którym mieliśmy siadać oboje...

— Zbudź się Romanie! raz jeszcze rzekła Luiza: ty marzysz!

— Marzę! tak, ale jeżeli zechcesz, te marzenia mogą się w rzeczywistość zamienić.— Ty mnie zwodzisz, zwodzisz sama siebie; twoja tkliwa niewinna dusza nie mogła utracić pierwotnéj swojéj postaci, twoje serce nie mogło z obojętnieć zupełnie; Ludwiko! wróć w dawne czasy! kochaj mnie jak w Czółnowie kochałaś, a powiem, że i na ziemi szczęśliwym bydź można.

Rozśmiała się Luiza; ten śmiech zimny, szyderczy, ściął lodem serce Romana; zamilkł, i z rospaczą patrzył w te piękne lica, w których ciągle jaśniał ogień dowcipu, lecz gdzie ani iskierki tkliwości nie było.

—Znów cię nie rozumiem Romanie! — trzynaście lat minęło od czasu, gdy cię kochałam; zmieniłam się tyle, że nie tylko wzniecić w sobie na nowo tego uczucia, lecz nawet opisać bym go nieumiała; potém... pamiętam że dopóki ono trwało, cierpiałam; gdy zgasło zostałam spokojną i szczęśliwą; — teraz więc choćby to podobném było, nie zmienię mojego szczęścia; bo cóżby miłość przydadź mu mogła?— mam dostatki, uwielbienie, sławę, niepodległość, dla czegóż miałabym sobie nowe narzucać więzy?.. żeby cię widzieć? wszak dom mój zawsze otwarty, wszak ciebie miléj od innych przyjmuję? możesz przyjść w każdéj chwili, jeżeli ci mojéj obecności potrzeba.

—Ludwiko! oh Ludwiko, ty tak myśleć nie możesz!....

—Nie mogę?. powiem ci najważniejszą przyczynę, dla któréj nigdy kochać nie będę; człowiek zwyczajny nie zwróci mojéj uwagi, taki zaś którego bym z daleka czcić i wielbić mogła, stanąwszy blisko mnie,

byłby moim wrogiem.— mógłby bydź wyższym odemnie w jakimkolwiek względzie, sława jego przyćmiła by moją, a komu ja sławy pozazdroszczę, temu się i cała moja nienawiść w podziele dostanie, ty nie wiesz Romanie, dodała z uniesieniem, jak ja takich ludzi nienawidzić ć mogę — po hiszpańsku!

Roman załamał ręce; nigdy podobnéj niewidział istoty, nigdy kobieta tak wzniosła, i tak poniżona razem nie stanęła przed jego oczyma, — a jednak ta kobieta miała kiedyś duszę, miała czułe serce! straciła je bo go kochała, bo zapomnieć chciała niewdzięcznika; myśl ta jak ognista strzała raniła Romana—Luiza patrzyła na niego spokojnie, a widząc że powstaje i chce odejść, rzekła:

— Podzielasz przecięż moje zdanie? wyrzekasz się dziwnego żądania, aby bydź odemnie kochanym? — będziemy więc mogli żyć przez czas niejaki jak przyjaciele;— przystajesz?... podała mu rękę, lecz Roman jéj nie ujął, ukłonił się i wyszedł.—Ona poglądała za nim z uśmiechem, wsparła się

potém wygodniéj na sofie i podumawszy chwilę zasnęła.

Już lube światło jutrzenki zwiastowało powrót słońca, gdy się Donna Luiza z głębokiego ocknęła uśpienia; — powstała, przechodząc koło źwierciadła poprawiła wstęgi u sukni i zasłonę na głowie, zbliżyła się do okna, utopiła wzrok w gładkę powierzchnię kanału, i w lekkie morskie wały z którémi się łączył— w dali stał okręt, mnóstwo majtków snuło się po jego pokładzie, po linach, i masztach, lekkie żagle na wiatr puszczając — nakoniec ryknęło działo; raz, drugi, i trzeci, gondoły niosły ze wszech stron podróżnych i pakunek, okręt odpływał.—Luiza wzięła perspektywę, i wśród tego tłumu nieznajomych, bystre jéj oko dostrzegło Maestra Romana, jak pędem ku statkowi zmierzał; spuszczono sznurową drabinę, w skoczył na jéj szczeble, i wnet stał na pokładzie.

—Gdzież on płynie? rzekła Luiza i jakieś do smutku podobne uczucie ścisnęło jéj serce.

W téj chwili wszedł stary sługa hrabiny, ukłonił się z uszanowaniem, i oddał jéj pismo — był to list Romana.

Ludwiko!

„Zbłądziłem, lecz nie myślałem aby kiedykolwiek błąd mój tak okropną odnieść miał karę, — ty, coś mnie kiedyś tak mocno, tak szczerze kochała, ty mi dziś zimno, spokojnie powiedzieć możesz, że w twojém sercu dla miłości miéjsca nie ma, że sława twojem bostwem! — i ja tak bluźniłem, alem ja był młody, nie znałem jak znikomą jest sława, jak błogą jest miłość; a ty, kobieta, co znasz ten cień zwodniczy, co za nim od lat tylu gonisz, i jeszcześ nie syta, o ty nie masz serca! Pozwalasz mi się widywać, pozwalasz rozmawiać z sobą, chcesz bydź moją przyjaciółką, dopóki moja gwiazda two-

jéj ćmić nie zacznie..... Nie chcę tego układu Ludwiko! nie mógłbym patrzéć obojętnie na tę którą tak wielbię; nie zniósłbym gdyby memu sercu twój dowcip tylko odpowiadał.

„Żegnam cię więc; nie byłem jeszcze w Szwecyi, jadę tam, może lody tego kraju ostudzą mi duszę; — lecz jeśli kiedy znudzona blaskiem, i syta próżnéj sławy, spójrzysz tęschnie w koło siebie, a wzrok twój przyjaźnego nie spotka wéjrzenia, obudzone serce uczucia nie znajdzie — pomyśl w tedy Ludwiko, że mogłaś bydź szczęśliwą, kochaną, mogłaś a niechciałaś.”—

Zamyśliła się Donna Luiza; spójrzała potém ku morzu, okręt z rozpiętemi żaglami znikał z przed jéj oczu. Rozśmiała się, a w wieczór łódź jéj znów płynęła po kanale, znów ją świetny orszak otaczał; — lecz w dziesięć lat potém, zamek Czółnowski należał do hrabiny Montebello; najmilszém jéj siedliskiem była izba Romana, najmilszą przechadzką lasek nad jeziorem; — usu-

nęła się zupełnie od świata, i głęboki smutek osiadł na piękném jeszcze jéj licu.

Czyliż by się sprawdziło przepowiedzenie Romana? czyż blask i sława nie starczą do szczęścia kobiety?

Alina Sielska.



JA NIEWIERZĘ.

PRECZ szalona z myślą twoją
Że jest niebo na tym świecie.
Bezrozumne, słabe dziecię!
Z kąd marzenia te się roją?
Czyżeś kiedy raj widziała?
Czyżeś kiedy była w raju?
W pierwszym życia twego Maju
Czyś czystą roskosz zaznała?....
Nigdy, nigdy! bo jeżeli
Szczęście czasem twarz umili,
Los zawistny w jednéj chwili
Już na zawsze z nim nas dzieli.

O! ja dawniéj w duszy tkliwéj
Śliczny go obraz stworzyłam,
W uroczą szatę uwiłam
W wyobraźni młodéj, żywéj.
Jam przyszłość zasłała kwiatem,
W świeże barwy ją ubrałam,
J tam zawsze, zawsze miałam,
Bujać sobie po nad światem;
Bydź z daleka od tych ludzi
Których zimna jak lód dusza
Lube marzenia zagłusza,
Najsłodsze uczucia studzi.
I jedną, jedną istotę
Chciałam zabrać w kraj ten boski
W piękną tylko strojną cnotę.
Tam od ziemskiéj wolni troski
Żyć mieliśmy długie chwile,
Każdą myśl naszą podzielać,
Jedną duszę w drugą przelać,
A wśród szczęścia, uciech tyle
Nie wracać nigdy do ludzi.
Lecz to marzenie szalone
W niewieściéj głowie stworzone,
Już mnie więcéj nie ułudzi.

W żadne szczęście nie uwierzę,
W żadne nie wierzę uciechy,
Zimném okiem prawdy, mierzę
Dziecinne świata uśmiechy;
Czasem się z niemi zaśmieję,
Lecz to jest uśmiech zdradliwy,
Dziki, obłudny, złośliwy,
Którym urągam nadzieję.
Nadzieję, co jeszcze zdoła
Z anielskim lubym urokiem
Z tém tkliwém współuczcia okiem
Udawać postać anioła:
Przed któréj wzniosłe Świątynie
Biegą zapalone tłumy
Rzuciwszy z dala rozumy
By wielbić swoją Boginię
By dla niéj ołtarze stawiać.
A ona za zbytnią wiarę
Słuszną wymierza im karę,
Lubi im serca zakrwawiać.

Ha! to bóstwo, znać człowieka
Musi w sobie mieć zarody.
Bo gdy jeszcze umysł młody
Co przyszłośći nie docieka,

Młoda dusza która czuje
Potrzebę czystéj przyjaźni,
Z świętą wiarą, bez bojaźni
W niéj błogą przyszłość rokuje:
Gdy wybierze przyjaciela,
Jemu wszystkie myśli tchnieuia,
Smutek, radość, i cierpienia
Z ufnością dziecka udziela:
Pewnie sądzi że w nagrodę
Przyjaźń najtkliwszą odbierze;
Już się cieszy serce młode,
Lecz ja temu nie uwierzę.
Dla mnie wszystko zwodne mary
Przyjaźń, miłość lub nadzieje,
Ja z pogardą z nich się śmieję,
Tym trzem bóstwom nie dam wiary.

Józefa P.......a

Nadzieja w Bogu.

(z Wiktora Hugo.)

Jutro! ten wyraz jutro, niech będzie wyznaniem
Żeś ufność złożył w Bogu; że wierzysz przyszłości.
Miéj nadzieję! i z każdém jutrzenki powstaniem
Bądź gotów do modlitwy, jak Bóg do litości!

Ty! co z własnéj swéj winy jesteś nieszczęśliwym
Klęknij ze mną w pokorze przed Boga obliczem!
On rozdawszy swą łaskę niewinnym, cnotliwym,
I żałujących pewno nie odprawi z niczém.

Paulina K.....

PTASZEK POSŁAŃCEM.

Poleć ptaszku w tamtą stronę,
Gdzie pod laskiem rzeczka płynie,
Kędy wzgórza ubarwione,
I ziółka wonią w dolinie.
Nie zabłądzisz ptaszku mały,
Gdy miniesz lasy posępne
Dzikie jary, nagie skały,
I urwiska niedostępne.
Patrz! zasypia skwarne słońce,
Pospiesz! bo czas szybko leci,
Wnet zabłyśnie gwiazd tysiące
I blady księżyc zaświeci.

Gdy przy lubym jego blasku
Poznasz te błonia urocze,
I jasną zieloność lasku,
I wód błękitnych przezrocze:
Spocznij ptaszku ulubiony,
Ukryj się w gałązek cieniu,
I słuchaj czy tkliwe tony
Nie ozwą się w oddaleniu.
Lecz gdy ucho twe dosłyszy
Że w nich imię brzmi nieznane,
A téj co cierpi w zaciszy
Już od dawna zapomniane.
Wracaj, ah wracaj niestety,
Twém pieniem ciesz mię w cierpieniu,
Bo wszak udziałém kobiety
Płakać w najgłębszém milczeniu.

Prowidencya z Zawiszów Mierzyńska.



WYJĄTEK Z DZIEŁKA

POD TYTUŁEM

ŚLUBNY UPOMINEK.

Czém się Kobieta zajmować powinna?

JAK to nieznośnie mówi nie raz młoda *pani domu*, która pragnie nowemu gospodarstwu sama przewodniczyć, lecz nie rada by dla tego zaniedbać nauk i talentów z wielkim kosztem i pracą nabytych; jak to

nieznośnie, kiedy mnie od zajmującéj książki lub sonaty, do kuchni wzywają!

— Jak to niegodnie wyższego umysłu, takiémi się drobnostkami zajmować; mówi druga.

Błądzą obie; pożyteczne zatrudnienie nie tylko znośném lecz i miłém bydź powinno, a nie ma drobnostek w oczach rozsądnéj kobiety. Dzieło jéj ręce powierzone nie powinno bydź podobném do owego malowidła *al fresco*, które w mocnych grubych rysach obrany przedmiot wystawia, lecz niechaj jak *mozajka* z drobnych a zgodnych cząsteczek się składa, niechaj wszystkie tak się z sobą zręcznie i ściśle łączą, aby ich kształt i barwa nie uderzały oka z osobna, lecz tworzyły pełną wdzięku i trwałości całość.

Zajęcie się domem jest obowiązkiem każdéj, szczególniéj zamężnéj kobiety; lecz niech gospodyni nie wchodzi w drogę matce, żonie, niech nie zawadza przyjaciółce i miłéj towarzyszce; jak jest przyjemnie patrzéć na kobietę kierującą zręcznie gospo-

darstwem, tak niemiłe sprawia wrażenie widok krzątającéj się wiecznie, gdy tymczasem mąż coby w miłéj z nią rozmowie rad odświeżyć umysł nużącą pracą strudzony, samotnie nudzić się musi, lub za domem szukać zabawy; kiedy w ładnym, z wytworną czystością utrzymanym salonie, przed zastawionym przysmaczkami stołem, ziewają goście na zabawę niby zaproszeni; kiedy nakoniec dzieci, ten główny cel starań i zabiegów matki, obcemu powierzone staraniu, ledwie ją przy śniadaniu lub obiedzie widzą.

Wiele jest takich kobiet; lecz nie mała i tych liczba, które unikając jednéj ostateczności wpadają w drugą, które zajęcie się domem za nudne, niepotrzebne, poniżające nawet uważają; którym się zdaje że nie podobna zatrudnień umysłowych z mechanicznémi pogodzić; a jednak jakże to łatwo!

W nie zbyt wielkim domu, dwie, a najwięcéj trzy godziny wystarczą na dokładne rozrządzenie gospodarstwem, na wydzie-

lenie każdemu z domowników właściwéj mu czynności, na utrzymanie czystości, porządku, byle te kilka godzin rostropnie i z pewném wyrachowaniem na cały dzień rozłożyć. Ileż więc jeszcze czasu zostanie, jak mile, jak rozmaicie użyć go można! kobieta bowiem nie powinna się wyłącznie jednemu zatrudnieniu, jednemu upodobaniu oddawać, ona nie dla siebie, lecz dla szczęścia otaczających ją osób żyje i działa. — Jeżeli posiada talenta, niech je doskonali.

Niech maluje; wszak miło widziéć ściany swego mieszkania własną pracą ozdobne, miło uwiecznić rysy drogich osób, uprzytomnić wspomnienia ważniejszych w życiu wydarzeń, miło nawet utrwalić kwiatek co przez dzień cały zdobił nasze okno lub włosy, bo ileż to trwalszych na pozór przyjemności i tak nawet długo nie umilają nam życia.

Niech gra i śpiewa; te dwa talenta, za najmilsze i najpotrzebniéjsze kobiecie uważam; jest że co szczytniéjszego nad tę mowę ducha, którą czujące serca tak głębo-

ko pojmują, tak łatwo choć bez słów rozumieją? Nie raz, kiedy luba nam istota cięźkiem dotknięta strapieniem z spuszczoném okiem, z ściśniętą piersią, czeka, choć nie wzywa ulgi i pociechy, jakźe wtedy trudno dobrać wyrazów któreby bolesnéj rany mocniéj jeszcze nie draźniły, lecz łagodnie płynąc do znękanéj duszy, słodziły gorycz, rozpędzały troski, a lubą smętność wprowadzały na ich miejsce. Często umysł ludzki w takiém jest usposobieniu, źe najmocniéjsze cierpienie póty mniéj dręczy, póki samym tylko duchem objęte; i dopiero kiedy mu słowa kształt, postać i barwę nadadzą, staje nam przed oczyma jak przeraźające jakie widziadło, całą istotę ogarnią, i wszystkiemi źe tak powiem zmysłami do głębi duszy się ciśnie. W takich chwilach jedna jest tylko zrozumiała mowa, mowa wzniosłego czystego uczucia, *muzyka* jedném słowem. Niech ta co się cieszącém bóstwem stać pragnie, przemówi prawdziwie boskim językiem, niech głos jéj lub ręka wywoła tkliwe, czarujące dźwięki, niech

nie rażąc uszu lekko i mile ukołysze ducha, niech zajmie i uwięzi myśli, niech napełni, wzniesie i rozrzewni duszę, a kiedy z suchych od dawna oczu potok łez wytryśnie i ożywione serce na nowo się otworzy, oto stosowna chwila na użycie ludzkich wyrazów współczucia i pociechy, bo wtedy dopiero znajdą przystęp do niego i odbić się w niém potrafią........................

....

Robota ręczna jest jednėm z najwłaściwszych płci naszéj zatrudnień; zajmuje czas równie mile jak pożytecznie; piękne białe hafty dodają ozdoby i wartości ubiorowi kobiety, kolorowe jeśli świeżo i starannie wykonane, miejsce malowideł zastąpić mogą. Szycie, dzianie, a przynajmniéj dokładna znajomość tych ważnych umiejętności, przyczynia się wiele do zmniejszenia wydatków, do ciągłego zajęcia wszystkich rąk niewieścich w domu, a tém samém do utrzymania w nim porządku i pokoju. Robota ręczna nie przeszkadza słuchaniu dobrego jakiego dzieła, które brat lub

mąż czytać może; mało który mężczyzna nie lubi czytać dla kobiet, byle tylko był pewnym że go uważnie słuchać i rozumiéć zdołają. Dla wielu z nas, korzystniéj jest nawet słuchać czytania, jak czytać; nie raz piękna myśl łatwiéj przez ucho jak przez oko do duszy trafi, szczególniéj kiedy ją głos lubéj istoty wyraża; trudniéjsze miejsca którychby nam się może samym z głęboką uwagą rozbierać nie chciało, stają się zrozumiałémi po kilku pytaniach i uwagach. Słuchając sądu uczeńszych i rozumniéjszych od nas osób, objawiając niekiedy własne zdanie o myślach i uczuciach w czytanéj książce zawartych, kształcimy się same i przyuczamy do wyrażenia jasno i dokładnie wszystkiego, co nam się w duszy lub umyśle przedstawia. Często nakoniec mocniéj utkwią w pamięci słyszane jak czytane wyrazy, i słusznie poniekąd powiedział jeden z niemieckich pisarzy: „że kobieta nawet czytać nie umiejąc światłą bydź może gdy zechce.” Nie wpadajmy jednakże w przesadę; nie wszystko da się za.

równo cudzą jak swoją rozwagą ocenić, są przedmioty których dokładniéj własnym jak obcym wzrokiem dostrzedz można, a każdy w pewnym przynajmniéj względzie samoistność niejaką posiadać powinien, dla tego niewiasta rzeczywiście światłą bydź pragnąca, *niech czyta*. Wszelako, niech ważne to zatrudnienie nie służy tylko do przepędzenia czasu, do chwilowego rozerwania umysłu, nie należy się za nowością, lekkością ubiegać, świetne błyskotki dowcipu mogą zabawić na chwilę, lecz jak błędne światła zникną nie zostawiając po sobie żadnego śladu, chyba ten, że goniących za niemi na fałszywą wprowadziwszy drogę, późny i nieużyteczny żal wzbudzają. Zdaniem wielu, dzieła poważne, głębokie, nie przystoją kobietom; i słusznie, jeżeliby je czytały jedynie w chęci uchodzenia za uczone, i popisywania się wysokiémi wiadomościami. Jednakże, czemu by żonie światłego człowieka nie miało bydź wolno, dzielić, a przynajmniéj rozumiéć najmilsze męża zajęcie? Czemu by matka

przyszłego pokolenia nie miała wzbogacać pamięci i wyobraźni swojéj i postępować w miarę zdolności z duchem czasu? któż lepiéj nad nią zaszczepi w młodéj duszy stałe zasady, szlachetne myśli, zdrowe wyobrażenia? aby zaś uniknąć krzywych zdań, ślepych sądów, które nam się często jako niezbite prawdy przedstawiają, czyż światłą bydź nie trzeba? czy w czytaniu ulotnych pisemek można się do rozwagi i zastanowienia przyzwyczaić? czy wreszcie nasz umysł lżejszy nierównie od męzkiego, nie wymaga koniecznie, aby go ważnémi ustalić wiadomościami? Kobieta może więc bydź światłą, może nawet bydź uczoną, i nie utracić właściwego płci swojéj wdzięku, nie minąć się z powołaniem, z przeznaczeniem swojém: niech tylko na to uwagę zwraca, aby umysł jéj wznosząc się do wysokiego stopnia oświaty nie postradał giętkości, i do najmniéjszych, najdrobniéjszych domowych zatrudnień z łatwością skłonić się pozwolił.....,

Nie raz się już o to sprzeczano, czy kobieta może, czy powinna pisać? różne były zdania, lecz w końcu jednomyślnie prawie zawyrokowano; że ręka do kądzieli stworzona, za pióro chwytać nie powinna; że kobieta wdzierająca się w zawód mężczyznom właściwy, i pragnąca tym sposobem wynieść się nad płeć swoję, przestaje bydź kobietą, i dobrą żoną, ani matką nie będzie.

Gdyby wolno było odwołać się od tego wyroku,spytałabym: dla czego młoda i skromna niewiasta może wyrażać zdanie swoje nawet w mało znaném towarzystwie, obstawać przy niém, zbijać czynione sobie zarzuty, urokiem wzroku i głosu zmuszać słuchaczów do dzielenia jéj myśli, i nie obawiać się śmieszności? Dla czego każdy z przyjemnością jéj słucha, uwielbia świetny dar wysłowienia, głębokość pomysłów, tkliwość uczuć, i oddaje należne pochwały, nie obwinia jéj o próżność, i nie przypuszcza aby nie była w stanie godnego wy-

pełniania swoich obowiązków dla tego, że umie jasno wyrażać kierujące nią myśli.

Spójrzyjmy na tę, która w milczeniu słuchając rozmowy ożywionéj dowcipem, odzianéj w świetną szatę przenośni i obrazów, rozumiéć jéj się nie zdaje: może ona szczytniejsze od pierwszéj myśli w głębi duszy ukrywa, może tkliwsze ma serce, żywszą wyobraźnię, możeby uczucia swoje w gładszych dźwięczniejszych objawiła wyrazach, gdyby ją nie wstrzymywała obawa zwrócenia uwagi licznego towarzystwa. Milczy więc bo zna siebie, wie że nie zniosła by tylu spójrzeń z ciekawością w twarz jéj utkwionych, że wzruszenie głos by jéj stłumiło; dopiero kiedy nikt na nią nie patrzy, oddaje się natchnieniu, popędowi serca, i na martwy papier wylewa szlachetne myśli, rzewne uczucia, słodkie urojenia przepełniające jéj duszę i umysł.

Czemuż by ta kobieta miała bydź śmieszniéjszą i mniéj skromną od pierwszéj, czemu by nie miała równie dobrze znać

swojego powołania? a jednak, niechaj te kartki w chwili czystego uniesienia pisane, te obrazy cnoty, zapału i rozrzewnienia, wpadną w ręce sędziów płci naszéj, natychmiast powstaje groźny i szyderczy odgłos: „oto nowa autorka! oto próżna, wyniosła, z przepisanych sobie granic występująca kobieta! ....” Słuszneż te zarzuty? Jestże choć jedna z płci naszéj co by pisała jedynie w chęci wyniesienia się nad inne, dla tego tylko aby ją czytano, chwalono, w końcu, aby się autorką nazywać mogła? o nie! nie żądza pochwał ani czczego tytułu, nie miłość piśmiennictwa przewodniczy pióru kobiety, lecz potrzeba zaspokojenia serca, przyniesienia mu ulgi wyrażeniem uczuć których by ludzie nie chcieli, lub nie umieli z pobłażaniem wysłuchać, z tkliwością podzielić.

Mówią jeszcze że rzadko, nigdy prawie pisma nasze rzetelnéj nie przyniosły korzyści; zdanie to równie mylném jak ogólném uważam; bo jeżeli wychowanie nasze otrzymało właściwy kierunek, jeżeli z cha-

rakteru naszego znikła płochość, lekkość, śmieszna duma, jeżeli nakoniec zamiast próżnych ozdóbek salonu, mamy teraz miłe, rządne, cnotliwe, i prawdziwie światłe niewiasty; jest to owoc pism kobiety.

Umysł męzczyzny nierównie wyżéj od naszego wznieść się potrafi, śmieléj krążyć może w krainie myśli, głębiéj przéjrzeć wady społeczeństwa i dowcipniéj je wyszydzić; lecz tkliwe uczucia, szlachetne poświęcenie się w drobnych na pozór okolicznościach, cierpliwość w śród ciągłych i tajemnych cierpień; słowem, najpiękniejszą stronę płci naszéj, tylko oko kobiety odkryć, serce ocenić, pióro opisać potrafi.

Paulina K....

DOBRY UCZYNEK.

Rok się zbliżał do końca, i Osman bogaty
Zasiadł pod cieniem palmy liczyć się z sumie-
niem,
Dumał długo i milczał, poczém rzekł z westch-
nieniém:
„Jestem nędznym śmiertelnym, mogęż być bez
winy?
„Dobrém dziełém nagrodzę sobie grzeszne
straty,
„Mało jest przecię wiernych z równemi mi
czyny.

„Tyle ofiar przezemnie dla Boga łożonych...
„Rachujmy... dla meczetu sto i dwa tomany(*)
„Cztery kiesy dla wielkiéj z mekki karawany,
„Dwie wziął pobożny derwisz, aby aż do zgonu
„Z świątobliwego serca, ze swych ust natchnio-
nych
„Przesyłał za mnie modły do Boskiego tronu.
„Sześć tomanów, pielgrzymom świętego żywota,
„I.... biednéj téj niewieście, nieszczęśliwéj
wdowie,
„Która pięcioro dziatek ma na swoiéj głowie
„I wyżywić je musi choć sama sierota,
„Bułkę chleba na tydzień.. Już wszystko zliczy-
łem,
„I jak na mnie jednego dosyć uczyniłem."
Tu zamilkł a wzrok dumnie powiódłszy do koła
Ponawia wswym umyśle rachunek zrobiony,
Gdy nagle z marzeń swoich szelestem zbudzony,
Z przestrachem obok siebie spostrzega anioła,
Anioła z jasném skrzydłem w powiewnéj osłonie
Na którego obliczu złoty promień płonie,
„Jestem posłannik nieba; do Osmana rzecze:

(*) Toman moneta Perska.

I każdy czyn wspaniały, dar serca czystego
By był godny przyjęcia tronu Przedwiecznego
Sprawdzam pierw — Tak i twoje uczynki czło-
wiecze!"...
—Tu na dar biednéj wdowy śnieżną ręką wska-
zał,
Resztę zaś porachunku Osmana zamazał.

Elżbieta M.

Anioł pociechy.

Wsparta na dłoń chmurném czołem
Nie raz w myśli sobie roję:
Gdyby zmienić postać moję
Gdyby można bydź Aniołem!
Nie aniołem który leje
W młode serca, czucia tkliwe
Ale wrzące, ale żywe.
Nie tym, co zwodną nadzieję

Umysłom słabym udziela.
Nie tym co w kwiatach jak dziecię
Przebiega czasem po świecie,
Zwie się aniołem wesela.
Ale w ubraniu śnieżystém
Z krzyżem zbawcy w obu dłoniach,
Z lubym pokojem na skroniach,
A choć z okiem łezką mglistém
Przecięż ozdobném w uśmiechy,
Na wszystkich mile spoziera,
Dla wszystkich serce otwiera,
Zwie się *Aniołem pociechy*.
O! takim, takim Aniołem
Jakże z duszy pragnę zostać,
Zrzucić dawną ziemską postać
I z pogodném, gładkiém czołem,
Z współczucia najtkliwszą łezką,
Z uśmiechem i czystą wiarą
Stać się napowietrzną marą,
Zmienić w istotę niebieską;
A w ten czas, skrzydły białemi
Szybko lekkie zmierzyć loty
Do jednéj tylko istoty
Która tu mieszka na ziemi.

Przy niéj pędzić całe życie,
Chmurkę zgryzot z czoła zganiać,
Swemi ją pióry osłaniać,
I to zawsze, zawsze skrycie,
Aby nie zostać poznaną.
Przez dzień przy niéj tylko krążyć,
W noc z marzeniem lubém dążyć,
I przy ocknieniu bydź rano.
Lecz jakże dziwne marzenie
Wyobraźnię moją łudzi!
Gdy już należę do ludzi
To się w Anioła nie zmienię.

Józefa P......a



ANIOŁ POCIECHY.

GDY komu szczęście zabłyśnie na chwilę,
A światło jego jak wieniec uroczy
Migając w dali czarownie i mile
Całą mu przyszłość powabem otoczy;
Gdy złudzi serce, gdy umysł omami,
A potém z zdradnym uśmiechem odbieży:
Gdzież zwrócić oko zaszłe żalu łzami?
Jak stłumić boleść co się w duszy szerzy?
Zatrzeć wspomnienie co ją gorzko drażni,
I strząsnąć smutku czarną chmurę z czoła?
Ah! wszakże w lubém uczuciu przyjaźni
Wolno nam szukać *pociechy Anioła!*

Lecz gdy zbyt długie znęka cię cierpienie,
Gdy licząc przykre dni, miesiące, lata,
Już nie o szczęście, lecz o zapomnienie,
O pokój błagasz nieczułego świata;
Gdy zniknie wiara w owe cienie błogie
Tak niegdyś duszą ukochane młodą,
A przyjaźń, miłość, te skarby tak drogie
Co trosk i trudów miały bydź nagrodą,
Rzucą cię płocho jak szczęście rzuciło;
Kiedy złość, zawiść, potwarz, szarpać społém
Zaczną to serce co dla cnoty biło......
Śmierć tylko wtedy *pociechy Aniołem!*
O! cóż po życiu gdy je smutek truje,
I ciężka troska nie ustanie chmurzy?
Kiedy dzień po dniu wśród strapień się snuje,
A cios po ciosie jakby grom wśród burzy
Spada na duszę rażąc ją boleśnie.
Po cóż żyć? po co? smierć do snu podobna
A to tak lekko, tak spokojnie we śnie!.....
Lecz... czyż w marzeniu widzę tę istotę
Od któréj ramion śnieżna szata spływa?...
Tkliwość ma w twarzy, w uśmiechu prostotę,
W spojrzeniu radość jaśniéje prawdziwa.
Nad białém czołem cudny wieniec płonie,

Lecz zamiast wonnych, świeżych wiosny dzieci,
Gałązka cierni otacza jéj skronie,
A każdy kolec, jasną gwiazdą świeci.
Błoga łza szczęścia świetne oko rosi;
Swięte pokory i stałości godła,
Krzyż jedną ręką, drugą kielich wznosi
Jakby wskazując czystéj prawdy źródła.
Poznaję ciebie nadziemska postaci!
Twoja to siła słodka, niezwalczona,
Gdy człowiek wszystko na ziemi utraci,
Jak czuła matka tuli go do łona.
Niechaj świat cały powstając złośliwie
Sciśnie mnie teraz swych pocisków kołem,
Zapomnę o nich, lub zniosę cierpliwie,
Bo mi Religja *pociechy Aniołem.*

Paulina K....

GŁUCHONIEMY.

W ozdobnym choć nie bogatym salonie, przy stoliku mnóstwem kwiatów zastawionym, stała młoda w białą suknię przybrana dziewica; z roztargnieniem na świeżéj twarzy, z niechęcią w figlarném spójrzeniu obrywała wonne i różnobarwne listki, a jakby czém ważném zajęta, całą uwagę swoją zwracała na porządne rozkładanie ich po stoliku.

Na drugim końcu salonu, młody przystojny męczyzna wsparty na krawędzi krze-

sła, jedną ręką poprawiał modnie ułożone włosy, drugą przesuwał niedbale po miękkich kudłach małego wyżełka, który na jego kolanach spoczywał. Wzrok młodzieńca zwrócony w wiszące na przeciw zwierciadło, zatrzymywał się kolejno, to na własnéj twarzy, to na miłem obliczu dziewicy, któréj błękitne oko nie odwróciło się jeszcze od kwiatów. Widać było, że w długiém jéj milczeniu nic nadzwyczajne go nie spostrzegł, bo kołysząc się na wygodném krześle, ziewał i nucił swobodnie, jak gdyby sam był w pokoju.

— Cóż to znaczy? zapytał drugi młodzieniec, który wszedłszy niepostrzeżony, poglądał przez chwilę na milczącą parę; Adolfie! Walentyno! czy znowu gniewy?...

— Widzisz! rzekł Adolf, czekam póki chmura nie przejdzie.

Walentyna powitała mile przybyłego, i usiadła z nim na sofie.

— Ciekawy jestem, rzekł tenże patrząc z uśmiechem na młodych ludzi; jak też późniéj żyć będziecie, kiedy będąc dopiero

narzeczonymi, jednego dnia bez sprzeczek spędzić wam nie podobna.

— O! późniéj to co innego, odpowiedział Adolf z przymuszonym uśmiechem.

— Późniéj, jak teraz, będę umiała bronić prawdziwych przyjaciół od szyderstwa i niechęci .... zawołała żywo dziewica.

— Nie wątpię! lecz będzie nam przynajmniéj wolno unikać osoby, która usiłuje wzniecać pomiędzy nami niezgodę.

— Usiłuje! .... powtórzyła Walentyna, a rumieniec oburzenia oblał białe jéj lica.

— Rozumiem teraz o co wam idzie; rzekł śmiejąc się siedzący obok dziewicy mężczyzna: pewno dziś moja siostra Adama widziała; a to mnóstwo rozrzuconych na stole papierów, świadczy że nawet rozmawiała z nim długo.

— Prawda, lecz jestże to występkiem? czyż nikomu ze mną rozmawiać nie wolno, bez wystawienia się na krzywdzące i złośliwe żarciki?

— Owszem siostro! lecz czyż nawzajem narzeczonemu nie wolno bydź zazdrosnym?

—O! wiem przerwała dziewica spoglądając niechętnie na Adolfa; wiem że niektórzy z nich w najwyższym stopniu posiadają ten przymiot. Nie rozumiem jednakże jaki może mieć związek zazdrość Adolfa z przyjaźnią moją dla Adama?

— Przyjaźń od miłości mocniéjsza nie może bydź miłą temu, kto sobie pochlebiał to drugie wzniecić uczucie, odrzekł Adolf z goryczą: lecz porzućmy sprzeczki, wyrzuty, i wyznaj sama, droga Walentyno, czy mogę patrzéć obojętnie, jak zimne pismo głuchoniemego nad moją mowę przekładasz.

Tkliwy wyraz z jakim te słowa wyrzeczone były; wzruszył dziewicę.

— Co za myśl! rzekła: a udając wesołość poskoczyła do fortepjanu.

Po krótkiéj przegrywce słodki i młody głos jéj towarzyszące dźwiękom instrumentu, rozległ się po pokoju; Adolf postąpił ku narzeczonéj, wrodzona mu skłonność do muzyki odezwała się silnie na widok rozrzewnienia, z którém dziewica śpiewała

tkliwą i smętną dumkę; z początku, z cicha tylko wtórował jéj pieśni, późniéj oba głosy zlały się w świetną i wdzięczną harmonię, a ktoby uważał na zgodność tonów, blask spojrzeń, jednaki wyraz ich twarzy, nie mógł by się wstrzymać od myśli, że te dwie istoty dla siebie wzajemnie stworzone.

— Có za myśl, powtórzyła jeszcze Walentyna, wspierając się na ramieniu Adolfa, po ukończeniu tego nieprzewidzianego koncertu. Powiedz! o powiedz czy w istocie pomyślałeś kiedy, abym pismo biednego Adama mogła przenieść nad głos twój, co tak prosto do mojéj duszy idzie, tak głęboko w niéj się odbija?...

— Czy szczerze mówisz Walentyno?

— O szczerze!....

Z prawdziwém uczuciem ścisnęła rękę młodzieńca, lecz kiedy odszedł z jéj bratem, kiedy zostawszy sama rzuciła okiem na stół i rozproszone po nim kartki, Adolf, muzyka znikły z przed jéj myśli, a czysta szlachetna dusza Adama odbijająca się tak

jasno w każdym wyrazie, miejsce ich zajęła.

— Co za szkoda, że on mówić nie umie, pomyślała dziewica. Jaka niesprawiedliwość losu! ten co tak wzniosły ma umysł, tak wielką duszę, którego serce tak mocno dla cnoty bije, nie może drugim swych myśli udzielić ......

Pomału, przerzuca jedną kartkę po drugiéj, niektóre odczytuje, nakoniec spostrzega kilka, których dotąd nie widziała, zdziwiona przegląda je ciekawie, a ciekawość i zadziwienie z każdą kartką wzrasta, bo mogłoż bydź inaczéj?

„Kiedy na widok nędzy i cierpienia drobna ręka dziewicy z jałmużną pośpiesza, a jasne oko łza litości rosi, nie jestże ona podobną do owych błogosławionych duchów których Bóg utworzył na ludzi pociechę?"

„Kiedy słodkie wyrazy rozbrajają gniew porywczego brata, a głos łącząc się z dzwiękiem muzycznych narzędzi, wzruszeniem słuchaczów napełnia, czyż nie należy zazdrościć tym, co słyszeć to lube brzmienie i odpowiadać mu mogą! czyż tych żałować nie trzeba, którzy tylko okiem zgadują jak głęboko głos ten do serca wedrzeć się może?"

„Kiedy lekka postać pląsając w tańczących kole, wdziękiem, zręcznością wszystkie oczy wabi, wyrazem twarzy wszystkie serca nęci, ktoby jéj nie wielbił wtedy, ktoby należnych hołdów nie składał?"

„A kiedy unikając hołdów i uwielbienia, taż sama dziewica troskliwém okiem szuka w śród tłumu szczęśliwych, biednéj, smutnéj, na wieczną samotność skazanéj istoty; kiedy nie mogąc głosem osłodzić

jéj cierpień, chwyta ołówek, słodkiemi słowy wlewa pociechę w zbolałe serce, kiedy gardzi pochwałą, wesołości zapomina, byle chociaż chwilowo złagodzić ciężką niedolę; czémże jest wtedy? czém, jeśli nie Aniołem?"

„Kto widząc ją taką, nie utworzy sobie w myśli lubéj przyszłości obrazu? kto nie zapragnie, aby taka istota stała mu się ozdobą, towarzyszką całego życia, aby czyste jéj serce dla niego bić zaczęło, aby jéj ręka w jego ręce spoczęła?"

„Jeżeli zaś ujrzy ją uśmiechającą się do innego, jeżeli smutnéj nabędzie pewności że sam wybranym nie zostanie; jakże bacznie przygląda się szczęśliwemu, jak pilnie szuka w nim przymiotów, których sam nie posiada; jak nie myśląc już o sobie, pyta tylko czy *ona* będzie szczęśliwą?"

„Dziewico! bądź przezorną w wyborze. Zastanów się czy twój ulubiony jest równie jak ty szlachetny i tkliwy? czy ma równe z tobą upodobania?" czy umie ocenić ciebie? czy tylko czyste głębokie uczucie wiąże go do twéj osoby?..... jeśli tak jest, bądź szczęśliwa!...... gdyby jednak zamiast szczęścia, które sobie rokujesz troski cię tylko czekały; gdyby smutki i niepokoje miały bydź twoim udziałem.... pomyśl, o pomyśl wtedy, że nie sama cierpisz; że jest istota, co każde twoje uczucie dzieli, choć tego wyrazić nie potrafi."

Walentyna wsparła głowę na ręku. Nie raz w pisanych rozmowach, Adam lubo niepewnym sposobem: dał jéj poznać, że dla niego, jedyném szczęściem na ziemi, było tkliwe niewieście serce, co by go bez mowy zrozumiéć zdołało, co by się chętnie samotności poświęciło, byle upięknić życie nieszczęśliwego, od natury na wieczne skazanego cierpienie.

I nie raz młoda dziewica widziała w oczach Adama, nie raz mówiło jéj przeczucie, że tą istotą ona tylko stać się mogła, i nie raz jeszcze porównywała w myśli Adolfa z Adamem.

Zimny, wyrachowany charakter pierwszego, odstręczał niekiedy serce Walentyny, lecz wstręt ten w pociąg się zmieniał, kiedy go w liczném widziała towarzystwie; każdy jego wyraz wesołość lub podziwienie wzbudzał; a głos jak miał miły!... jak mu wierzyła gdy mówił że życie, przez nią tylko ma powab dla niego.

Ognista dusza Adama jaśniała w każdém jego spójrzeniu, duch szczytny wznosił się nad poziomy zakres zwykłych wyobrażeń; lecz cóż ztąd? kiedy na piśmie tylko wysłowić się umiał, a zimny papier tak niedokładnie odbijał, co się na jego twarzy malowało, kiedy nigdy nie wyznał miłości, choć ją oko w każdéj chwili zdradzało.... Miałażby go uprzedzać?.... a potém, jakże się wahać pomiędzy świetném życiem stolicy, blaskiem, bogactwy, uwiel-

bieniem, które jéj się przy Adolfie uśmiechały: a cichem wiejskiém ustroniem Adama, gdzieby całą jéj zabawą przechadzka po polu, całą rozrywką książka bydź mogła; gdzie muzyka nawet któréj się z takiém upodobaniem oddawała, nie miała by powabu, bo Adam by jéj nie słyszał, nie dzielił; on mimo najmocniéjszego przywiązania nie mógł jéj nawet powiedzieć: „kocham cię!" a ten wyraz tyle ma wdzięku.

Walentyna raz jeszcze odczytała leżące przed jéj oczyma papiery, zamyśliła się nieco na wyrażone w nich powątpiewanie o szczęściu, które sobie z Adolfem obiecywała, myślała długo; lecz kiedy biedny głuchoniemy przyszedł nazajutrz, nie zastał dziewicy w salonie; a w kilka dni potém, ujrzał w nim slubne podarunki Adolfa.

W ogromnéj i świetnéj sali, na kanapie przed którą samotna paliła się lampa, siedziała młoda niewiasta, w aksamitnéj sukni,

z perłową wśród jasnych włosów opaską i smutkiem obciążoną głowę skłoniła na białą rękę, wzrok utkwiła w zwierciadlane szyby, o które wiatr jesienny grube deszczowe krople rozbijał, a ucho jej chciwie i niespokojnie śledziło turkot przejeżdżających powozów. Za zbliżeniem się każdego, jaśniéjszy promień ożywiał jéj spójrzenie, lecz gdy ten odgłos mijał nie zatrzymawszy się ani na chwilę i niknął w oddaleniu, cięższa chmura osiadała na jéj czole.

Ponure uderzenie dzwonu na pobliskiéj wieży północ oznajmiło. Młoda niewiasta powstała, przeszła salon kilka razy, zdjęła perły, kamienie, co jéj szyję i głowę zdobiły, bogata suknia opuściła śnieżne ramiona, i młoda kobieta jak gdyby przygniatającego pozbawiona ciężaru, lżéj się poruszać, wolniéj oddychać zaczęła.

— Czemuż mnie tak żyć nie wolno, jak żyłam dawniéj; cicho, samotnie, szczęśliwie. Po co te stroje, zabawy? po co mnie zmuszać do towarzystwa, do wesołości,

kiedy smutek serce mi napełnia? Nie tak ja sobie szczęście wystawiałam; świetność, hołdy, bogactwa dodatkiem do niego sądziłam. Wielkiego, lecz jednego tylko pragnęłam skarbu, tylko serca Adolfa; a niestety! jakże ono odemnie daleko!.....

Zatrzymała się przy stole, i ze wzgardą patrząc na okrywające go przedmioty, daléj do siebie mówiła.

— Może to są dowody jego miłości? lecz nie! on lubi, żąda abym się stroiła, ale dla tego tylko, żeby wszyscy dostaki jego widzieli.. ... Wozi mnie na bale, zabawy, nawet mimo mojéj chęci, bo mu pochlebiają próżne i nieroztropne hołdy którymi mnie młodzi ludzie otaczają, a które by go oburzać powinny gdybym mu jeszcze choć cokolwiek miłą była....... Wprawdzie dziwi się i smuci widząc bladość mojéj twarzy, łzy w oczach, marszczki tworzące się na czole.... dla czegoż? może mnie kocha jeszcze?.... może się przynajmniéj nademną lituje?... nie! lecz przeczuwa że wkrótce zniknie ta piękność któ-

rą się chlubi, któréj mu zazdroszczą. On mnie ceni. . . . . . jak sprzęt służący do ozdoby salonu, który straciwszy świeżość, wyszedłszy z mody, wspomnienia nawet godnym nie będzie, i innemu ustąpi miejsca.

Łzy gorzkie potoczyły się po bladéj twarzy biednéj Walentyny, zbliżyła się do kosztownego fortepjanu; smutne, oderwane dźwięki wyszły z pod jéj palców, a obszerne sklepienie sali głucho i przykro je odbiło. Załamała dłonie.

— Wszystko się dziś na mnie sprzysięgło!.... dziś?... o! dawno już każde przeszłości wspomnienie jak zatruta strzała serce moje razi. Któżby mi śmiał przed kilkoma laty powiedziéć, że kiedy sama, smutna, nieszczęśliwa wyrzekać i skarżyć się będę, głos Adolfa, ten głos co tak moje serce ujął, co miał tak wiernie każdemu odpowiadać wrażeniu, wesołość i śmiechy wśród obcych osób wzbudzać będzie. Gdzież są te wieczory, gdzie dowcip jego dla mnie tylko miał błyszczyć?.... gdzie ta szczerość, ufność, na któréj szczęście

całego życia zakładałam?.... gdzie te powierzania smutku i radości które nam wspólnémi bydź miały?... ja płaczę, wyrzekam; on się bawi wesoło, gdzie i z kim? nie wiem, jak on nie wie czego bym się smucić mogła.

Powóz stanął przed domem, Walentyna zadrżała, i zdiętą niedawno suknię szybko zarzuciła na siebie. Adolf wszedł do sali: twarz jego blada, brwi zmarszczone, ściśnięte usta, dowodziły że i umysł nie był w przyjemném usposobieniu; spójrzał na żonę; świetny jéj ubiór przypomniał mu, że na bal jechać mieli, lecz nie przyznając się iż o tém zapomniał, rzekł z niechęcią.

—Jakto? jeszcześ nie ubrana? mówiłem przecięż że pojedziemy przed północą.

—Prawda, odpowiedziała nieśmiało: lecz kiedy północ minęła, sądziłam że już nie przyjedziesz.....

— Ty zawsze sądzisz po swojemu, teraz znów czasu na ubranie potrzeba, a nic śmieszniéjszego jak kobieta przy końcu balu przybywająca.

— Wiesz Adolfie, że chciałam bydź na nim jedynie dla dogodzenia tobie, jeżeliś zmienił zdanie, jeżeli moja tam obecność nie jest ci koniecznie potrzebną.... zostanę.

— Sama?.... nudziłabyś się.

— Nie więcéj jak na balu.

— W saméj rzeczy, lepiéjby było gdybyś dziś nie wyjeżdżała; tak jesteś zmienioną! może cierpisz?...

— Cierpię?.... nie!

— Jednakże szczerze ci radzę udaj się wcześniéj na spoczynek.

— A ty?

— Ja?... należałoby jechać do Pani S...... usprawiedliwić twoją nieobecność...... nie prawdaż?

— O zapewne!

Adolf pocałował rękę Walentyny, i śpiewając wybiegł z pokoju, a ona rzuciła się na krzesło, zakryła twarz rękami, i w głębokiém utonęła dumaniu. Umysł jéj cofnął się o lat kilka, do chwili w któréj również samotna ważyła w myśli całą przy-

szłość swoję, i wybierała co jéj się najżywszą pomyślnością wydawało.... Niestety! to świetne życie za któróm dążyła, obrzydło jéj, pozbawiło ją pokoju, stało się grobem szczęścia a niedoli źródłem. Ciche owo ustronie Adama, na którego myśl zadrżała wtedy, stanęło w jéj wyobraźni jak skarb utracony; skromne mieszkanie, wesoły ogród, grono prawdziwych przyjaciół, a wśród tego, dusza i umysł Adama, i tkliwe, dla niéj tylko bijące serce; czemuż, o czemu tak płocho wybrała wtedy?.... On się pewno nie zmienił; twarz jego dotąd tak miła, szlachetna, dla obcych nawet życzliwa; tylko może głębszy smutek na niéj się maluje, może bardziéj jeszcze samotny, niewdzięczną Walentynę o swoją niedolę obwinia....

— O! ja ją dzielę z tobą Adamie! zawołała mimowolnie: gdybyś wiedział jak gorzko nieszczęsnego zaślepienia żałuję!.... jak nie raz z ciężkiém w duszy strapieniem, z przymuszonym na ustach uśmiechem, jadę

na świetną zabawę, i z żalem myślę o tych miłych choć milczących rozmowach, które nierozważna za niedostateczne uważałam..... jak nawet w tłumie ciekawych, co z zazdrością lub podziwieniem patrzą gdy wysiadam z powozu, zdaje mi się, że widzę twoje rysy, twoje pełne wyrzutów spójrzenie......

Nowe łzy spłynęły z oczu nieszczęśliwéj; wstała, ujęła lampę i poszła do swojéj sypialni.

Przechodząc pysznie przybrane pokoje, zatrzymała się w jednym, dreszcz przebiegł wszystkie jéj członki, lampa zaledwie nie wypadła z dłoni, i zgryzota odezwała się w sercu. W małém łóżeczku na miękkiéj pościeli spoczywała czteroletnia jéj córka; świeża rumiana twarzyczka oznaczała zdrowie i wesołość, a na różanych usteczkach dziecięcia anielski uśmiech spoczywał.

—I ja śmiem szemrać! śmiem los mój przeklinać! zawołała Walentyna po chwili milczenia: Boże! daruj niewdzięcznéj co o tak

wielkim skarbie niepamiętać mogła, nie karz zuchwałéj, co większego jeszcze szczęścia śmiała pragnąć na ziemi!....

Uklękła; a kiedy się po długiéj podniosła modlitwie, wzrok jéj lubą jaśniał pogodą, przeszłość i przyszłość znikła z przed jéj oczu, nie była to już zawiedziona w wyborze kobieta, nie była to poniżona małżonka, lecz tkliwa, pobożna, i szczęśliwa matka.

Siedm lat minęło. W małym dworeczku nad Wisłą na nędzném łożu spoczywała piękna, świetna niegdyś Walentyna; lecz czoło jéj głębokie zmarszczki zorały, zsiniały usta, wychudły policzki, w oku tylko błyszczał ten złowieszczy ogień co podobny do gasnącéj lampy, przed skonem mocniejszym bucha płomieniem.

Młoda jéj córka Alina, choć blada, szczupła, w wytartéj odzieży krzątała się żwawo po izbie; poprawiła dogorywający w małym piecu ogień, a odbłysk jego mocniéj

oświecił odarte i zbutwiałe ściany, niż światło dzienne przedzierające się z trudnością do tego przybytku nędzy, przez małe, zakopcone, i ledwie nad ziemię wzniesione okienko. Zastawiła przed matką kilka pieczonych kartofli, nieco soli, i kawał czarnego chleba. Walentyna rozdzieliła wszystko na dwie równe części, lecz dziewczę nic wziąść nie chciało.

— Czemu nie jesz Alinko? wszak to nasz pierwszy posiłek.....

— Ja już jadłam; odpowiedziała dziewczynka, ukrywając twarz swoją w wychudłéj dłoni matki: pomogłam Andrzejowéj znaczyć batystowe chustki, i dostałam od niéj obiad.

Walentyna odsunęła zwolna córkę od siebie, spójrzała badawczo w jéj oczy i zarumienione policzki, lecz milczała. Alina odgadła myśl, któréj nieszczęśliwa wyrazić nie śmiała, uśmiechnęła się mile, i rzekła:

— Nie bój się matko! ja nie żebrałam.

Walentyna odwróciła głowę, wsparła się na poduszcze, i zasnęła; dziecię pogląda-

ło na nią w milczeniu, a sądząc że śpi dość mocno, ujęła starą harfę stojącą w kąciku, i na palcach wyszła z izdebki.

Lecz sen dalekim był od strudzonych powiek Walentyny; wpadła ona w owo długie zamyślenie, gdzie całe życie, i wszystkie jego wypadki stają nam w pamięci, gdzie każdy czyn, każde wrażenie jak w zwierciedle widzimy; przechodziła myślą wszystkie koleje przez które się jéj krótkie i gorzkie dni przesnuły: mniemane przywiązanie małżonka zmieniające się zwolna w obojętność, drażliwość, a nakoniec w niechęć i zupełne zapomnienie; — ów ranek nieszczęsny kiedy zamiast Adolfa, zimny tylko list ujrzała, uprzedzający ją, że tkliwy mąż nie mogąc dłużéj znieść widoku jéj łez i westchnień, uważając się za jedyną tych cierpień przyczynę, opuszcza ją na długo, a może na zawsze, i do obcych krajów jedzie; — przypomina sobie jak sama z małém jeszcze dziecięciem, bez majątku; bez opieki, zwolna z blasku do mierności, z mierności do ubóstwa prze-

szła; jak wtedy nieznana ręka bogatemi wspierała ją dary; jak co dzień błagała nieba, aby jéj dało poznać ukrytego dobroczyńcę, i jak te modły wysłuchanemi zostały.

Dowiedziała się, że starania i zabiegi których była celem, ta ciągła pamięć o najdrobniéjszych jéj potrzebach, to zgadywanie tajemnych nawet życzeń, Adama było dziełem. Jakże mocno uczuła wtedy szlachetność człowieka, co pewny jéj wdzięczności, domyślając się przywiązania, z daleka tylko nad nią czuwał, i nawet chwilowém ukazaniem się nie chciał jéj spokojności zakłócać. Duma, wdzięczność i tkliwsze może uczucie miotać jéj sercem zaczęły; po długich walkach przemogła duma. Biedna Walentyna raz tylko w życiu zbłądziła, raz tylko nie zrozumiała swego serca, i błąd ten długiém cichém okupiła cierpieniem; lecz nie błędem już, występkiem sądziła przyjmować wsparcie z téj ręki, któréj przed laty nie chciała losu swego powierzyć; oburzała ją myśl przybrania obrońcy, kiedy ten co ją wspierać i

bronić przyrzekł żył gdzie indziéj szczęśliwie i wesoło.

Potém, wspomniała ów dzień, kiedy chcąc świętéj dopełnić powinności, zrzekła się ostatniego promienia szczęścia co jéj z chmurnego zajaśniało nieba, i weszła do przybytku Najwyższego, chcąc go błagać o siłę i wytrwanie, a przy ołtarzu, ujrzała blade, smutne lecz łagodne oblicze Adama; jak spotkawszy wzrok ten od lat tylu niewidziany, zachwiała się jéj wola, i ile ją kosztowało zwycięztwo, w téj ostatniéj walce serca z powinnością. Długie dni łez i modlitwy nastąpiły po niéj, nakoniec Walentyna zmieniła nazwisko, ufna w swojéj sile, ufniéjsza w pomocy nieba, postanowiła żyć samotnie z własnéj pracy, i wzrokiem, myślą nawet nie przestąpić zimnych obowiązków. Odtąd smutne jednostajne płynęły jéj chwile; w dzień pracowała usilnie, w wieczór uczyła małą Alinkę czytać i grać na harfie, we śnie marzyła o szczęściu, o Adamie, o swojéj córce, i z nową gorliwością wstawała nazajutrz do

pracy. Lecz przedsięwzięcie to było nad jéj siły; co dzień słabsza, tyle już nawet zarobić nie mogła, ile potrzeba było na wyżywienie siebie i dziecięcia. Wtedy Alina stała się widomą opatrznością matki; przynosiła jéj robotę, wypełniała wszystkie domowe posługi, nie odstępowała jéj na chwilę; chyba kiedy zasnęła, dziewczę biegło do sąsiadek, pomagało im w drobnych zatrudnieniach, i znosiło za to potrzebne na cały dzień zapasy.

Nie raz przychodziła Walentynie okropna myśl, czy jéj dziecię nie żebrze dla zachowania życia nieszczęśliwéj matki; lecz Alina odpowiadała śmiele, że to tylko przynosi co zarobi, że nigdy jeszcze z prośbą nie wyciągnęła ręki.

Tak więc przeszedłszy pamięcią całą przeszłość swoję, strapienia które przeżyła, szczęście którego doznać mogła, Walentyna zatrzymała się w teraźniejszości: była to okropna, przerażająca nędza; lecz przywykła do niéj poniekąd, i dopiero rzuciwszy okiem na przyszłość, zadrżała. Uj-

rzała córkę swoją samotną w tym obszernym świecie; oddawna już łudzić się przestała, czuła niknące swe siły, i wiedziała że długo żyć nie może, a nie ma większéj boleści dla matki, jak myśl opuszczenia słabego dziecięcia; wyobrażenie wiecznego szczęścia, ledwie ją złagodzić może, i kiedy religja nieśmiertelność obiecuje, cichy, nieznany głos jakiś, okropny wyraz *sieroctwo* wymawia.

W krótce jednak luba pogodà zajaśniała na jéj twarzy; myślała o Adamie: nie o odrzuconym lat młodych kochanku, nie o wiernym dojrzałego wieku przyjacielu, lecz o opiekunie, o drugim ojcu Aliny kiedy ją własny opuszczał. Póki należała do ziemi miała odwagę i siłę odrzucenia jego pomocy, lecz kiedy duch jéj już się ku niebu unosił, czuła że tylko w ręce Adama mogła złożyć z ufnością najdroższy skarb swój na świecie, i umrzeć spokojnie.

Kiedy umysł Walentyny od smutnych marzeń do smutniéjszéj wrócił rzeczywistości, ściemniać się już zaczęło; Aliny nie było w izbie, wiatr ponury świszczał za oknem, i wstrząsał źle spojonemi ściany. Niespokojna matka podniosłszy się z trudnością wyszła przed dom; wracający od pracy robotnicy, brnąc po ogromném błocie witali uśmiechem smutną lecz miłą sąsiadkę, która widząc zbliżający się wieczór, i ciemne deszczem grożące chmury, zaczęła swojéj córki wołać po imieniu; lecz głos ten tak dźwięczny niegdyś, dziś cichy przytłumiony z trudnością się wydobył z uciśnionéj piersi, i ledwie o kilka kroków się rozległ; osłabiona tém wysileniem Walentyna wsparła się o drzwi chaty; nagle, znany brzęk rozstrojonéj harfy uderza jéj ucho, spogląda do koła, i przed lichym nad samym brzegiem Wisły stojącym domkiem, spostrzega małą swoją Alinę, otoczoną gromadą odartych dzieci, i przygrywającą im wesoło. Przestała grać, wieczerza małych słuchaczy przeszła do

jéj fartuszka; stara jakaś kobieta wyszła przed chatę, podała dziewczynce garnuszek mleka, i błogosławiącą rękę wyciągnęła nad jéj głową. Alinka podziękowała z uśmiechem, i ostróżnie stąpając po sterczących z błota kamieniach pospieszyła do domu, pewna że matkę jeszcze śpiącą zastanie.

W saméj rzeczy, Walentyna spoczywała na łożu, oczy miała zamknięte, twarz jeszcze nędzniéjszą jak rano, a pierś jéj gwałtownie się podnosząca dowodziła, że silny jakiś niepokój wstrząsał duszą nieszczęśliwéj. Nigdy też jeszcze tyle sprzecznych uczuć nie szarpało jéj serca, boleść, wdzięczność, rozrzewnienie, wyrzuty sumienia, następowały po sobie.

— Nie powinnam była, mówiła do siebie: odrzucać wsparcia Adama; w prawdzie, oddaliłam od siebie nawet cień zdrożności i podéjrzenia, lecz miałażem prawo, wystawiać to niewinne dziecię na nędzę i żebractwo?..... Trzeba ten błąd wynagrodzić..... napiszę do Adama, oddam mu

Alinę, on ją przyjmie, a co do mnie.....
wszakże mnie tu już nie długo!....

Dziewczynka czekając niecierpliwie przebudzenia matki, zastawiła dopiero zebraną wieczerzę, a kiedy Walentyna powstawszy jeść nie chciała, i odwracając oczy starała się ukryć łzy co je napełniały, dziecię pieszcząc wywiędłą twarz matki, powtarzało z niebieskim uśmiechem:

— Jedz matko! jedz spokojnie! ja nie żebrałam.

Ledwie ranek zaświtał, Alina spoczywająca przy nogach matki, powstała, i wyszła przed sień aby nieco mokrych wiórów uzbiérać. Okropny widok uderzył jéj oczy, Wisła przybierająca już od dni kilku, podniosła się w nocy przerażającym sposobem, i ledwie o kilka łokci od chatki oddaloną była. Alina bieży do izby, budzi matkę, w milczeniu wskazuje zbli-

żającą się powódź, okrywa ją czém może i przed dom wyprowadza.

Walentyna ledwie ze snu ockniona, patrzy z przestrachem jak wezbrana rzeka pokryta drzewem, lodem, szczątkami statków, i lichych nadbrzeżnych domków, płynie cicho, poważnie, jakby się urągać chciała tym, którym zgubą zagraża; widzi sąsiadów uciekających ze swoją chudobą, każdy przenosi się w inną stronę miasta, jeden drugiemu pomaga, tylko o niéj nikt nie myśli, tylko ona nie ma schronienia!

Ścisnęło jéj się serce, usiadła na progu.

— Matko! matko uchodźmy! wołała przelękła Alina: lecz matka nie słyszała głosu dziecięcia, słaby krzyk wyszedł z jéj piersi, wzrok utkwił w łożu chorego starca, które dwóch silnych męczyzn unosiło z powodzi, albo raczéj w postępującym za łożem człowieku. W tym człowieku co na odgłos nędzy i cierpienia, jak błogi duch litości z pomocą pośpieszał, poznała Adama.

Od świtu zajęty przeprowadzaniem uchodzących, sądził że w téj stronie nic mu już do czynienia nie pozostawało; jednakże odwraca się jeszcze, patrzy czy nie zapomniał kogo, i przy drzwiach walącéj się prawie chaty którą za pustą uważał, spostrzega klęczącą z wniesionemi rękami kobietę, a przy niéj łzami zalane dziecię. Zbliża się szybko z dwoma ludźmi, którzy mu towarzyszyli, jeden z nich podaje rękę Walentynie, drugi wchodzi do izby chcąc cokolwiek z sprzętów uratować; Adam chwyta dłoń dziecięcia; pogląda na Wisłę która z zadziwiającą postępuje szybkością, pogląda na ociągającą się niewiastę, lecz tę opuszczają siły, otwarte usta na próżno przemówić pragną, przestrach czy wzruszenie mowę jéj odjęło; twarz blada i nieruchoma widoczne piętno śmierci na sobie nosi, tylko błękitne oko z szczególnym wyrazem na twarz wybawcy zwrócone, dowodzi że żyje jeszcze. Adam przypatruje się nieszczęśliwéj, blednie jak ona, chwieje się,.... lecz woda do stóp ich przy-

stępująca w téj chwili, wraca mu przytomność; chwyta Walentynę na ręce, Alina przyczepia się do sukni matki, i wszyscy z największym pośpiechem uchodzą z tego miejsca nędzy i zniszczenia.

Było to południe; jasny promień słońca oświecał miły pokoik, gdzie Walentyna ciepło i wygodnie ubrana, w obszernéem siedziała krześle; obok niéj, przy małym stoliku Adam grał w szachy z Alinką, która lubo się téj gry dopiero od kilku tygodni uczyła, pojęła ją doskonale, i zacny przyjaciel matki mógł z nią mile całą godzinę przy szachownicy przepędzić; codzień też, kiedy Adam pożegnał małą tę rodzinę, Walentyna wprawiała córkę do ulubionéj gry jego, i do rozmowy na znaki; oddawała się temu zatrudnieniu z zapałem i poświęceniem, przypominała sobie upodobania jego młodości, wbijała je w pamięć Aliny, uczyła jak się do nich stosować, bo

chciała mu zostawić istotę, coby mogła wynagrodzić poniekąd niesprawiedliwość matki; dziecię też widząc jakiemi staraniami szlachetny głuchoniemy otaczał Walentynę, pokochało go z serca, i z wrodzoną sobie przenikliwością, odgadywało najdrobniéjsze jego życzenia.

Widząc ich zajętymi, Walentyna przechyliła głowę na krzesło, i zasnęła; w krótce, Adam podniósł się z cicha, spuścił zasłonę u okna, zakrył chustką śpiewającego w klatce kanarka, aby go do milczenia skłonić; Alina zastępując ciepło słonecznych promieni ugrzała przy piecu lekki szal wełniany, i okryła nim nogi uśpionéj; w tedy znów do gry zasiedli, lecz wzrok ich nie tak często na szachownicy jak na twarzy Walentyny spoczywał, zdawało się że brzęczenie muchy wzniecało w nich obawę, a najlżejsza zmiana w tych miłych rysach odbijała się na ich obliczu.

Oczy Walentyny przetwierały się niekiedy, jak gdyby pragnąc się przyjrzéć staraniom i troskliwości któréml ją otaczano;

uśmiechnęła się nakoniec, żywy rumieniec ozdobił jéj lica, oko żywszym ogniem zajaśniało; zdawało się że nowe życie wraca w to zwątlone ciało, bo tak prawie piękną była jak w pierwszych dniach swéj młodości. Adam w patrywał się w nią z rozkoszą, sądził że niebo wynagradzając długie cierpienia, uśmiechnęło mu się choć późno. Walentyna zrozumiała myśl jego, a niechcąc by się długo zwodniczéj oddawał nadziei, otworzyła stolik, wyjęła dwa listy, i jeden z nich Adamowi podała. Przykre przeczucie ścisnęło mu serce, nie chciał pisma otworzyć; Walentyna nalegała, rozłamał więc pieczęć i czytać zaczął.

»Adamie! płochość i nierozwaga moja ściągnęła ciężką niedolę na obie głowy nasze; jednakże znosiłam ją cierpliwie, nie szemrałam, i mogę umrzéć spokojnie; nie dziw się, nie chciéj mnie przekonywać, ja to wiem, czuję oddawna. Gdybym nie widziała pewnéj i bliskiéj śmierci, nie byłabym twojéj przyjęła pomocy; lecz stojąc

nad grobem, można się wesprzéć na przyjaznéj ręce; przecierpiawszy długie lata, można bez ubliżenia obowiązkom czuć i okazać wdzięczność dla tych, co nam ostatnie chwile osładzają. Śmierć niszczy wszystkie związki światowe, lecz związek dusz zostaje, i jeżeli duchom wolno czuwać nad ukochanémi istotami; Adamie, ujrzysz mnie często w twojém ustroniu, bo tam będzie wszystko co mi drogiém było na ziemi, ty, i moja córka..... nie prawdaż przyjacielu? Alina nie będzie sierotą?.... ty jéj miéjsce ojca zastąpisz....."

Adam długo czytał to pismo, łzy ćmiły wzrok jego; dopiero gdy strumieniem spłynęły mu po twarzy, spójrzał na Walentynę, klęknął przed nią, i pierwszy raz w życiu do ust ją przycisnął. Alina przeczuwając nieszczęście rzuciła się matce na szyję, ona ścisnęła ich oboje, uśmiechnęła się, i ciérpiéć przestała.

Adolf bawiący wesoło w Hamburgu, otrzymał wkrótce ostatnie pismo żony o któréj prawie zapomniał:

» Umieram Adolfie! Alina była jedyną moją pociechą przez lat wiele, — Adam umilił zgon mój, o ile w ludzkiéj było mocy, on jeden nie odstąpił mnie aż do grobu, jemu więc ostatni skarb mój przekazuję, jemu Alinę zostawiam. Adolfie! pierwszą prożbę zanoszę do ciebie, nie odbieraj mu tego daru! tyś nie miał czasu przywyknąć do twojéj córki; ona cię nie zna, a jemu potrzebna jest do życia, bo on nikogo nie ma na ziemi..... Żegnam cię! nie wspominaj mnie zimno lub nieżyczliwie; wierz mi, gdybyś chciał, mógł byś ze mną znaleść szczęście, którego tak daleko szukasz, — inaczéj się stało!.... Jednakże, wyrazów moich nie bierz za wyrzuty; gdybyś w saméj rzeczy przeciw mnie wykroczył, przebaczyłabym ci z duszy w téj chwili; lecz myśmy oboje zbłądzili, i oboje mimowolnie — nie poznaliśmy tylko

że nas niebo nieprzeznaczyło do wspólnego szczęścia."

Zabłysła wiosna, grób Walentyny świéżemi zajaśniał kwiaty; Adam z Aliną przyszli na cmentarz; męzczyzna jakiś w żałobie klęczał na mogile, głowę pochylił na ziemię i zniszczył kilka krzewów zaszczepionych ręką dziewczynki; patrzyła nań z niechęcią, lecz kiedy się podniósł i ujrzała twarz jego gorzkiemi łzami zalaną, jakieś uczucie do litości podobne napełniło jéj serce. Patrzył na nią, chciał mówić, wahał się, nakoniec z wysileniem zawołał.

— Moja córko!.....

Dziéwczę przytuliło się do Adama, nieznajomy uderzył z rozpaczy czołem o mogiłę.

— O Walentyno! Walentyno! zawołał: nasze dziecię mści się za ciebie!

Adam podniósł Adolfa, ścisnął mu przyjaznie rękę; zbliżyła się i Alina, a usta oj-

ca pierwszy raz od lat kilku złożyły na jéj czole gorące pocałowanie, ściskał jéj ręce, pieścił włosy z uniesieniem do obłąkania podobném.

— Ty pójdziesz ze mną Alino! rzekł nakoniec; pójdziesz nieprawdaż?....

—O! nie, odpowiedziało dziecię zbliżając się lękliwie do Adama: ja tu zostanę..... on mnie tak kocha!

— I ja cię kocham! zawołał ojciec z rozpaczą.

— On znał matkę, kochał ją, ja tylko z nim mogę o niéj rozmawiać! Łzy napełniły jéj oczy, żałowała cierpiącego ojca, lecz nie puściła ręki Adama. Nieszczęśliwy załamał ręce, przez chwilę stał w ponurém milczeniu nakoniec wybiegł z cmentarza.

Rzucił się w odmęt wielkiego świata, lecz nie raz, kiedy go zbytnio ten ciężar przytłoczy, idzie na grób Walentyny, lub w zaciszy Adama swoją córkę pieści; Poznał że większe do niéj ma prawo ten co cały czas swój jéj wychowaniu poświęca,

co ją kocha z duszy, niżeli ów który nie pomny na święte imię ojca, zapomniał o niéj tak długo, i pozwolił za młodu więdnąć w nędzy i cierpieniu! może kiedyś pozna całą czczość tego świata, dla którego najtkliwsze szczęście porzucił, może choć późno na łonie przyjaźni i dziecinnéj miłości, trwały pokój znajdzie.

Paulina K.....



Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem.

Każda z nauk Chrystusa wzniosła jest i święta,
Każda do szczęścia, cnoty, doprowadza ludzi,
Lecz jedna najszczytniéjsze w duszy czucie budzi,
A tą jest: ,, niech brat bratu złego nie pamięta."
O ileż! ileż uwag w tych słowach się mieści
Godnych syna Bożego, godnych Zbawiciela!
Komu Twórca Najwyższy tę cnotę udziela
Ten się wynieść potrafi nad wszystkie boleści,

Zdoła wzlecić nad ziemię, myślą stanąć w niebie,
I sercem nieskalaném, wolném od niechęci,
Od zawiści, od zemsty, tak czystém jak święci,
Zbliżyć się Boże! Boże! do samego ciebie!
A będąc już przy Tobie, błagać cię serdecznie:
Byś tym co nam źle czynią zawsze błogosławił,
Byś jak oni nam serce, im serca niekrwawił;
Byś doczesność im słodził uszczęśliwił wiecznie,
Rozjaśniał wszystkie chwile szczęściém ich okolił
Niosł im pokój, swobodę, słodycze, uśmiechy,
I nigdy jednéj łezki wylać nie pozwolił,
I zawsze religijnéj udzielał pociechy!
O tak! niechaj brat, bratu złego nie pamięta!
Powiedziałeś nam Boże! Twoje to są słowa;
Jam je zgłębić i pojąć, wykonać, gotowa,
Ty zaś stokroć wielbiona bądź nauko święta.

Józefa P.......a

* * *

Już ku zachoduiéj pochylone stronie
W purpurę złote słońce się przybrało,
Widać go jeszcze w chmur przéjrzystych łonie,
I walczy z niemi, i walcząc skonało.
W téj saméj chwili kwiat spuścił swą głowę
Słowik zanucił pożegnania głosem,
Wszystko się w ciszę zmieniło grobowę
Jak gdyby słońca zasmucone lasem.
Tylko, by cieszyć strapioną naturę,
Zabłysnął księżyc na ciemném sklepieniu,
Czoło miał blade, oblicze ponure,
A smutek widać w spójrzeniu.

Ciągle się tocząc z wolna i nieśmiało
Przez liście dębu słał promień lękliwy
A pod tym dębem dwie osób siedziało:
Nadobna córka i starzec sędziwy.

Ojcze! mówiła nadobna dziewica:
Jakże to wszystko cudownie zrządzone!
Złoty blask słońca, srebrna twarz księżyc
I te w przestrzeni gwiazdy zawieszone.
A wszędzie widzę istność tego Boga
Który się całą naturą zajmuje,
Gdy go chcę zgłębić przéjmuje mnie trwoga
Gdy go uwielbiam, radość w sercu czuję.
Gdzie rzucę okiem, widzę jego dzieła,
On to rozwiesił niebiosów błękity
Od niego rosa początek swój wzięła,
Co żywi dąb ten różami obwity.

Córko! rzekł starzec: jeszcze nie dość na tém
Że ta istota wielka, niepojęta,
Świat utworzywszy zajmuje się światém,
I o człowieku pamięta;

Jéj dobrodziejstwom nie naznaczysz miary;
W istotę naszą swego ducha wlała,
Sama nas świętéj nauczyła wiary,
Dziećmi swojémi nazwała.
I czegoż żąda za dobroci tyle?
Byśmy jéj wierni i w cnocie wytrwali
Jednę wieczności przeżywszy tu chwilę
Z szczęśliwych, znów się szczęśliwszymi stali.
Lecz zerwał człowiek ten związek tak święty,
Na Boga swego targnąć się odważył
I jakby duchem piekielnym natchnięty,
Stwórcy się zaparł, religję znieważył!....

Tyś to rzekł Ojcze! więc muszę dadź wiarę
Inaczéj, jakże była bym pojęła,
Że ziemia zniosła niewdzięczną poczwarę
Że jéj w wnętrznościach swych nie pochłonęła.
O! jesli taki dziś się znajdzie jeszcze
Coby śmiał bluźnić imię swego pana,
Niechaj go ściga przeczucie złowieszcze
Że zbrodnia jego będzie ukarana.
Niech gdzie się zwróci, kędy rzuci okiem
Straszne widziadła dręczą jego duszę,

I co dla innych lubym lśni urokiem
Niech się dla niego zamienia w katuszę!
Niech!....

—Córko! nigdy przeklinać nie trzeba,
Wstrzymaj twój zapał, chociaż sprawiedliwy,
Obrazę niebios niechaj pomszczą nieba,
Dość dla człowieka by sam był cnotliwy.
Lepiéj się wyda naszéj wiary świętość,
Lepiéj się o niéj umysł nasz przekona,
Kiedy złość ludzką, niewdzięczność, zawziętość
Zwalczy jéj słodycz niczém nie zmieniona.

— Prawda! poznaję jak mocno zbłądziłam;
Lecz Stwórca pewnie darować mi raczy,
Bo z jego własnych słów się nauczyłam,
Że gdy przebaczę, i On mi przebaczy!
Kończąc te słowa powstała dziewica,
A słodką radość widać w jéj spójrzeniu
Podała rękę ku wsparciu rodzica
I szli oboje w milczeniu
Gdzie poszli? nie wiém, bo już ciemno było
W chmurach się skryła nocnéj gwiazdy głowa

Jeśli mnie jednak ucho nie myliło
Taką się prośbą skończyła rozmowa:
Błagam cię! błagam wielki Twórco świata,
Głos mój do Ciebie podnoszę w pokorze,
Mnie cnotę, ojcu długie szczęścia lata,
Bezbożnym światła spuść promień o Boże!

Narcyssa Ż ....



IDEAŁ.

Gdybyś ty wiedział o mój przyjacielu,
Jak ona piękną, jak ona jest miłą,
I jak zachwyca prawie Boską siłą,
I jak w niéj widać obraz uczuć wielu,
Lecz ty nie pojmiesz tego przyjacielu!
W tenczas gdy uśmiech umili jéj lica,
Zda się że niebo rozjaśnia błękity;
Że jest w jéj duszy wdzięk świata ukryty,
W niéj się żywiołów mieści tajemnica,
W chwili gdy uśmiech umili jéj lica—

A kiedy smutek zchmurzy gładkie czoło,
A łzą perłową zabłyśnie zrenica,
Jak anioł smutku, i smutkiem zachwyca,
Wszystkich boleścią dotykając w koło;
W chwili, gdy smutek zasępi jéj czoło.
Ona z naturą widać że jest w zmowie,
Bo gdy wesoła, słońce jaśniéj świeci,
Trawka zieleńsza, ptaszek lotniéj leci.
Może przesadzam ktoś mi z ludzi powie.
Lecz nie, nie, ona z naturą jest w zmowie.
Bo słuchaj proszę: gdy tylko spójrzeniu,
Lub słówkiem jakiém, gestém mnie zasmuci
Zaraz naturę swoboda porzuci;
Walki żywiołów ja czekam ze drżeniem:
Ona to jedném swem zrobi spójrzeniem.—
Gdybyś ty wiedział, o mój przyjacielu
Jak ona piękną, jak ona jest miłą.
I jak zachwyca niebieską swą siłą
I jak w niéj widać obraz uczuć wielu!
Lecz ty nie pojmiesz tego przyjacielu.

Józefa P.......a

SEN DZIECIĘCIA.

(z Niemieckiego.)

Przeszedł parny dzień letni, a z nim różnobarwne, pełne ruchu życie; ptaki przestały śpiewem napełniać powietrze, a w zaroślach lasku coraz ciszéj i ciszéj było.

Przez lasek szedł chłopczyk, płakał smutnie i żalił się z głębi serca: „gdzież ja się obrócę biedny, opuszczony sierota! czyż tak samotny jestem w tym szerokim świecie, że nie mogę znaleść serca coby się mną zajęło, oka, coby mile i troskliwie poglądało na mnie?"

„O gdyby mnie razem z matką do grobu spuszczono, nie byłbym tak sam jeden tułał się po dniach całych, nie byłbym błądził od drzwi do drzwi prosząc o suchy kawałek chleba. Ah! biedne ja też, biedne, opuszczone dziecię!”

Wtedy usiadł smutnie pod drzewem, bo nogi jego skaleczały od kamieni, i palącego piasku, a osłabiona głowa pochyliła się na kamień co leżał przy jego boku.

W tym nagle dziwna zmiána zaszła w jego umyśle. Mrokiem pokryte błonia zaczęły się zwolna w ciaśniejszy okrąg zbiegać, a on patrzył na nie jak gdyby na wysokim spoczywał wzgórzu; przy tém, nieskończenie miłe obrazy przebiegały przed jego oczyma, i zdawało mu się prawie, że znów jak spokojne, szczęśliwe dziecię, spoczywa w ręku swojéj matki, i kołysze się na jéj łonie.

Cichy szelest dał się słyszéć w krzakach i jakby lekkich skrzydeł powiewy ozwały się w bliskich kwiatach, wtedy

miękka jakaś ręka dotknęła jego oczu, i zdięła z nich grubą zasłonę.

Różowy świt jutrzenki zajaśniał przed jego wzrokiem, tysiąc świetnych błyszczących postaci snuło się wśród obłoków na niebie, i kwiatów na ziemi; wszystkie były lekko uskrzydlone, i wszystkie mocno zajęte. Z promienistéj bramy nieba wystąpił tryumfalny jakiś orszak, lecz gdy mu się chłopczyna przyjrzał bliżéj, poznał że to byli aniołwie, słodkiego i łagodnego wéjrzenia, którzy sypali z nieba róże, i z wonnych obłoków czerpiąc wzmacniającą rosę, spuszczali ją na łąki i pola.

I wnet ocknęło się czynne życie na kwitnącéj przestrzeni ziemi: każdy kwiat miał swego anioła, wysoka lilia poglądała z ufnością na strzegącego ją ducha, który łagodną swą ręką lekkie jéj listki osłaniał; najmniéjszy nawet kwiateczek wzrastał pod tkliwéj miłości obroną; wonny fijołek pływał w kroplistéj rosie, a duch równą miłością ożywiony, wiódł ku niemu drobnego robaczka, aby i on kosztował tego

świéżego napoju. Obok siebie, ujrzał chłopczyna innego jeszcze anioła, który przystąpiwszy z cicha do uśpionych ptasząt, sypał im żywność w gniazdeczka; potém biegł ku drobnemu motylkowi, którego chłodem zwinięte skrzydła, rozpostrzéć się jeszcze nie mogły, i niósł go ostróżnie na miękki listek różany, aby go lube dnia światło do życia wróciło. Wszędzie tkliwa staranna opieka widziéć się dawała, tchnienie jéj napełniło wzgórza i doliny.

Chłopczyna uniósł wzrok do góry, chciał się szczerze i głęboko modlić, a oczy jego, spotkały poważne i łagodne anioła oblicze, który do niego przemówił z uśmiechem:

„Jak mogłeś zwać się opuszczonym, kiedy ja ci od urodzenia towarzyszę i w każdéj chwili nad tobą czuwam? niewidziałżeś jak wszystko jest pod miłości pieczą? czegoż więc płakać i narzekać, jak gdybyś ty sam jeden był zapomniany? patrz na te lilie na polu, na te ptaszki pod niebem, któżby o nich miał staranie gdy-

by wiecznéj dobroci nie było? a człowiek, ten ulubieniec nieba, miałby wątpić i rozpaczać? O istoto małéj wiary! nietrwóż, się i ufaj! Ziarnka piasku na dnie oceanu policzyła mądrość najwyższa, wszystko co w wodzie i powietrzu żyje, wpisane jest do wielkiéj xięgi żywota, złóż więc spokojnie głowę na mojéj piersi, a ja cię wiernie do kresu życia doprowadzę.

„O! ja ci wierzę, miły łagodny aniele! zawołał chłopczyna, podnosząc ręce ku niebieskiemu przyjacielowi: ale w tém, zasłona spadła znów na jego oczy, i coraz gęstszą, ciemniéjszą się stawała; nie widział już pięknych postaci co się pośród kwiatów snuły, nie widział wdzięcznych na chmurach obrazów, tylko mu w sercu żywa zajaśniała wiara.

Już słońce weszło, chłopczyk się obudził, i zwolna ku nowemu światłu obrócił spójrzenie; nie było już pięknéj kwiecistéj łąki, w około niego leżał cichy, samotny, dobrze mu znany lasek.

Nawet anioła nie było; ale na tém samém miejscu, stał stary, szanowny pasterz, i milcząc wpatrywał się w sierotę.

Chciałżebyś pójśdź ze mną? spytał go łagodnie.

Ojcze! zawołało mimowolnie dziecię, i wzniosło ku niemu ramiona.

Tak! będę twoim ojcem; odpowiedział starzec: pójdź ze mną do chaty.

Z zaufaniem ujął chłopczyna podaną sobie rękę, zstąpił wraz z starcem w dolinę, ale w sercu zachował pamięć dziwnego snu, i wiara w wieczną miłość wkorzeniła się w jego serce głęboko.

Emilja Grabowska.



SIEROTA

LEGENDA.

Chyli się słońce, a przy zachodzie
Jak złota kula się toczy,
Jaskrawa łóna połyska w wodzie
I całe niebo w krwi broczy.
Nad piękną wioską, dym się unosi,
I grube kłęby kurzawy,
Kościelny dzwonek nieszpory głosi,
Mgła wonna buja nad trawy.

Nad rzeczką lekkie krążą tumany,
Przy niéj zielona murawa,
Na któréj rolnik pracą znękany,
Czystą się wodą napawa.
Za rzeczką świeży lasek jodłowy,
Ptaszki świergoczą na jodle,
Pasterze czapki zdéjmują z głowy
I gaszą pragnienie w zródle
Na rzeczce wątły mostek rzucony,
A za nim rozstajne drogi,
Jedna gdzieś wiedzie w dalekie strony,
Druga zaś, w spoczynek błogi.
Przy niéj, na wzgórzu kościołek stoi,
Krzyż Pański, mogilnik w dali,
Zły człowiek tędy chodzić się boi,
Bo by się przed nim żegnali.
Tą cichą dróżką idzie dziewica,
W bieli od stóp aż do głowy,
Oczy ma we łzach, rumiane lica,
Na skroni wieniec godowy.
Prosto w mogilnik zmierza swe kroki,
Smutna, nieśmiała, stroskana,
Gdzie ona dąży? gdzie głaz szeroki,
Tam kornie zgina kolana.

I klęcząc, modły szczere zaczyna,
Czyste jak aniołów w niebie ;
O! z taką duszą, jak ta dziewczyna
Obraz anioła ma z siebie.
Mówi litanję za zmarłe dusze,
Paciorek, drugi, i trzeci,
» Odwróć o Boże od niéj katusze!
» Niech wieczne światło jéj świeci!
»Ty matko Boża! doda ze łzami:
»Najswiętsza Bogą Rodzico,
»Zlituj się, zlituj! módl się za nami!
»Za matką, i mną grzesznicą!
»Bo odkąd ona złożona w grobie
»Jam sama w świecie sierota,
»Nie mogę znaleść przytułku sobie,
»W zamknione kołacę wrota.
»Jeden pojrzawszy na mnie z ukosa,
»Drzwi przed płaczącą zamyka,
»Inny potrąci, lub ostrym głosem
»Sieroctwo moje wytyka.
»Jeszcze na domiar gorzkiéj niedoli
»Złośliwa moja macocha
»Chce twoją córkę mimo jéj woli
»Dadź temu, kogo nie kocha.

»Nie kocha, nigdy kochać nie będzie!
»Bo cała miłość ma w niebie,
»Tylko twój obraz ściga mię wszędzie,
»To serce bije dla ciebie.
»Najrozkoszniéjsze dla mnie te chwile,
»Najmiléj sercu w téj dobie,
»Gdy na kochanéj matki mogile,
»Samotna zapłaczę sobie.
»O! jeśli płaczem moim cię wzruszę
»Głos mój do Ciebie dopłynie,
»Boże! o Boże skroć me katusze,
»Smierć mi w téj zeszléj godzinie!"
Wzrok swój po niebios wiedzie głębinie,
Słodka się radość w niéj nieci,
A z góry gwiazdka płynie, i płynie,
I nad dziewicą już świeci.
Swieci i coraz to żywiéj błyska
I coraz rośnie, i rośnie,
Dziewczę się gwiazdce przygląda z bliska.
To młodzieniec w życia wiośnie!
Usta jak koral, rumiane lica
Wonne włosy, oczy żywe,
Twarz swą rękoma kryje dziewica,
Zasłania czoło wstydliwe.

A w tém młodzieniec ujął jéj dłonie,
Dusza od ciała odbieży,
Gwiazdki zwieńczyły dziewicy skronie,
Niebieski zapach się szerzy,
Skrzydełka białe, przepaski z bieli,
Dwa z tęczy wianki nad głową,
Młodzian z dziewicą jak dwaj anieli
Postawę przybrali nową.
»Pan świata modły wysłuchał twoje;
Rzekł anioł: ,,mnie tu przysyła,
»W krótce staniemy przy nim oboje,
»Byś słodką wieczność pędziła.
»Ziemskich roskoszy nie chciałaś dzielić,
»Czeka cię roskosz niebieska,
,,Wieczność się całą będziesz weselić,
,,Nie znając co smutku łezka."
Wyrzekł, skrzydełka uniosł nad smugi,
Żar światła w około płonie,
Za nim dziewczyna jak anioł drugi
Przez niebios żegluje tonie.
Wznoszą się w górę, wznoszą wysoko,
Już błyszczą jak dwa gołąbki,
A zadumione pasterzy oko,
Dojrzało światła dwa rąbki;

Wreszcie się całkiem topią w błękicie;
Gdzież ziemskie dziewicy szaty?
Oto w nich nowe cuda widzicie
W wonne zmieniły się kwiaty.

Kazimira Radecka.



Wspomnienie

KSIĘŻNÉJ d'ABRANTÉS.

Mało zapewne jest osób, któreby téj sławnéj nie znały niewiasty, mało takich któreby nie czytały jéj pamiętników; ostatnia ich stronnica zapełnioną została; Pani d'Abrantés umarła dnia 7. Czerwca 1838 roku.

Zręczne i uczone pióra zajmą się bez wątpienia, wiernem i godnem opisaniem jéj życia, jeżeli przy właściwéj sobie szcze-

rości zostawiła jaką część jego nieznaną dotąd światu; moja ręka idąc za duszy natchnieniem, złoży tylko należny hołd kobiecie, któréj szlachetne serce, wielki umysł, wysokie zdolności, zgasiły blask stopnia i urodzenia którym ją los od kolebki otoczył.

W najpierwszéj młodości, patrząc na okropną burzę co jéj krajem wstrząsała, nabrała już téj mocy ducha, téj odwagi, która ją o tyle nad całą płeć naszę wyniosła. Dziedziczka cesarkiego Komnenów nazwiska, i sprawiedliwie pyszna takim rodem, poślubiła wszelako Junota, którego całym blaskiem wtedy, było męztwo, całą pychą prawość, a szpada całém mieniem; kochała, szanowała, wielbiła swego małżonka, i nie zmieniła ani na chwilę tych uczuć. Wychowana w zbytkach i miękkości, rzuciła dom, spokojność, wygody, zabrała z sobą dzieci, i nieodstępnie towarzyszyła mężowi, w przykréj i niebezpiecznéj hiszpańskiéj wyprawie. Palący klimat, niedostępne prawie skały i góry przez

które się przedzierać należało, napady gerylasów, nic ją nie mogło zrazić od wypełnienia tego, co za świętą uważała powinność. Po tylu trudach, wróciła do Paryża, i zajaśniała na Cesarskim dworze; ileż hołdów otoczyło tę młodą, piękną niewiastę, ozdobną wielkiém imieniem, odwagą, dowcipem, i książęcą koroną (bo Junot otrzymał tytuł Księcia d'Abrantés); lecz mimo tego blasku, Księżna nie miała prawie nieprzyjaciół; świeciła jak miła, łagodna gwiazda, życzliwością płacąc uwielbienie; uprzejmością przeciwnych sobie jednając.

Przywykła do przepychu i wielkości, usunęła się jednak dobrowolnie od dworu wielkiego pogromcy; bo Junot umarł, zaniedbany, zapomniany prawie od tego któremu życie z taką poświęcił ochotą, a serce jego wdowy boleśnie dotknięte, zachowało na długo pamięć obrazy i niewdzięczności, któréj mąż jéj w ostatnich chwilach swoich doznał. Stała i niewzruszona, nie dała się znęcić wezwaniu i obietnicom

Napoleona kiedy po powrocie z wyspy Elby zaczął na nowo dwór swój zbierać; Księżna d'Abrantés została w wdowiém swojém schronieniu, spokojna, poważna, lecz nie żaląca się bynajmniéj; dopiero kiedy przeciwne losy zapędziły Napoleona na wyspę Ś. Heleny, szlachetne jéj serce zapomniało urazy, łzy żalu starły niechęć w jéj duszy, i za przykładem męża, byłaby z chęcią poświęciła życie, byle raz jeszcze tę jasną rozniecić gwiazdę.

Lecz w tym samym czasie zmieniło się jéj położenie; straciła znaczenie, majątek, nawykła do przepychu, kołysana uroczemi na przyszłość nadziejami, ujrzała się nagle pozbawioną wszystkiego, prawie bez środków utrzymania; — cóż czyni wtedy ta prawdziwa bohaterka? nie płacze, nie wyrzeka, lecz chwyta za pióro, i raz jeszcze dobija się znaczenia i sławy. Nie próżną była jéj praca; zjawił się *Amirant Kastylski*, i wnet Księżna d'Abrantés otrzymała zasłużony tytuł znakomitéj autorki; salon jéj otworzył się na nowo, napeł-

niły go dwa rodzaje chwały. Starzy wojownicy spoczywający po ranach i trudach, otoczyli z jednéj strony odważną Junota małżonkę, co tyle razy dzieliła z nimi niebezpieczeństwa, tyle razy dowcipem, łagodnością, tkliwemi staraniami osładzała im przykrości, co tak czciła prawość i męztwo, z drugiéj, rój młodych pisarzy i artystów; których wspierała, pocieszała, ożywiała ogniem swojego umysłu; a ona dla każdego miała miły wyraz w ustach, życzliwe w sercu uczucie, każdy hołd szczerą odpłacała przyjaźnią.

Ta druga część jéj życia, była wzorem czynności; pisała bowiem więcéj jak najpracowitszy jaki dziennikarz — przyjmowała i oddawała wizyty, prowadziła niezmiernie czynną i rozległą korrespondencyę, całe wieczory poświęcała przyjacielskim rozmowom, i jeszcze jéj zbywało czasu na haftowanie, kopanie w ogrodzie, układanie zielnika, wspieranie i pocieszanie cierpiących. Jakże więc takie życie nie miało jéj powszechnego zjednać uwiel-

bienia? To téż gdy jéj zwłoki złożono na cmętarzu Montmartre, niezliczony towarzyszył im orszak — starzy dowódcy co niegdyś w pośród kul świstu, wyraźnie przemawiali do żołnierzy; mówcy co wśród największych zaburzeń śmiało podnosili głosy; młodzi ludzie, tak chciwie chwytający sposobność popisania się z płynną wymową; a jednak, nie było pogrzebnéj mowy na grobie Księżnéj d'Abrantés; tylko płacz i łkanie rozlegało się w koło!

Alina Sielska.



UŁOMKI KSIĘGI PIERWOTNÉJ

z dziela Alfonsa de Lamartine.

POD TYTUŁEM

UPADEK ANIOŁA.

Ludzie! nie śmiéjcie mówić czytając te strony:
Pisał je ręką mędrców Bóg nasz niezmierzony.
Bogu nie trzeba pióra z słabéj giętkiéj trzciny,
Ani dłóta z żelaza, ni skrzydła ptaszyny;

Miałżeby jako dziecię w śród płochéj zabawy
Imię swe pisać w pyle, lub na listku trawy?
Jestże marmur, spiż, granit, tak mocny niezgięty
Który by się nie skruszył Jego palcem tknięty?

— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Język którym on pisze, żywy, dzwięczny, boski,
Tysiączne ognie nieba są to jego głoski
I jeszcze nad niebiosa, wyniosły, bogaty,
Jaśnieje w światach, które inne kryją światy.
Jedyną księgą, w którę Bóg z wieku do wieku
Wpisuje imię swoje... jest twa myśl człowieku!
Twój rozum, to zwierciadło boskiego rozumu
Gdzie cień jego jaśnieje wśród twych błędów tłumu.
Tylko tą jedną mową, moc jego przenika
W wątłe serce, i w słabą duszę śmiertelnika.
W nas pojęcie, przed nami mamy przyrodzenie,
Oto są głosy Boga; a reszta... złudzenie!

— — — — — —
— — — — — —

— — — — — —
— — — — — —

Jestem ten, który jestem; wyrzekł Pan na niebie.
Sam od siebie poczęty, żyję sam przez siebie;
Jakiémkolwiek imieniem człowiek na mnie woła,
Bluźni! bo nikt mych imion wymówić nie zdoła:

— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Gdyby który z żyjących w mém stworzeniu całém,
Ludzi, duchów, aniołów rzekł: ja go widziałem,
Niewidzialny widzialnie stanął przed mém okiem;
Smiéjcie się, lub litujcie nad olśnionym wzrokiem.
Łatwiéj mnie dojrzeć w senném duszy zachwyceniu,
W lekkiéj błękitnéj chmurce, w bałwanach, w płomieniu,

W drżącéj bojaźni serca,' świętéj, uroczystéj,
Lub w głębi widnokręgu jak woda przejrzystéj,
W tych ognistych literach, któremi po niebie
Gwiazda zakreśla imię świetniéjsze od siebie.
Lecz gdyby chcąc mię odkryć niebo się rozpadło,
Jeszcze by mię śmiertelne oko nie odgadło.
Ten, co sam obéjmuje ogrom przyrodzenia,
Zstępuje w umysł ludzki w postaci promienia;
Bo trudno dojrzéć ducha ciemnym wzrokiem ciała,
Nie obéjmie wieczności jedna chwilka mała;
Ten obwód, w którym światy bez liczb, bez granicy
Krążą, mógłżeby w ciasnéj zmiescić się zrenicy?
Krańców nieskończoności nikt nie dójrzy z ziemi,
Rozprzestrzeńcie niebiosa jam jeszcze nad niemi!

— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Nie zamykajcie Boga w kamienne więzienia,
Gdzie martwy jego obraz ćmi wasze spójrzenia,

By zszedłszy z prawéj drogi, mdły umysł dziecięcy,
Nie rzekł w błędzie: Tu jest Bóg, ale nigdzie więcéj.
Nie szukajcie go wzrokiem wśród chmury, lub słońca,
Lub w świetnym widnokręgu, w tém morzu bez końca;
Któreż Niebo przybytkiem jego wspaniałości?
Nie ma dla Boga, miejsca, ani odległości;
Ten który nie ma ciała, nie mierzy przestrzeni,
Ten co wszystko napełnia, pobytu nie zmieni.
Patrzcie duszą — bo ciało by go nie dociekło,
A widzieć go, lub nie znać, to niebo lub piekło.

— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

W świeże usta dziecięcia kładnijcie za młodu
Imię naszego ojca, jakby kroplę miodu,
Ażeby je zawczasu opatrzyć słodyczą
Na późniéjsze dni życia, zaprawne goryczą;
I niech to święte imię słyszane z daleka

Będzie znakiem, po którym człek pozna czło-
wieka,
Imieniem, co za świadka niewinnemu stanie,
Które w oku przestępcy groźne ma mieszkanie,
Które sprawiedliwemu łagodząc cierpienie
Wstępuje w czyste serce jak drugie sumienie.
Którém się słaby swemu ciemięzcy zastawi,
Które wdowę, sierotę, z niedoli wybawi,
Będzie wsparciem chorego, sędzią niewolnika;
Schronieniem wygnanego, ogniskiem nędznika,
Które dusze troskami boleścią zgnębione
Ujrzą jak promień ślniący przez łzawą zasłonę,
I które, kiedy człowiek smutne kończy życie,
Anieli wraz z tchem jego, w niebo wznoszą skry-
cie.

— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Człowieku! w ludziach braci, a ojca masz w Bo-
gu;
On ci przytomnym będzie od owego progu
Przez który wchodzisz w życie, aż do jego końca;
Będzie to twój przewodnik, przyjaciel, obrońca.

Pod jego świętą wolę poddasz myśl burzliwą,
Dumę zmienisz w pokorę łagodną i tkliwą;
Nie będziesz z jego ręki przeklinał cierpienia,
Nie stłumisz w twojém sercu nadziei promienia,
I zawsze mówić będziesz: Chwała tobie Boże!
Bo on to co dziś strącił, jutro podnieść może.
A wznosząc aż do niego spiewy uwielbienia,
Duszę twą złączysz z głosem całego stworzenia.

— — — — — —
— — — — — —

Nie wzniesiesz śmiałéj ręki przeciw twemu bratu,
I nigdy krwi przelanéj nie ukażesz światu.
Lecz nie dość szczędzić ludzi; nawet krew zwierzęcia
Niech twéj dłoni nie kazi; krew ryby, ptaszęcia
Jest także cząstką życia, a życia nie wrócisz,
Jeśli je w brew głosowi twego serca skrócisz.
Żywić się tylko będziesz płowym kłosem zboża
Które wiatry kołyszą, jak powierzchnię morza;
Ryż, owoce drzew płodnych, trawy i korzenie,
Zbyteczne pszczołom, miodu złotego promienie,
Słowem, wszystko co tylko żyzna ziemia daje
Niech się twoją żywnością, twym posiłkiem staje.

— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Będziesz pił wodę nieba, u zródła czerpaną,
I nie kuś się wyciskać w twą czarę glinianą
Płynów z maku, co łatwo zmysły usypiają,
Ni soków winnych które duszę upajają.
Między zmysłem i duchem, mądrość nieskoń-
czona
Ustanowiła zgodę, szanuj jéj znamiona,
Unikaj upojenia co umysł obciąża,
Bo kryjąca go chmura i duszę okrąża.
Bóg w czystym tylko wzroku odbijać się lubi,
Kto myśl swą rad zamąca, ten i duszę gubi.

— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Nie będzie między wami podziału, przegrody,
Na ludy pokolenia, rodziny, narody;
A jeśli wam powiedzą: to mieszkanie dziczy
Ta rzeka was przedziela, ta góra graniczy;

Mówicie: Bóg dla nich łaski jak i dla nas sączy,
Widnokręg nas pokrywa, i niebo nas łączy.

— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Wspomagać się będziecie wszelkiemi siłami,
Będziecie sobie braćmi, dziećmi, rodzicami,
Ciężar jednego, będzie dla wszystkich ciężarém
Miłosierdzie się stanie waszych praw wymiarem.
Jedyną pomstą krzywdy przebaczenie będzie,
Proste słowo umieśćcie w wielkich przysiąg rzędzie.
Niechaj cień wasz przechodnia uprzéjmie okrywa,
Niechaj chleb dla łaknących na progu spoczywa,
A gdy przyidzie rumianych owoców zbieranie,
Niechaj ich zawsze kilka na drzewie zostanie,
By znużony wędrowiec, oprócz utrudzenia,
Nie doznał strasznéj męki głodu, lub pragnienia.

Paulina K....

NIEBEZPIECZEŃSTWA IMAGINACYI.

NIEOMYLNĄ do szczęścia prowadzącą drogą, jest zaspokojenie losem który na nas przypadł; jednakże, czemu tak mało osób jest uczestnikami tego skarbu, mogącego bydź wszystkich udziałem? Nie rozszerzając się nad przyczyną braku tego przymiotu w mężczyznach, dość powiedzieć, że u jednych duma, u drugich ociężałość jest ku temu przeszkodą. U kobiet największą

do szczęścia zawadą jest imaginacya; ona bowiem będąc najsilniéjszą z wszystkich naszych władz umysłowych, wprowadza nas w krainę obłąkań i urojeń; a kto się tylko z prawdą minie, temu i z szczęściem spotkać się trudno. Imaginacya wszystkiego z łatwością dokazać może, ona nowe światy stwarza, i władzą swoją tłocząc umysły kobiet przeszkadza im do szczęścia, już to kréśląc idealne wypadki, już malując ludzi jakich nie ma, już nakoniec przedstawiając nam wzory cnót urojonych i zbytecznych. Wiadomo że co tylko z sobą na świat przynosimy, czego zmienić nie możemy, nazywa się losem, i że nam się to od Boga w udziale dostaje; jednak rzadko znaleść najpobożniéjszą nawet niewiastę któraby była zaspokojoną z przypadłéj na nią cząstki. Imaginacya każdej wystawia jéj położenie innych, korzystniejszém od własnego, przyszłość powabniéjszą od teraźniéjszości, tém samém usuwa wszystkie środki osłodzenia jéj losu, a zatruwa go natomiast; kobieta zbytnio się imaginacyij od-

dająca, wypłaca się niewdzięcznością za dobrodziéjstwa nieba, szemrze przeciw opatrzności, lub przynajmniéj do cierpień otwiera sobie drogę; bo wystawiwszy sobie przyszłość w czarującém świetle, stwarza nadobne jéj obrazy, zastanawia się nad każdym szczegółem, i w umyśle swoim w rzeczywistość je prawie zamienia; tymczasem sama rzeczywistość nadchodzi, i niezbłaganą rękąściera urocze malowidła. Nie lepiéjże więc tę silną umysłu władzę trzymać na wodzy rozsądku, i niepozwalać jéj zbyt silnéj władzy na umysł wywiérać?

Imaginacya równie się z ludźmi jak z wypadkami obchodzi, zdaje się że ta umysłowa malarka dwojakiego używa pędzla; jeden czarną, drugi różową napełniony farbą, pierwszym wystawia nam bliskie, drugim oddalone od nas przedmioty. Lecz najniebezpieczniéjszą staje się wtedy, gdy nam nasuwa urojone i zbyteczne cnoty. Mówiąc w tym przedmiocie, nie myślę bynajmniéj oskarżać płci mojéj, ani wieku

w którym żyjemy, bo nie ma światła bez cieniu, nie ma bogactwa bez zbytku; lecz pamiętać na to należy, że zbytek zarówno z bogactwem jak z nędzą graniczy, cnoty więc przesadzone łatwo nas w błędy wtrącić mogą, i zamiast chlubnych skutków, szkodliwe sprowadzić.

Każdy człowiek obdarzonym został mniéjszą lub większą siłą moralną; jeżeli jéj mylnie użyje, jeżeli ją wycieńczy na cnoty urojone, nie starczy mu jéj na prawdziwe, i wkrótce stanie się podobnym owemu marnotrawcy, który długo zbytkowe sprzęty skupował, a teraz potrzebnych pozbywać musi.

Każda kobieta ma podostatkiem cnót do pełnienia, niech tym zadosyć uczyni a wypłaci się Bogu i ludziom. Wszelako, jak mało jest kobiét wyżéj wychowanych, któreby pełniąc właściwe sobie cnoty nie pragnęły nadzwyczajnych; jak mało przestających na cichych spokojnych obowiązkach, jak mało takich których dusza do

uniesień skłonna nie żąda cnot urojonych, a serce na prostych uczuciach przestaje.

Ta żywość imaginacyi w kobietach jest skutkiem źle skierowanych nauk; kobieta bowiem mająca potrzebną tylko miarkę światła, widzi własną drogę prosto przed sobą, idzie nią, i jest szczęśliwą; ta zaś którą mocniéjszy promień oświeca, spostrzega i okoliczne drogi, czego nie dojrzy, tworzy; opuszcza swoją ścieszkę, goni za złudzeniem, a lubo go uchwycić nie zdołała, kocha swoje marzenie, i co raz bardziéj oddala się od rzeczywistości, od szczęścia.

Ileż naprzykład mamy niewiast pełnych ludzkości, które wszystkimi się trudnią, dla wszystkich ofiary czynią, wyjąwszy tych z którymi żyją; ileż matek, które się poświęcają dla dzieci, ale w taki sposób, że im i sobie zgubę gotują; ile przeciwnie takich, które własnym dzieciom odmawiają troskiwości, byle wychowankom dogodzić;

które całe poranki na modlitwie trawią, a nie wiedzą co się w ich domu dzieje; które zaciągają długi, byle hojne rozdawać jałmużny; które przesadzone w czułości, ofiary więcéj nad powinność cenią; które by życie dla nieznajoméj poświęciły osoby, a tym z którymi żyją żadną nie są pomocą; ileż takich które tkliwość należną ludziom, zwierzętom oddają; słowem, trudno wyliczyć wszystkie złudzenia imaginacyi w téj mierze, i całe pasmo cnót urojonych, zbytecznych, szkodliwych. Te uczucia nienaturalne przypominają nam wieśniaczkę udającą się o mil kilka na odpust, a niemowlę zgłodniałe zostawiającą w domu, lub ucznia który z łatwością wyłożył binom *Newtona*, a nie potrafi powiedzieć ile wynoszą dwie ósme złotego.

Takie to są skutki wybujałéj imaginacyi; ta królowa krainy omamień ciągnie ku niéj silnie swoje podwładne, i tém niebezpieczniejszą się staje, że właśnie nad témi niewiastami silniéj swą władzę rozciąga,

których umysł obszernemi ozdobiony wiadomościami, dusza wznioślejsza, serce do pięknych uczuć skłonniejsze.

Chcąc się tych niebezpiecznychułudzeń uchronić, najlepiéj religję obrać za tarczę; ścisłe dopełnianie obowiązków które ona zaleca, pokora, skromność, zgadzanie się z wolą Boga, przekonają nas że cnoty prawdziwe lubo proste są nas jednak godne. Kiedy Zbawiciel dla odkupienia rodu ludzkiego przemieszkiwał na téj ziemi, proste wiódł życie, proste wykonywał obowiązki; a my, słabe, ułomne istoty, miałyżbyśmy się sądzić wyższemi?

Nie starajmy się wynieść nad płeć, stan, i wiek nasz, nie szukajmy chluby z cnót i czynów nadzwyczajnych, ale raczéj w pokorze pełnijmy te, które się zgadzają z powołaniem i przeznaczeniem naszém; pamiętajmy, że gdyby świat miał wiele heroin wkrótce by matek, żon, i gospodyń zabrakło; że każdym krokiem kobiety roz-

sądek i prostota kierować powinny, i że nie należy sobie nowych stwarzać obowiązków, gdyż wypełnianiu koniecznie potrzebnych, z wielką tylko pracą wystarczyć można.

Paulina S......

UŁOMEK.

Życie człowieka podobne do drogi
Przy któréj rosną krzewy, ciernie, głogi,
Kwiat jeden widać, stojący na boku,
Swietnością miły sprawia widok oku.
Pączek, i listek zdobią jego wdzięki,
Nie zna dla jakiéj przeznaczon jest ręki;
Rośnie i kwitnie, ma wieczór, poranek,
Czeka aż w wonny zaplotą go wianek.
Tym kwiatem, postać jest każdéj kobiety,
Nęci, zadziwia, i zniknie niestety!

Kamilla Kosowska.

DZIEWICA

(Z RYCINĄ.)

Idzie, w piękności obłokom gwiaździstym
Lub nocy krain uroczych podobna,
Śmieje się miłe w jéj spójrzeniu czystém
Wszystko, czém cienie i światłość ozdobna
I blask tak luby, łagodny, i miły,
Jakiego nieba słońcu odmówiły.

Byron: Melodje Hebrajskie.

CZEMUŻ, choć młodość krasi jéj jagody,
Choć postać cała boskim ślni urokiem,
Błądzi samotna po nad brzegiem wody?
W obłokach czegoś tęschnym szuka wzrokiem,

I zamiast w wieńce świeże stroić skronie,
Igraszkom wiatru długie puszcza włosy?
Z pokorą składa miękkie, białe dłonie,
A lice błyszczy kroplą łzawéj rosy.
Pewnie do nieba szczere modły wznosi.
Lecz o cóż, piękna, niewinna, łagodna,
O co tak rzewnie władcy świata prosi?
Dusza jéj tkliwa, a jednak pogodna,
Jeszcze się widać nie starła z cierpieniem.
Chciałażby zmienić ciche dotąd życie?
Bogactw, przyjaźni, miłości złudzeniem
Rozjaśnić smutne, nieznane ukrycie?
Lecz patrz, to oko ku chmurom zwrócone
Jak czystym, boskim jaśnieje promieniem;
Spójrz na te ręce ku piersi ściśnione,
Słuchaj jak z wzniosłém, świętém uniesieniém
Płyną jéj z duszy niewinne wyrazy;
I powiedz: czyby zmiennych uczuć cienie,
Ziemskiego blasku zamglone obrazy
Zdołały takie obudzić natchnienie?
Ona też od dni najpierwszéj młodości
Jedną się tylko poiła rozkoszą,
Jeden ma tylko cel czci i miłości,
Tylko do niego jéj myśli się wznoszą;

A tą istotą tak silnie wielbioną
Jest Bóg — jedyną modlitwą dziewicy
Prożba, by czasem myślą uskrzydloną
Stanąć wśród jego niebieskiéj stolicy.
I często prożba wysłuchaną bywa;
Często, gdy w nocy pieśnią uwielbienia
Łagodny głos jéj milczenie przerywa,
Ciemność się nagle w potok światła zmienia,
Grono aniołów, uroczemi tony
Wtórują wdzięcznie pobožnemu pieniu,
I duch dziewicy lekki, zachwycony
Ku gwiaździstemu unoszą sklepieniu.
Co ona widzi będąc tak wysoko,
Próžno by badać; lecz gdy z dnia promieniem
Wróci na ziemię, błękitne jéj oko
Jeszcze tkwi w niebie z błogiém upojeniem.

Paulina K.....

WYJĄTEK

z PISM MARRYATA.

FREGATA nasza potrzebując naprawy stanęła w Antigoa, tam niedość że przez cały dzień będąc wystawionym na szkodliwe bagniste wyziewy pod skwarem słońca, że przez noc trzeba marznąć od przejmującego wiatru, lecz jeszcze ciągle obawiać się należy, niezbłaganego potworu, który tam wiecznie panuje pod strasznėm *febry żółtéj* nazwiskiem. Nasz pokład nieuniknął jego

odwiedzin, podnieśliśmy kotwicę i stanęliśmy w krótce, w zdrowszéj nierównie zatoce *Swiętego Jana*; biedni nasi towarzysze nawiedzeni tą okropną chorobą, nie mogli się jéj oprzéć, i z początkiem trzeciéj nocy po naszém przybyciu do zatoki, już tylko jeden pozostał. Było to dziecię mające lat dwanaście, młody uczeń żeglugi, mały cherubinek, ulubieniec i bożyszcze całéj okrętowéj osady. Przez cały ciąg choroby, znosił on swoje cierpienia z odwagą bohatera, i cierpliwością męczennika; lecz téj nocy był wzruszonym i niespokojnym, wzywał swojéj matki i siostry, chciał je widziéć koniecznie. Biedne dziecię! podczas gdy on walczył ze śmiercią, matka jego spała spokojnie w Anglji na miękkiem puchowém łożu i nie słyszała jego głosu, lecz głos ten doszedł do uszu młodéj siostry chłopczyny; jak? późniéj powiem.

Północ była bliską, gdy przechodząc po tylnym pokładzie przyglądałem się zupełnéj ciszy morza; ujrzałem kobietę średniego wieku, z szlachetną i pełną godno-

ści postawą, okrytą tylko długą nocną suknią, idącą szybkim krokiem po powierzchni wody. Zbliżyła się do okrętu, weszła nie wiem jakim sposobem do izby kapitana, gdzie złożono chore dziecię, i wkrótce usłyszałem słaby krzyk radości; »dziękuję ci żeś przyszła!" zawołał chłopczyna, i ostatnie wydał tchnienie. W kilka minut potém, zeszedłem wraz z doktorem do izby, zmarły spoczywał z uśmiechem na ustach, ręce miał na piersiach złożone, jak gdyby umierając przyciskał kogo do serca.......

Przybyliśmy do Anglji, nikt nie myślał ustnie lub listownie uwiadomić rodzinę biednego dziecięcia o jego śmierci. Wziąłem to na siebie, posądzono mnie o osobiste widoki, wystawiano sobie że chciałem korzystać z téj okoliczności, aby się wcisnąć w jeden ze znakomitszych domów w kraju; lecz jedyną moją pobudką była chęć przekonania się, czy też Hrabina wiedziała o tém, że duch jéj opuścił na chwilę ciało, i odwiedził umierającego syna.

Kapitan dał mi list, i pojechałem do Londynu.

Nie dręczyłem nieszczęśliwéj matki przeprowadzaniem jéj przez wszystkie odcienia zgonu; ze łzami w oczach, krótkiemi słowy oznajmiłem jéj bolesną nowinę. Żal mój tak był prawdziwy i szczery, że zwrócił jéj uwagę nawet wśród własnéj boleści; ścisnęła mi rękę, i wybiegła z pokoju ażeby się bez świadków oddać strapieniu. Jéj mąż hrabia Mowbraj przyszedł w krótce do mnie, z wyrazem męzkiego żalu na twarzy, i zaprosił mnie abym kilka dni w jego domu przepędził; pragnąłem tego, i bez namysłu przyjąłem zaproszenie.

Nie raz kierowałem nieznacznie rozmowę do przedmiotu, który mnie najmocniéj zajmował, lecz widziałem oczywiście, że matka jego niedomyślała się nawet, iż jéj przytomność umiliła ostatnie chwile syna; powiedziała mi, że do mego przybycia, nie miała najlżéjszego przeczucia o jego śmierci.

Cały tydzień spędziłem na łonie téj szanownéj rodziny; gdy list kapitana przypo-

mniał mi moje obowiązki, pożegnałem mego gospodarza i jego żonę, prosząc aby mi pozwolili raz jeszcze odwiedzić młodą ich córeczkę; zaczynałem się przekonywać, że tylko wyobraźnia złudziła moje oczy, ukazując im ducha idącego po wodzie, prócz tego, nie pamiętałem dobrze rysów zjawiska, zdawało mi się tylko, że były piękne lecz blade, a Lady Mowbraj miała świéże i świetne rumieńce.

Adela była piękną, dowcipną siedmioletnią dziewczynką, widziałem ją nie raz w salonie rodziców, poznajomiliśmy się ściśle, i zjednałem sobie całą jéj przychylność. Gdym wszedł do jéj pokoju, nauczycielki nie było; wziąłem dziecię na kolana i rzekłem:

Przychodzę cię pożegnać kochana Adelo; uściskasz że mnie na drogę?

— I owszem, ale czemuż Pan odjeżdżasz? kogo ja tylko kocham, ten mnie porzuca.

— A za cóż ty mnie kochasz, kiedy ja ci prawie zupełnie obcym jestem?

— Boś Pan kochał mego brata.

—Skądże wiesz o tém mała czarodziéjko?

—Bom widziała, téj nocy kiedy mamy obudzić nie mogłam.

Na te słowa zadrżałem, i zimny pot wystąpił mi na czoło.

— Powiedz że mi lube dziecię wszystko co ci się téj nocy przytrafiło.

— Nie mogę.

— Dla czego ?

— Bo raz zaczęłam to opowiadać przed Miss Broadling moją nauczycielką, a ona kazała mi bydź cicho, i niewspominać o tém nikomu, mówiąc że to był sen niedorzeczny, i że go zapomnieć powinnam. Ale ja zapomnieć nie mogę, i pewna jestem że to nie we śnie było.

— Ah! jakże bym chciał o tym śnie usłyszeć !

— I ja bym go Panu chciała opowiedzieć, bo i Pana w nim widziałam, i poznałam zaraz gdyś wszedł do naszego domu.

— A to dziwy! kochana Adelo, opowiadaj że mi twój sen.

5*

— Ależ to nie sen, bo ich było dwa, trzy, cztery, i to takim sposobem: kiedy wieczorem odmówiwszy pacierze kładłam się spać, zamykałam oczy mówiąc: »Boże czuwaj nad snem moim" bo mi mama zaleciła aby tego nigdy nieopuszczać. Raz gdy już zasypiać poczęłam zdało mi się, że moje łóżko i pokój poruszało się szybko; usłyszałam głos brata wołający na mnie, otworzyłam oczy, i ujrzałam się w dziwnéj jakiéjś izbie, w któréj na małém łóżeczku leżał mój brat, a pan siedziałeś obok niego. Podziękował mi żem przyszła z tak daleka, i jakby wiedząc że jestem razem przy nim i przy mamie, prosił abym jéj powiedziała że ją widzieć pragnie; chciałam mamę obudzić, lecz próżno wołałam na nią, próżno ciągnęłam ją za rękę, spała ciągle.

— Moje dziecię, było to skutkiem marzenia.

— Tak mi też Miss Broadling powiedziała, ale cóż? następnych nocy było zupełnie to samo; mój brat codzień był słab-

szym, Pan byłeś zawsze obok niego, ale mnie nie widziałeś, i nie słyszałeś cośmy mówili. Mój biedny brat martwił się bardzo, że nie mógł widzieć mamy, i powiedział mi nareszcie, iż nie może przyjśdź do niego, bo wieczorem pacierza nie mówi. Teraz zgadnij Pan com na drugą noc zrobiła?

— Nie zgadnę, ale radbym szczerze wiedzieć.

— Kiedy Miss Broadling zaczęła czytać modlitwę wieczorną, zamiast powtarzać jéj słowa, szeptałam sobie po cichu histoıyę małego Cock Robina, a że ona trochę nie dosłyszy, nie spostrzegła tego, położyła mnie w łóżku, uściskała mówiąc że jestem dobrą dziewczynką, i poszła do swego pokoju.

— A zatém téj nocy nie byłaś u brata?

— Owszem byłam, i mama także.

Zadrżałem na te słowa.

— Starałam się ażeby nie zasnąć dopóki mama nie przyjdzie; gdy nadeszła i nocną suknię włożyła, rzekłam jéj: mamo,

ja dziś byłam niegrzeczną, nie mówiłam pacierza. Mama zaczęła się gniewać na Miss Broadling, ale gdym jéj powiedziała jakiego użyłam figla, połajała mnie trochę i nie mogła się wstrzymać od śmiechu; widząc to rzekłam: mamo, ja nie będę mogła zasnąć bez pacierza, pomódl się dziś ze mną. Mama uściskała mnie mówiąc że jéj przypominam obowiązek, którego ona często zaniedbuje; uklękłyśmy, zmówiłyśmy razem pacierz i położywszy się wymówiłyśmy w jédnéj chwili: »Boże! czuwaj nad snem moim? W minutę, mama zasnęła, a we śnie widziałam znowu to samo co poprzednich nocy.

— Cóż takiego? zawołałem niecierpliwie.

— Zastałam mego biednego brata słabszym jak dawniéj, ale jak też był szczęśliwy gdy mnie ujrzał! powiedział że się już więcéj nie zobaczymy, lecz że będzie czuwał nademną dopóki żyć będę; że dobry Bóg wezmie mnie pod swoją opiekę, i uczyni mnie najszczęśliwszą z kobiet. »Teraz, kochana Adelo, rzekł: obudź ma-

mę, niech do mnie przyjdzie" Obudziłam ją z łatwością, mówiąc do ucha: „Mój brat Wiliam jest bardzo chory, chciałby mamę uściskać." Wstała natychmiast widziałam jak przeszła przez mur, zasnęłam, i już mi się nic nie śniło.

— A nazajutrz, czy mama pamiętała to wszystko.?

— Nie; pytałam się, czy jéj się co nie śniło, odpowiedziała mi, że nigdy jeszcze tak spokojnie jak téj nocy nie spała.

Korzystałem z téj okoliczności, aby przekonać dziecię, że kiedy matka nic sobie nieprzypominała, musiało to wszystko bydź skutkiem snu, i że jéj nauczycielka miała słuszność, radząc aby o nim zupełnie zapomniała; lecz sam wyszedłem mocno przekonany żem widział ducha żyjącéj osoby; od lat kilkudziesiąt żyję w téj wierze, i umrę w niéj bez wątpienia.

Ale co jest najdziwniéjsza w tém tajemniczém zdarzeniu, to, że gdy w siedm lat późniéj ujrzałem Miss Adelę Mowbraj, zapomniała zupełnie o swoich widzeniach.

Jednakże przepowiednia jéj brata spełniła się co do słowa, była ona najszczęśliwszą żoną, matką, przyjaciółką, zdrowie jéj przez całe życie było czerstwém, a śmierć w bardzo późnym wieku, tak łagodną, że ją tylko przéjściem do świetnego życia nazwać można.

Emilja Grabowska.



DO SZCZĘŚCIA.

O SZCZĘŚCIE! chytre widmo w postaciach tak wielu,
Fałszywym blaskiem strojne, powabem łudzące,
I gdzież cię znaleść można dążeń ludzkich celu?
Próżno, próżno ścigają nasze dłonie drżące;
Ty jak duch sennych marzeń, jak widziadło nocy,
Zaledwie twarz odsłonisz już znikasz przed okiem;
A my słabe narzędzia twéj dzikiéj przemocy,
Wraz z nadzieją, za tobą szybkim dążym krokiem.

Lecz pod jaką bądź barwą ukażesz się ziemi,
Czy dostatnie w przymioty, w postaci ziemianki
Chcesz przywabić młodzieńca, wdzięki czaro-
wnémi
Które zrównać są zdolne z wdziękami niebian-
ki;
Czy w przyjaźń zamienione, w te to bóstwo miłe
Co ostrą koléj życia kwiatami zaściela,
Słodzi troski, cierpienia daje znosić siłę,
I w anioła pociechy zmienia przyjaciela;
Czy obfite w bogactwa, błyszczące od złota,
Od kruszcu który nawet starców zmienia w dzie-
ci,
Przed którym sama tylko nie zegnie się cnota,
Z resztą, cały świat dumny, oślep za nim leci;
Słowem, gdzie się ukażesz, w jakiéj bądź postaci
Gdy się człek do cię zbliża, tyś zniknąć gotowe.
Kto mniema że cię posiadł, chyba rozum traci;
Co do mnie...ja nie myślę. Szczęście bądź mi
zdrowe.

Józefa P.......a

Wspomnienia

Z PODRÓŻY W NIEMCZECH.

Towarzystwa, Kobiety, Sławni ludzie.

Towarzystwa w Niemczech nie mając świetności i poloru modnych zgromadzeń, mają wdzięk sobie tylko właściwy, wdzięk naturalny, otwarty, swobodny. Dobroduszność nie znika na chwilę w obcowaniu, zawsze słodko przyjmuje młode i nieśmia-

łe zdanie, budzący się talent, mistyczną rzewność serc naiwnych. Nie ma tam szyderstwa, lekkości która lodem ścina wiosennych umysłów marzenia, nikt nie rozśmiesza złośliwym dowcipem, lecz każdy umie myśléć i głębokie drugich podzielać uwagi. Rozmowa Niemiecka zawsze więcéj do rozprawy niż do wesołéj towarzyskiéj rozrywki zbliżona. Młodzieniec w tych rozmowach czerpie światło, bogate wiadomości, umacnia swe zdanie, a co więcéj stokroć znaczy, zdolność wielbienia, zapał, rozwijają się w jego duszy swobodnie pod wpływem poważnych rozumowań.

Literatura, filozofija, nauki dostarczają obfitych żywiołów do rozmowy, zwolna ścierają się i rozwijają opinije. Nigdy zaczętéj mowy nieprzerywa nagle rzut śmiały i szyderczy, sceptycznéj humorystyki; wnioski gromadzą się porządnie, zapał i czucie ożywia mówiących, lecz wzgląd osobisty małe tam trzyma miejsce, idzie tu o zbadanie prawdy, i nieraz pokonany przeciwnik z równą radością widzi upadek

swych uprzedzeń jak gdyby głoszono jego tryumf! Ta bezinteressowność, to milczenie miłości własnéj, może tylko istniéć w kraju pojmującym ważność zasad rozumowych i przekładającym postęp wiedzy ludzkiéj nad egoizm i próżność. Lecz nie tylko ważne moralne prawdy taki zapał budzą, słyszałam rozprawiających o drobnych kwestyach erudycyi, filologji, archeologji z nadzwyczajném zajęciem. Nie jeden nazwałby to pedantyzmem, ja bym to raczéj sumiennością nazwała, sumiennością która najmniejszy odcień nauki pragnie oprzéć na stałych zasadach. W towarzystwach Niemieckich można pojąć ducha ich literatury i prac rozumowych; domyślać się ich dokładności i zgłębienia. Jeden podany przedmiot zajmie czasem zgromadzenie cały wieczór, wszystkie jego strony, wątpliwości wykazane, odznaczone; nie raz w takiéj rozmowie więcéj treści, więcéj materyału do rozmyślań niż w uczoném dziele. Z początku nieprzywykły czujesz utrudzenie, zwolna jednak moc myśli,

zdolności wzniosłe i uprawą rozwinięte tak silnie uderzają twój umysł, iż chciałbyś szybko biegący czas zatrzymać!....

Kreśląc tę charakterystykę rozmowy towarzyskiéj w Niemczech, miałam tylko na uwadze społeczeństwo światłe, zgromadzenie z uczonych i lubowników literatury złożone, Kobiety chociaż starannie kształcone, rzadko tu wznoszą się do myśli ogólnych, głębokich; rozmowy ich krążą zawsze prawie w zakresie życia domowego, rodziny, pierwotnego wychowania dzieci, indywidualnych uczuć. Znają wiele poetów i pisarzy narodowych, lecz wartość tych wsławionych ludzi, myśl ich utworów dziwnie drobnieją w ustach kobiet niemieckich; wzniosłe i silne obrazy *Szylera*, *Götego* przybierają barwę pieszczonéj sentymentalności. Mimowolnie pytasz siebie, czy to są też same arcydzieła, któremi od młodości serce twe się karmiło...... Sentymentalność zdaje mi się bydź wielkim błędem w wychowaniu kobiét, czułość bowiem i exaltacya tam tylko są użyteczne

gdzie moc rozumu trzyma je na wodzy i wykrywa podrzędność tych władz ducha. Samotne, zamknięte życie jakie niewiasty zwykle prowadzą w niemczech podaje żywiół téj wygórowanéj tkliwości, a tak często najpiękniéjszy przymiot człowieka staje się przyczyną obłąkania wyobrażeń, niekiedy nawet błędy rzeczywiste urokiem boskości okrywa! Ustronie nie jest tu żadną rękojmią, cisza rodzinna łatwiéj niekiedy rozżarza płomień namiętności niż wesołe i ożywione obcowanie towarzyskie... Serce tkliwe lecz nieprzezorne, rozumem nieoświecone wygóruje nawet wśród drobnych i codziennych zachodów gospodarskich, tylko myśl stała i rozległa nigdzie niebezpieczną stać się nie może! Lecz chociaż mniéj ważne rozmowy kobiet niemieckich, mają jednak tę wspólną cechę dobroci pobłażania czucia, która odznacza rozmowy mężczyzn. Spokojne i milczące na pozór, w zaufaném gronie niezmiernie żywe i wielomówne się stają. Aby lepiéj uprzytomnić czytelnikom położenie i charakter

kobiet niemieckich wypisuję tu kilka ustępów z wielkiego dzieła o niemczech Pani *Salm Dyk*. »Bogactwo i rozwinięcie oświaty wzmaga się ciągle w niemczech. Wielkie wypadki których widownią była Germanja dały popęd umysłom. Szczęście, sława, godność człowieka są tam na przemiany przedmiotem myśli i rozbiorów rozumowych. Ale pomimo tego ruchu, jest punkt którego niedotknęły ani wypadki, ani światło, a tym jest położenie kobiet równie w towarzystwie jak w domowém życiu. Wyjąwszy niektórych szczęśliwszych, w ogóle niewiasty niemieckie są tém czém były przed kilku wiekami. Postęp rozumu ludzkiego mało na nie wpłynął. Zapomniane w ustroniu domowém żyją tylko dla rodziny, i drobnych obowiązków życia, a kiedy wszystko w ogóle działa, dąży i oświeca się; one roslinnieją w stagnacyi nie wiedząc nawet o tém. Prawda ta przedstawia się ciągle, lubo z różnemi odcieniami zgłębiającemu kraje niemieckie; wszędzie życie niemek tak jest ograniczone, tak

zamknięte w ciasnym obrębie widoków że trudnoby nawet było co o nich powiedzieć, gdyby porównanie ich wychowania z oświeceniem kobiet innych narodów, nieprzedstawiało rozległego pola do uwag. Natura nie żąda, nie może żądać, aby towarzyszka człowieka, ta, co ma tworzyć pociechę i wdzięk jego życia, aby ta mówię wydziedziczoną była z wiana duchownego pokoleń, odsuniętą od wszelkich źródeł oświaty; nie w naszym to wieku wolno jest przypuszczać, że stłumienie zdolności moralnych może prowadzić do szczęścia.

W niemczech kobieta jest udzielną władczynią w domu, jak mąż rządcą i panem interessów majątkowych, życie jéj płynie wśród starań, każdy dzień jednakie przynosi zatrudnienia, one jéj wystarczają, ona je lubi, jest z nich dumną, niepojmuje wyższego celu istnienia. Przyjemności i zabawy towarzyskie uważa jako zbyteczne rozrywki, lub jeśli zajmują ją niekiedy szybko wraca do zacisza domowego

gdzie jéj cała wartość i władza ukryte. Mąż ze swojéj strony, spełnia oddzielny zawód, nie wdziera się nigdy w zakres powagi swojéj towarzyszki, przywykły do systematycznego podziału prac, nie mięsza w niczém jéj wolności, również jak ona zostawia mu zupełną wolę. Uważa on w niéj przewodniczkę ruchu domowego, ceni ją mocno w tym charakterze, ona wielbi go jak naczelnika rodziny i tak tworzy się wzajemny związek szacunku. Jeśli kiedy zerwie się to przymierze, przejście nagłe i nieprzygotowane oświatą, czyni męża burzliwym i uchybiającym, kobietę zaś, słabą i wątłą niewiastę, bez pomocy rozumu, rzuca w odmęt namiętności i świata. Jéj niewiadomość, brak wykształcenia, duch drobnoty (że się tak wyrażę) który podzielił nie jako zdolności, który ogarnia wszystkie jéj czyny, odbiera jéj wszelką moc woli, wszelką wyniosłość pojęć na obszerniejszéj świata widowni.....

Męczyzni sami już dziś zaczynają pojmować błędność takiego wychowania, czu-

ją smutną cześć w pożyciu z niższą od siebie istotą. Ztąd właśnie wypływa, że w towarzystwach mężczyzni tworzą oddzielne zgromadzenie. Cel zabiegów jest jeden, szczęście rodzinne; lecz myśli męża rozwinięte wielkiemi teorjami filozofów, wybiegają w wyższą sferę, gdzie ich słaba wiedza niewiasty dosięgnąć nie może i nie pragnie. Wyjąwszy rzadkie przykłady, mąż zwykle szuka spółeczeństwa światłych mężczyzn i po pracy dnia całego, na łonie przyjaciół czerpie ożywienie, którego w domowém życiu naprożnoby oczekiwał. Może takie wychowanie kobiet, ścieśniając ich wyobrażenia nie wystawia ich na te ruchy umysłowe, na te walki pojęć, które razem rozkosz i męczarnie dusz rozwiniętych stanowią; ale czyliż szczęście jest głównym celem życia człowieka? czyliż raczéj postęp moralny nie stanowi tu wyższego względu? Szczęście to nawet pozorne, czyliż szczęściem nazwać się może? kiedy ta młodzież dziś z zapałem na ławkach akademickich zebrana, szukająca z chci-

wością światła, prawdy, ci wychowańcy nieśmiertelnych nauczycieli, wrócą kiedyś w rodzinną zagrodę, cóż pomyślą naówczas o tak dziwnym przedziale, jaki między ich myślami a pojęciem niewiast, matek, sióstr, żon, kochanek istnieje? Czyż ta sprzeczność nie wywoła koniecznie zmiany? Ale jeśli wszystko potwierdza to przypuszczenie, nie lepiéjże wcześniéj zakréślić ich postępowy zawód, oprzéć zasady wychowania na widokach rozumu, niż zostawiać przedmiot tak ważny przypadkowym kolejom, ślepemu wpływowi czasu?

. . . .

Przyjęcie w średnich domach nigdy nie jest wykwintne, ale porządne i przyzwoite. W innych krajach wydanoby od razu summę, którą rodzina niemiecka kilka razy częstuje swych przyjaciół i znajomych, tym sposobem usuwa się przesada, wymuszenie, oszczędność jest widoczna, szczéra, wyrozumowana. Po skromnéj uczcie równie goście jak gospodarstwo są zadowolnieni. Pierwszych miłość własna nie została upokorzoną świetnością przechodzącą ich mie-

nie, drudzy niewyrzucają sobie zbytkowych wydatków. Zwyczaj ten dowodzi wielkiéj (podług mnie) oświaty, pożądany byłby w innych krajach, gdzie jeszcze wiele czasu upłynie nim nauczą się oszczędności od skąpstwa odróżniać........

W Dreźnie mniéj niż gdzieindziéj odznacza się właściwy charakter niemiecki, w towarzystwach; do wszystkich prawie łączą się cudzoziemcy, mieszając barwę miejscową zgromadzeń, a bogactwo osobliwości, naukowych zakładów, ważność literatury, kwitnący stan teatru, nakoniec oświecenie wielkie i wielostronne, dostarcza ważnych przedmiotów do rozmowy.

Do rzędu najprzyjemniejszych w Dreźnie towarzystw należą wieczory u Ludwika *Tieck* znanego w świecie literackim poety i pisarza. Wieczory te jednak małoby miały powabów dla żywych i lekkich charakterów, które w społeczeństwie szukają jedynie roztargnienia i zabawy. Godziny upływają na uczącéj rozmowie; przytomność autora Sternbalda utrzymuje umysł

zgromadzonych na stopniu rozwagi godnéj wsławionego gospodarza. On sam mało mówiący, miesza się niekiedy do żywych sprzeczek literackich, i jedném słowem pełném myśli i czucia często najzawilsze kwestye roztrzyga. Tak nie odpartą jest powaga talentu! szczególnie w przedmiocie estetyki trudno światlejszego znaleść znawcę. Na prośby przyjacioł *Ludwik Tieck* czyta niekiedy jaki ustęp swéj poezyi lub poetycznéj prozy, dotąd bowiem ciągle z niezmordowaną gorliwością w zawodzie literackim pracuje. Tieck ze wszystkich poetów Niemieckich najwięcéj przyłożył się do obudzenia tworczéj imaginacyi, a bardziéj jeszcze świetnéj i mistycznéj fantazyi w Niemczech. On najlepiéj zna wszystkie jéj głębie i usterki, najśilniéj umie władać cudownéni objawieniem skrytych żywiołów wyobraźni. On się przedarł do najdalszych tajników serca ludzkiego, wyszukał zachwycające dzwięki na strunach duszy człowieka, które poruszają subtelne odcienia namiętności i przeczucia... Styl jego prze-

siąkły jest żyźnym mistycyzmem jego myśli. Możnaby powiedzićć iż duch *Nowalisa* zjednoczył się z talentem pozostałego przyjaciela..... Najbardziéj rzeczywiste jego utwory mają w sobie pierwiastek mistycznéj rzewności. Wpływ harmonii na zmysły nasze, która działa przez nieznane nam siły za pośrednictwem najwyższych zdolności naszéj podwójnéj natury, wpływ ten mówię dokładnie jest pojęty i wzniośle wyrażony w dziełach Tiecka. On poznał, że władze życia duszy równie jak ciała ulegają wspólnie potędze dźwięku, bo świat organiczny i całe stworzenie ma współczucie z mową harmonii, z tchnieniem sympatyi mistycznéj, która tworzy łańcuch stosunków między ciałem i duszą, między duszą a światem..... (1)

Tieck jeszcze był dziecięciem kiedy wielki *Szyller* i nieśmiertelny *Göte* rozpoczęli szereg oryginalnych pisarzy. Odtąd młody poeta widział koleją przechodzące wsła-

(1) *France litteraire.*

wione talenta, olbrzymie gruppy genialnych ludzi, patrzał na budzący się zapał, rozkwitłe opinje, nowy kierunek estetyki. Zaledwie czuły młodzieniec mógł otrzéć łzę którą piękność arcydzieł wywołała, już zimna krytyka niszczyła urok..... pod ostrémi ciosy rozbioru, padały wiosenne nadzieje jak bławaty pod kosą żniwiarza! Tak wielki systemat *Kanta* rozwinął myśl Szyllera, napiętnował jego wyobraźnię czystą stoicką moralnością. Przyszedł Fichte, moc wyobrażeń się zachwiała...... potęga ducha jeszcze zdawała się za słabo oznaczona! człowiek twórca wielki, samotnik wszystko zjawieniem w około siebie mianował..... zmieniły się zasady sztuki, co mówię, ona zupełnie upadła, ona za nadto ziemską była dla teoryi Fichtego. W ówczas to ironija Szleglów zanuciła pieśń szyderczą nad zmarłą piękności władczynią. Ta ironija objęła swoim natchnieniem geniusz Götego, objęła, ale tylko na chwilę, jakby dla zniszczenia w nim wszelkiego współczucia z przeszłością. Na zie-

mi niemieckiéj rozwijał się już nowy geniusz poetyczny, wielki i razem filozoficzny, chcę mówić o Szellingu, on wrócił estetyce wydarte prawa, on rzeczywistość, naturę do dawnéj władzy doprowadził. W jego to systemacie autor Wertera znalazł żywioły właściwe swemu umysłowi. Zimny chociaż genialny *Göte*, wielki panteista przez pół wieku prawie wywierał wpływ potężny, cechował barwą swych myśli wszystkie pomniejsze talenta. Póki żył, krytyka mówić nie śmiała, z cicha tylko młodzi uczniowie Hegla, rzucali mocne uwagi, wymagając więcéj części dla władzy ducha w dziełach Götego, więcéj szacunku dla filozofii, dla godności człowieka. Umarł nieśmiertelny bard Fausta, Tassa, Götza i znów krytyka ostrym sądem zmięszała czystość wielbienia.... Tchnienie surowéj prawdy, wzruszyło gałązki cyprysów na grobie wielkiego człowieka rosnących, kilka nawet z żółkłych liści spadło na murawę...... Ludwik Tieck widział te wszystkie myśli koleje, widział

i czuł głęboko, lecz taka jest siła natchnienia iż go nic osłabić nie zdoła, wśród gwaru różnych opinii, on nucił swoje pieśni, swoje legendy, swoje fantastyczne obrazy. W obec silnych wzruszeń swéj duszy, dumne uroszczenia krytyki błahemi mu się zdawały; pojął że poezya nie może ulegać żadnym przepisom, że ten przyrodzony śpiew ducha, w tajemniczych odcieniach istoty człowieka, czerpie mimowolnie swoją barwę. Na próżno ludzie porównywają woń róży, fiołka, narcyza, jest to tchnienie ich natury, myśl ich przyrody, ona inną bydź nie może...... a potém czyż roskosz twórczych zdolności dozwala poecie lub pisarzowi myśléć o zdaniu krytyków?....

Pomimo sprzecznych i rozmaitych wpływów, Tieck zachowywał ciągle oryginalność w dziełach swoich, zdanie zaś jego dziś nosi cechę, tych burzliwych kolei estetyki, niekiedy uśmiech zimny szyderczy, słowo humorystyczne z ust jego się wymyka, rzekł byś że cień Götego lub echo

Pawła Richtera.... Pojęcia panujące dziś w niemczech we względzie estetyki różnią się mocno od dawniéjszych. *Listy estetyczne Szyllera* zostaną zawsze drogim pomnikiem moralności ich autora, ale one są zbyt oderwane. Filozofia Hegla tak silnie władze ducha pojmująca, w wielkiéj oprawie jedności łączy razem myśl i formę, rozumie możność urzeczywistnienia ideału. Forma estetyczna podług niego nie jest odrysem, naśladowaniem natury, ta natura jakkolwiek rozmaita i wspaniała będąc momentem idei w swéj sprzeczności, niższą jest od rozumu, on splamiłby się mechaniczném powtarzaniem jéj rysów. Tylko wzniosła moc ducha, powinna wyrażać się w utworach sztuki, forma takiéj potęgi nie może bydź narzuconą, od przeszłości wziętą, ona musi wyrosnąć z natury przedmiotu. W takiém pojęciu znikają wszelkie podrzędne sprzeczki, o szkołach i formach w literaturze; widzimy ich błahość i wątłość. Tak to stanowiska wielkiéj mędrca myśli, mnogość sprzeczności i zagadnień

w nicość się zamienia. Ten zwrot ku urzeczywistnieniu zaledwie upowszechniać się zaczyna, w praktyce jeszcze bardzo mało liczy pomników. Wielcy malarze szkoły Dysseldorfskiéj i Bawarskiéj idą jeszcze za kierunkiem dawnego idealizmu, dla tego u nich mało znaczy forma, kompozycją pomysł uważają wyłącznie godnemi zgłębienia.... Kto wie nawet czy forma wyrosła z ducha jaką Hegel pojmuje, może bydź kiedy zastósowaną w malarstwie. Tu zawsze naśladowanie natury, ważne trzymać będzie miejsce. W poezyi to jego teorya nieskończone korzyści rokuje, ideał bowiem rozwiniętego ducha przewyższa niezmiernie ideał oderwany, nadziemski; piérwszy niewiedział prawie jakich farb dobrać do swego obrazu, drugi, znajduje je w rzeczywistém życiu człowieka; pierwszy rozwijał tylko jedną stronę prawdy, drugi połączył w sobie idealizm, realność; wiedzę ze swoją rozmaitością i rozum ze swą niezmienną jednością. Pierwszy ginął w nieskończoności, drugi rzeczywistość tylko boskością przeniknie... tam-

ten, nie zniżał się nigdy do myśli użytku, błąkając się w krainie wielkich i bezcelnych marzeń, drugi istotne rysy życia w nieśmiertelność przeleje; na ten postęp estetyki także wpływ mieć może zaspokojenie, już bowiém tajniki duszy człowieka zdają się zupełnie prawie zbadane, w oprawie nowszych systematów zniknęły wątpliwości dawnéj psychologii, poczya teraz mniéj może będzie mistyczną, marzalną, lecz za to potężniéjsza, mniéj oderwana od naszéj podwójnéj natury, cząstka ideału przez nią odrzucona uzmysłowi się w moralności rzeczywistéj. Z tą zmianą pojęć estetycznych jest w związku dzisiejszy charakter stylu, od *Kanta do Gansa* postęp w tym względzie jest niezmierzonym. Równie jak w estetyce, w filozofij zaszła wielka zmiana; tego co nazywano dawniéj metafizyką, abstrakcyą, nie ma już prawie w dzisiéjszym pojmowaniu rozumu, ktoś porównał wpływ systematu Kanta do wpływu Kopernika na astronomiją, porównanie to bardziéj jeszcze do Hegla zastosować można, on sfe-

rę nadziemską w ziemskość przenieść usiłował; dawniéj prawda przedstawiała się w postaci piękności idealnej, teraz piękność jest w rzeczywistości, w prawdzie..... Kreśląc te uwagi (może cokolwiek zawiłe dla nieobeznanych, z najnowszą filozofją) opowiadam tylko zdania krążące dziś w Niemczech o estetyce. Umysł mój uderzony wielkością teoryi Hegla, która dziś wszystkie gałęzie poznania owładnęła, nie śmie sądzić, rozum nie może znaleść żadnego zarzutu, bo i on obięty w mistrzowską mędrca oprawę; wszystkie wątpliwości wytłomaczone, przewidziane, a jednak wśród wielbienia nawet, serce moje tęskni mimowolnie za idealizmem, przywykłe oddawna w krainie nadziemskiéj czerpać dla siebie żywioł, nie może się od niéj oderwać.... nie może żyć nową karmią.....

Tieck rozpoczął swój zawód od powieści, w których okazał wielką czułość, naiwność i naturalność, późniéj prace estetyczne całkiem go zajęły, wraz z przyjacielem swoim *Wackenroderem* pisał *myśli o sztuce*, a sławne

jego *Sternbald's Wanderungen* przedstawiają to rozwijanie się czucia sztuki w genialnym młodzieńcu. Myśl tę późniéj zastosował Nowalis w swoim *Henryku von Offterdingen* do poezyi. Przyjaźń ze Szleglem wzmagała jego gorliwość w ustaleniu zasad estetyki, często jednak ulubione powieści odrywały go od téj pracy. Jego tłómaczenia Szekspira, rozbiór dzieł jego i talentu mają wielką wartość. Dziś 65 lat mający starzec mniéj okazuje natchnienia, lecz za to mało ludzi wielostronniejsze i bogatsze posiada wiadomości; lecz cóżem wyrzekła? autor genialnych recenzyi zasługujeż na zarzut ostygnienia uczuć, braku natchnienia?

Tidge należy także do osób budzących silne zajęcie w cudzoziemcach którzy zwiedzają Drezno. Lecz poeta ten dla przyjaciół tylko jest widzialny, wiek zwątlił już jego siły moralne niegdyś tak energiczne. Niedawno obchodził 86 rocznicę życia swego w gronie przyjaciół. Życie Tidgego godne jest zazdrości—przeżyć lat 86 i nie

znać prawie żadnych trosk materjalnego bytu, w opatrznem losu zrządzeniu znajdować ustalenie przyszłości, przeżyć mówię lat tyle wyłącznie pracom naukowym oddany, wśród przyjaciół światłych i genialnych; zbierać laury sławy nie doznawszy nigdy ostréj krytyki, znaleść tak stałą i godną przyjaciółkę w Elizie *von der Recke*, zwiedzić w jéj towarzystwie zajmujące kraje południa, patrzéć na pierwszy połysk literatury ojczystéj i zwątlonemi już siły dzisiejszą jéj wielkość podziwiać; doznawać tylko słodyczy myślenia, nie sięgając nigdy do głębi duchownych zagadnień, które miotają gwałtownie umysłem, ach zaiste taki podział może słusznie zawiść obudzać!....

Tidge wsławił się w młodości listami poetycznemi który to rodzaj naówczas przez *Glejma*, *Jakobiego*, *Schmita* bardzo był upowszechniony. W listach tych już przebijał właściwy mu charakter prostoty i wzniosłość razem. Późniéj *Urania* liryczno-dydaktyczny poemat powiększył jego

sławę. Lecz nad wszystkie jego utwory najwięcéj wdzięku mają elegje które wydał w dwóch osobnych tomach. Oprócz tego znany jest jego poemat *der Markt des Lebens* i wiele innych. Tidge nie należy do rzędu geniuszów, lecz talent jego wyrobiony czystym smakiem i głęboką nauką, niekiedy wznosi się do natchnień genialnych, zawsze zaś jest tkliwy i pełen moralnych myśli.

Jeźli rzadko uderza nas szczytność w jego utworach, trudniéj tam jeszcze ślady słabości lub zaniedbania wyśledzić. Dziś już nie pisze, przyjaźń Elizy *von der Recke* zapewniła jego utrzymanie, a miłość przyjaciół, cześć ziomków umila ostatnie lata cnotliwego starca.

O ileż bym jeszcze do tych kilku wspomnień innych przydać mogła! Drezno jest siedliskiem wielu wsławionych w naukowości niemieckiéj mężów. Miłe położenie, moralność mieszkańców, częsty pobyt cudzoziemców, nęcą do niego wszystkie wyższe umysły które po trudach całego życia szuka-

ją spoczynku i łatwych dla myśli żywiołów. We względzie sztuki komuż nie są znane pracownie *Vogla* królewskiego malarza szczególniéj w rodzaju historycznym; sławnego malarza *Dalla* tego syna północy który nowy rodzaj malowania krajobrazów w dziedzinę sztuki wprowadził. W Dreznie także wśród grona ceniących go ziomków żyje znany malarz pejsażów mistyczny poeta natury, przyjaciel *Szlegla*, *Tiecka*, *Nowalisa*, genialny *Frydrych*. Mniéj świetny, mniéj barwisty jak Claude Lorrain, więcéj może ma czucia i głębokości myśli. Znawcy oburzą się na to zdanie, lecz czemużbym szczerze wrażeń swoich wyznać nie miała. W krajobrazach natury mistycyzm bardziéj niż gdziekolwiek jest właściwy, smętna i nieokréślona wyobraźnia człowieka unosząc się po nad utworem jest jakby piętném, jakby orzeczeniem przyrody przez ducha naszego..... naśladownictwo niezrówna nigdy naturze w zewnętrznéj piękności, myśl tylko rozsiana na tle pejzażu łączy i harmonizuje odcie-

nia, człowiek przenosząc na płótno rysy rzeczywiste nie przestaje bydź twórcą.... Mało jest artystów w którychby ta wielowładność ludzkiego geniuszu, bardziéj widoczną była jak w Frydrychu. Krajobraz jego zawsze ubogi w szczęgóły, prosty, tym więcéj, głębokość kompozycyi wykrywa.

Ponieważ w tych wspomnieniach przedsięwzięłam unikać wszelkiéj niewolniczéj systematyczności, uczynię tu jeszcze wzmiankę o zajmujących kazaniach sławnego w teologii niemieckiéj *Ammon*, tém bardziéj że nauki te bardziéj do światłéj rozmowy niż do wymuszonego kazania podobne. Od młodości oddany pracy umysłowéj, niegdyś zwolennik Kanta, *Ammon* pracował długo samodzielnie i głęboko. Umysł jego wzniosły powziął piękny zamiar połączenia religij z filozofią. Wśród tylu sprzecznych systematów przedsięwzięcie to przechodziło siły jednego człowieka, nie spełnił go też Ammon na drodze spekulacyi rozumowéj. Bogaty w wiadomości i mi-

łość prawdy, nie miał tego wytrwania geniuszu które jest rękojmią skutku. Znękany polemiką, czując wielkość pisma Ś. ograniczył się odtąd na zgłębianiu zasad moralności, podług myśli Boskiego nauczyciela. W tym przedmiocie dzieła jego mają niezmierną wartość. Widoki jego moralne zbliżone są bardzo do praktycznego rozumu Kanta. W ogólności, myśli Ammona krążą w sferze przez Hegla tak właściwie rozsądkową nazwanéj, talent jego ma więcéj świetności niż ujęcia wewnątrz. Wymowa przyjemna i ozdobna niekiedy, przeniknioona zapałem, zawsze nosi cechę najczystszych zamiarów. Godny ten starzec, 74 lat liczący nieprzestannie pracuje, zna wszystkie nowe dzieła teologiczne, filozoficzne, a porównywając kazania jego które słyszałam z dziełami dawniéjszemi znalazłam wielki postęp pojęć, silne owobodzenie myśli.

E. Ziemęcka.

SONET.

Jeśli cię rozkochany młodzieniec zapyta:
»Czy ta która przezemnie teraz jest wielbioną,
Jak dziś dobrą kochanką, dobrą będzie żoną?"
Niechaj w przódy badawczo twoje oko czyta,

Niech patrzy jaka w twarzy myśl serca wyryta:
Gdy spostrzeżesz rumieniec i mowę zmienioną,
Gdy ujrzysz że jagody żywszym ogniem płoną;
Powiedz mu: ah! to anioł ziemski nie kobieta!

Bo wierz mi przyjacielu, on niechce twéj mowy,
Lecz pragnie byś był echem jego własnéj duszy;
Wskaż jéj błędy, wnet powie żeś krytyk surowy.

Tysiączną liczbą pochwał dla niéj cię zagłuszy.
Gdzie miłość górę bierze, precz rozsądek zdrowy.
Gdy już zmienić nie zdołasz, więc oszczędź katuszy.

Józefa P.......a

SONET

ODLUDEK.

Dusza kuta ze stali w lodowatém łonie,
Serce jak głaz grobowy, martwe, nieużyte,
A myśli jak w zwierciedle na twarzy wyryte
Któréj radość na chwilkę nawet nie owionie;

Czasem ogień w niéj błyśnie, jak w ostatnim skonie;
Lampa, któréj światełko o trumnę odbite
Wraża jakąś okropność, jakąś trwogę skrytę
I zimnym potem zlewa żyjącego skronie.

Nieznane są dla niego przyjaźni ogniwa
Nieznany świat uniesień, nieznane cier-
pienia,
Ni szczęście, ni nadzieja ni pociecha tkliwa;

Choć z piersi ulatują niekiedy westchnienia;
Lecz zkąd one pochodzą, co je z nich wy-
rywa?
Nikt niezgadnie, a oczy nie zdradzą mil-
czenia.

Józefa P.......a

Hymn do Boga.

Gdzież moc moja bez Ciebie o potężny Boże!
Czyż duch mój wieszczéj siły uczuje natchnienie?
Czyż myśl ma wznieść się zdoła w niebieskie przestworze,
I święte, pełne wiary zanucić Ci pienie?
Ah! litości, opieki, ja w téj chwili wzywam;
Wysłuchaj moiéj prozby mój Stwórco i Panie!
Nie chcę bogactw, o nie to ja szczęściem nazywam
Dusza czysta i wzniosła, oto me żądanie!

Lecz jestżem jeszcze godną twéj świętéj pomocy?
Czy ułudnym urokiem kiedy niezwiedziona
Nieopuściłam cnoty, w pośród błędów nocy,
I nie będę przed Twoim tronem zawstydzona?
O ty! któremu znane każde nasze tchnienie,
I naszego istnienia znasz wątłą budowę
Pomnij że nawet w smutnéj chwili przewinienia
Me serce już przebłagać Cię było gotowe.
A jeśli w najtrudniejszéj dla śmiertelnych dobie
W szczęściu, jam zapomniała winnéj Ci wdzięczności
Ah! jak prędko zwracałam myśl moją ku Tobie
I z pokorą błagałam znów Twojéj litości.
Twórco mój! ojcze dobry! chciéj winy darować!
Wszak nawet czarnéj zbrodni nie karzesz bez miary,
I racz znękaną duszę raz jeszcze zachować
By razem nie straciła nadziei i wiary.

Prowidencya z Zawiszów Mierzyńska.

OBŁĄKANA.

POWIEŚĆ.

Uderzono we dzwony wiejskiego kościołka; na to hasło, mieszkańcy całéj włości zaczęli się zbierać przed zamkiem, bo w tym dniu, nowa dziedziczka do wsi przyjechać miała. Pleban ustawił wszystkich w śród długiéj, drzewami wysadzonéj, do zamku prowadzącéj ulicy; dzieci biało przybrane najprzód młodą hrabiankę

powitać miały; daléj młodzież, po jednéj stronie chłopcy, po drugiéj dziewczęta; każde z nich czerstwe, rzeźwe, i w świątecznéj odzieży; najpiękniejsza z całéj wsi para, miała nowoprzybyłéj ofiarować wieniec polnych kwiatów, godło prostoty i czystości ich obyczajów; za młodzieżą, stali gospodarze i gospodynie, pierwsi składali w dani owoce ról i ogrodów, drugie, cienką jak śnieg białą przędzę; na końcu dopiero, starcy płci obojéj chlebem i solą przyjmować mieli panią, piérwszy raz do swego wstępującą domu.

Już każdy zajął przeznaczone sobie miejsce, gwar ochoczy napełnił powietrze, i głośne powstały rozmowy, ściągające się po większéj części do oczekiwanéj dziedziczki.

— Czy znasz naszę nową panię? zapytała jedna z młodych dziewcząt swojéj sąsiadki: czyś o niéj co słyszała?

— Nie, nieboszczkę Hrabinę to widziałam kiedy przez naszą wieś przejeżdżała, i choć

tylko pięć lat miałam wtedy, pamiętam ją doskonale; ależ ona dzieci nie miała.....

—Bo też hrabianka nie jest jéj córką, nieboszczka pani znalazła ją gdzieś w lesie, wzięła z miłosierdzia, wychowała, a potém za własne przybrała dziecię.

— Szczęśliwa! że też to mnie nikt nie znalazł, kiedym się także po lesie błąkała.

— Albo to ci źle pomiędzy nami Elźbietko?

— Dobrzę, ale widzisz Anusiu byłabym bogata, a ojciec Tadeusza powiedział, że mu się tylko z bogatą ożenić pozwoli.

W tém z zamkowéj wieży trąbka zabrzmiała, znak że w dali ukazał się powóz hrabianki; wszystko umilkło, sędziwy pleban z krzyżem w ręku wyszedł na jéj spotkanie, a ona ledwie zobaczyła bożego sługę; wysiadła z powozu, postąpiła ku szanownemu mężowi, z pokorą schyliła przed nim głowę, i przyklękła gdy nad nią szczere błogosławieństwo wymawiał. Łzy błysnęły w oczach kapłana, rozrzewniony zapomniał mowy którą miał dziedziczkę powitać, tylko ręką na obecnych wskazał,

dzieci ośmielone łagodnym wyrazem jéj twarzy, mimo poprzedniego zakazu plebana, zaczęły się cisnąć około hrabianki, która pieszcząc iasne ich włoski, całując rumiane lica, zbliżyła się z uśmiechem do dziewic, i wyciągnęła do nich ręce; tu zmieszał się zupełnie przepisany porządek, wzruszeni taką dobrocią poddani otoczyli tkliwą hrabiankę; starcy, dzieci, młodzieńcy, niewiasty, ubiegali się o uściskanie drobnéj ręki, którą tak uprzejmie każdemu podawała; a przynajmniéj o dotknięcie białéj sukni, lub powiewnéj wstęgi od kapelusza, co jéj płowe okrywał włosy. Przy drzwiach zamkowych stanąwszy, miłemi słowy pożegnała wszystkich, lecz odgłos hucznéj wesołości brzmiał na dziedzińcu, aż do chwili w któréj do koła nakryto długie stoły, a w miejscu gdzie się z sobą schodziły, wśród starców i dzieci zasiadła młoda dziedziczka; wtedy cicha, rzewna radość zastąpiła miejsce szumnych igraszek, uśmiech na każdéj prawie twarzy, łza w każdém zabłysła oku,

i pewno ile serc w wiosce tyle szczerych westchnień o pomyślność hrabianki Izydory wzniosło się do nieba; bo nie ma większéj dla kmiotka roskoszy, jak gdy widzi że go pan kocha, poważa, nie gardzi prostą jego duszą, i że w niektórych przynajmniéj względach za równego sobie uważa.

Położenie téj wioski zajęło mocno hrabiankę, pod czarnym jodłowym lasem stało kikanaście porządnych chatek, daléj obszerny starożytny zamek, po którego ścianach bluszcz się wił miejscami, a w nadwerężonych basztach i wieżyczkach już się ponure gnieździły puszczyki; na drugiéj stronie wioski, świéża, zielona, tysiącem kwiatów ubarwiona łąka, po niéj wesołe igrały trzody, i weselsze jeszcze śpiewy pastuszków rozlegały się daleko. Izydora przebywając to miejsce, niepojętego doznawała wzruszenia, każda część tego obrazu, była jéj dobrze znaną; gdzie ją widziała? czy w tém długiém paśmie snów i marzeń dziecinnego wieku? czy w opi-

sach które czytała, czy wreszcie w opowiadaniach nianiek? nie mogła sobie przypomnieć, lecz pewną była że w marzeniu czy w istocie, igrała po téj świéżéj zielonéj łące, że przyglądała się nie raz szarym potłuczonym posągom, co stały w zamkowym przysionku, że w takim samym, czarnym jodłowym lesie płakała gorzko i długo.

W kilka dni po swojém przybyciu postanowiła każdą chatę odwiedzić; wszędzie witano ją z najszczerszą radością, lecz za każdym progiem wzrastało w Izydorze przekonanie, że zna oddawna te białe czyste izdebki, te obrazy świętych pozawieszane na ścianach, nawet te twarze wieśniaków, co wczoraj jeszcze przy świątecznym ubiorze obcemi jéj się zdawały.

Wyszedłszy z ostatniéj lepianki ujrzała małą pod samym lasem leżącą smugę; rzadka trawa zaledwie ją pokrywała, w pośrodku stał zrąb, zapewne staréj zwalonéj chaty, o kilka kroków ztamtąd klęczała nędzna i nie młoda już kobieta, z wzniesio-

nemi w górę oczyma, z założonemi na piersiach rękami zdawała się oczekiwać czegoś. Izydora zdziwiona szczególnym jéj ubiorem i postawą, spytała towarzyszących dziewcząt co to była za kobieta?

— Ah! to biedna Ambrożowa, zawołała stojąca najbliżéj hrabianki: lecz zaledwie wymówiła te słowa, klęcząca powstała, wlepiła oczy w ogniste promienie zachodzącego słońca które właśnie stary zrąb rumieniły, i z wyrazem najokropniejszéj rozpaczy zawołała:

— Gore! gore! ratujcie!......

Pędem zbliżyła się ku zwaliskom, nagle stanęła, załamała ręce, mówiąc: o Boże! Boże! wszędzie ogień, zewsząd płomienie buchają! a moja Dorka, moja biedna dziecina!.... ah cóż się z nią stanie mój Boże!...

Postać jéj i rysy zmieniły się okropnie; w każdym ruchu przebijała się niepojęta jakaś dzikość, bez przytomności biegała w koło chaty, szarpała swoje suknie i włosy, a spostrzegłszy zdumioną Izydorę

zbliżyła się do njéj; uklękła i słabym głosem mówić zaczęła:

O! zlitujcie się, zlitujcie!.... wyznacie moją Dorkę, tę piękną z złotemi włosami dziewczynkę, tak się często z wami bawiła, brałyście ją na ręce, stroiłyście w kwiaty, a teraz! patrzcie! ona tam w płomieniach leży! niktże jéj nie uratuje?...

Poskoczyła znów ku zrębowi, z niezrozumiałym prawie wrzaskiem, wszelako Izydora dosłyszała tych wyrazów: „ludzie bez duszy! patrzą, śmieją się, a nikt jéj ocalić nie myśli!......"

Z uniesieniem wbiegła w śród porozrzucanych belek, chciwym wzrokiem patrzyła do koła, nakoniec poniosła ręce do czoła.

— Niema jéj! krzyknęła, nieludzki głos jakiś wyszedł z jéj piersi, i wysilona padła w śród zwalisk.

Izydora drżąca jeszcze z wzruszenia i przestrachu, przystąpiła wraz z wiejskiemi dziewczętami do nieszczęśliwéj, i po długich usiłowaniach, udało się przywrócić ją do życia; zaledwie przyszła do

siebie, wieśniaczka spójrzała na otaczające osoby i łagodnie rzekła:

— Znowu ten straszny sen miałam!

Przyklękła, przeżegnała się pobożnie, i zaczęła odmawiać pacierze.

Hrabianka nie chcąc jéj przeszkadzać, odeszła o kilka kroków, i powtórzyła pytanie, kto była ta nieszczęśliwa? Odpowiedziano jéj że to biedna obłąkana, która po stracie dziecięcia i rozum straciła.

Izydora zamyślona wróciła do zamku, nigdy jeszcze tak mocno wzruszoną nie była; dziwna rzecz! w jéj wspomnieniach także stał pożar, izba w płomieniach i dwa rzędy palących się domów, w śród których pędzona przestrachem uciekała z całéj siły.

Wspomnienia te, chociaż zamglone, niepewne, dalekie, niepokoiły hrabiankę; szczególny związek między niemi, a całą tą okolicą, osobliwie zaś podobieństwo ich z wspomnieniami biednéj obłąkanéj wstrząsały umysłem Izydory.

Wiedziała ona, że lubo dziedziczka dóbr i tytułu hrabiny była tylko przybranćm

jéj dziecięciem; jednakże zkąd jéj ród? jakim sposobem dostała się do domu mojéj opiekunki? o tém nie słyszała nigdy, bo ilekroć ciekawa dziewczynka pytała o te szczegóły hrabiny, ta pieszcząc ją i przytulając do łona odpowiadała zawsze:

— Prawda że mi niebo odmówiło imienia matki; ale Izydoro, tyś nie losem, tyś wyborem serca moją córką została, czy na tém nie przestajesz? czy ja cię nie dość kocham że jeszcze innéj pragniesz rodziny.

Przy tych słowach łzy skrapiały twarz hrabiny, a tkliwe dziecię nie chcąc jéj martwić, wstrzymywało się od podobnych zapytań, i z laty zapomniało prawie że tylko wdzięczność łączyła je do téj którą matką nazywać przywykła. Lecz teraz kilkanaście lat spędzonych w przepychu znikło prawie z jéj pamięci, przypominała tylko sobie, czém była nim poznała hrabinę, i tysiąc dziwnych niezgodnych z sobą domysłów dręczyło jéj umysł. Kto wie? mówiła do siebie: może ja z téj wioski je-

stem? może to mnie ta biedna kobieta tak gorzko żałuje?. .. czemuż mi matka nie wspomniała o mojém urodzeniu?..... i co za tajemny pociąg nęci mnie do téj okolicy, do téj obłąkanéj?

Próżno jednak nie pokoiła się Izydora; prawda zdawała się jaśnieć w jéj duszy, lecz tak daleko, tak gęstą przykryta zasłoną że niepodobna ją było rozeznać, zasnęła późno, a nie miłe obrazy otaczały ją przez noc całą. Nie mogąc się z tych miejsc oderwać, postanowiła osiąść w nich na czas jakiś.

Mnóstwo gości zjeżdzać się zaczęło; stare kobiety ciekawe poznać przybrane dziecię hrabiny, i osądzić czy też znać w jéj osobie z jakiego pochodzi stanu; dziewice zwabione szerzącym się odgłosem o jéj dobroci, uprzejmości, i wysokiém ukształceniu; nakoniec młodzi ludzie, pragnący widziéć dziedziczkę ogromnego majątku, podobać się, a może i jéj rękę otrzymać. Lecz w tłumie nieznajomych, najmilszemi jéj były odwiedziny starego lekarza Hen-

ryka, słyszała bowiem wiele o jego wiadomościach i spodziewała się, że za ich pomocą biedna obłąkana do któréj codzień mocniéj się przywiązywała, odzyska stracony rozum; ale lekarz wybadawszy pilnie stan choréj; oświadczył że mało ma nadziei, że tu nie na fizyczne lecz na moralne władze działać należało. Próżno Izydora coraz nowe tworzyła zamiary, próżno wysilała swój dowcip na ułożenie planu, któryby wstrząsając umysłem obłąkanéj, mógł go do dawnego przyprowadzić stanu; bo wreszcie, choćby się udało przywrócić nieszczęśliwéj ciągłą przytomność, jakąż by ona ztąd odniosła korzyść? chyba tę, że z równą siłą czuła by zawsze bolesną stratę.

Przedsięwziąwszy zamieszkać tę wioskę Izydora kazała poprzywozić sobie sprzęty, i przedmioty do zwykłych jéj zatrudnień służące. Choć dobra w których z przybraną matką mieszkała o kilkanaście mil były odległe, rozkaz jéj szybko został wykonanym; i mogła się w krótce zajmować po

dawnemu; czás prędzéj zbiegał, rzadko czuła że w tym obszernym zamku sama tylko mieszka.

Pewnego wieczora kiedy nikogo z gości, nawet często bywającego Henryka nie było hrabianka otworzyła swoje biórko i zaczęła przeglądać zawarte w nim papiery; listy swych przyjaciołek, dziennik zapisywanych myśli, i zatrudnień; przestrogi i rady zmarłéj matki, wszystko to po kolei przechodziło pod okiem Izydory, nakoniec w małéj szufladce w któréj oddawna zapomniane świstki spoczywały, ujrzała lis złożony starannie i zapieczętowany; chwyta go ciekawie, poznaje pismo zmarłéj hrabiny, i z biciem serca rozłamuje pieczęć.

List ten musiał bydź pisanym na krótki czas przed zgonem, bo drženie osłabionéj ręki znać było w každym wyrazie; ze łzami w oczach, i z mocném wzruszeniem Izydora zaczęła czytać.

»Nie wiem drogie moje dziecię czy kiedykolwiek wpadnie ci w rękę to pismo; dałby Bóg żeby to przynajmniéj późno bydź mogło, bo mnie jakieś ostrzega przeczucie, że przeczytawszy to wyznanie, mniéj mnie kochać, mniéj poważać będziesz; a ta myśl, Izydoro! ta myśl, w grobie by mnie jeszcze dreszczem przejęła! Wszelako, tak blisko śmierci muszę wyznać prawdę; muszę, żeby się od jednéj przynajmniéj uwolnić zgryzoty.

» Wiesz już że nie natura, lecz moja wola utworzyła istniejące między nami związki; nie wiesz jednakże jak i kiedy się zawiązały, bo wspomnienie to odnawiało zawsze pamięć niesprawiedliwości, którą popełniłam, i dla tego oddalałam je o ile mogłam od siebie.

» Szesnasty rok upływa, gdy sama na świecie, znękana cierpieniem, zawiedziona w najsłodszych serca uczuciach przejeżdżałam przez las D.... Świtać ledwie zaczynało, lecz mocniéj niż różowy blask

jutrzenki, płonęła z drugiéj strony łona dalekiego pożaru; w smutnych zatopiona myślach mniéj na to zważałam, lecz żałośny płacz dziecięcia wyrwał mnie z zadumania, bo głos ten nigdy na próżno mego nieuderzył ucha; zatrzymałam się; pod drzewem na zeschłych liściach, przejęta nocnym chłodem, zgłodniała i przelękła, siedziała dziewczynka może lat trzy mająca. Wzięłam ją do powozu, rozgrzałam na mojém łonie, nakarmiłam, pieszczotami obsypałam, i w krótce dziecię przytuliwszy się do mnie, opowiedziało ze łkaniem, że jest z wioski M. córką Ambrożowéj, że się nazywa Dorką, że w nocy obudziła się w ogniu i znalazłszy drzwi, wybiegła z izby; a widząc w koło płomienie, uciekła do lasu, bo tam nie tak widno i gorąco było. Przycisnęłam ją do serca, i uczułam tak mocną chęć przywłaszczenia sobie tytułu matki, którego mi hojna dla innych natura odmówiła, że przybywszy do najbliższéj wioski dowiedziałam się tylko jak daleko leży wieś M. i czyją jest

własnością; a niepokazując nikomu mojego skarbu w dalszą puściłam się drogę.

» Tym skarbem Izydoro ty jesteś; wiesz jak cię kochałam przez całe życie; miłość ta od pierwszéj chwili równie była mocną, nie dziw się więc, nie obwiniaj mojéj pamięci, jeżeli mimo ostrzegającego głosu sumienia, nie wróciłam do pogorzałéj wioski, i uwiozłam cię z sobą. W mówiłam w siebie że mogłaś miéć siostry i braci, i głuszyłam wyrzuty odzywające się w mojém sercu, myśląc że rodzice twoi pewnie więcéj mają dzieci, a ja nikogo.

» Wzrastałaś pod mojém okiem, rozwijał się twój umysł; za każdym dowodem wyższych zdolności lub tkliwego uczucia, nowe, silne ogniwo wiązało mnie do ciebie; jednakże nie raz przemawiał głos sumienia, wiedziałam już z twoich opowiadań że byłaś jedyném wdowy dziecięciem, czułam jak niesprawiedliwie działam, wydzierając jéj ostatnie dobro, lecz nie mogłam cię już wrócić, nie miałam tyle odwagi.

»Chciałam abyś kiedykolwiek oddychała rodzinném powietrzem, abyś się zbliżyła do matki, choćby nie znając jéj; nabyłam dobra do których i wioska M. należała; lecz bałam się jechać dla objęcia nowéj majętności, musiałabyś bydź przy mnie, a gdyby cię matka poznała?.... posłałam tu więc człowieka, którego rzetelności zaufać mogłam; kazałam sobie zdać sprawę z najdrobniejszych szczegółów, dotyczących stanu dóbr i ich mieszkańców; niestety! dowiedziałam się że twoja matka utraciwszy ciebie i rozum straciła; opisano mi jéj obłąkanie, a obraz tego 'cierpienia wstrząsnął gwałtownie mym duchem. Przez kilka dni unikałam cię, modliłam się, błagałam Boga aby mi użyczył siły do rozłączenia się z tobą, do wrócenia dziecięcia nieszczęśliwéj matce; nakoniec postanowiłam cię odesłać do M. i darować tę wioskę abyś w niéj żyła swobodnie; lecz na pierwsze o tém wspomnienie, rzuciłaś mi się na szyję, mówiąc z płaczem:

„Ja niechcę znać innéj matki, jam twoja córka, ja tylko ciebie kocham, nie odpychaj mnie od siebie!

Była to pokusa nad moją siłę, uległam jéj; zaleciłam tylko aby o Ambrożowéj troskliwe miano staranie, i zatrzymałam cię przy sobie. Lecz w chwili gdy mam życie opuścić, występek ten staje mi w pamięci w całym swoim ogromie; okropna boleść Ambrożowéj jak straszne widmo ściga mnie bez ustanku, a myśl że ona przez lat szesnaście tak cierpiała, że wiedziałam o tém, że mogłam wrócić jéj szczęście, a nie uczyniłam tego, ta myśl nie dozwoli mi umrzéć spokojnie; i kiedy dojdzie do ciebie, odejmie mi twoją miłość, wstrętem cię napełni ku nieczułéj, niesprawiedliwéj, a może słabéj tylko istocie, co swoje szczęście nad cudze przeniosła. — Ale Izydoro! jeżeli mnie choć w małéj części kochasz jak ja cię kochałam, nie potępisz mnie zupełnie, przebaczysz mi cierpienia twéj matki, bo wszakże tylko przez zby-

tnią miłość ku tobie przewiniłam tak ciężko!...."

Łatwo zgadnąć jak mocno wzruszyło Izydorę to pismo; nie zawiodły ją domysły, nie omyliły przeczucia; nie była już samą na ziemi; straciwszy i opłakawszy jedną matkę, odzyskała drugą, choć obłąkaną, nie bogatą, ale czułą, nieszczęśliwą skutkiem przywiązania do niéj, potrzebującą tkliwych starań i pociechy.

Nazajutrz równo z świtem posłała do Henryka, a gdy przybył, opowiedziała swoją radość zasięgając jego rady, czy nie zaszkodziłaby matce dając się jéj poznać? zacny starzec prosił o kilka dni czasu, przyrzekając sam przygotować obłąkaną do tak niespodziewanéj nowiny.

Lecz Ambrożowa nie mogła go zrozumieć; nigdy sobie Dorki nie wystawiała inaczéj jak w postaci małéj dziewczynki, jakżeby więc mogła uznać za swoje dziecię dorodną dziewicę? Izydora strapiona że nie tak prędko jeszcze powita matkę, nie traciła wszelako nadziei, ciągle przemy-

śłała jak by to nieszczęsne uleczyć obłąkanie, po długiéj rozwadze, po długich z Henrykiem naradach, ułożono w końcu plan, który, jeżeliby go zręcznie wykonauo, mógł wszelkie ziścić oczekiwanie

W miéjscu gdzie stały staréj chaty zwaliska, i w niewielkiéj od nich odległości nagromadzono kilkanaście stósów suchego chrostu, i skoro Ambrożowa wiedziona obłąkaniem stanęła przed zrębem, zapalono je nagle; płomienie rozszerzyły się w mgnieniu oka; przygotowani do tego wieśniacy zbiegli się z narzędziami potrzebnemi do gaszenia pożaru; krzyki, wołania rozległy się wokoło, i mrok wieczorny, w jasny dzień się zamienił; słowém złudzenie było zupełném; Ambrożowa z załamanemi rękoma stała wśród płomieni a gdy powtarzając zwykłe wyrazy zwróciła się do gaszących, gdy błagalnym głosem zaczęła wołać— Nikt że méj Dorki nie uratuje?.... Stary Henryk wyszedł z za płonącego stósu z dziecięciem na ręku,

i oddając je Ambrożowéj uprowadził ją spiesznie z mniemanego pożaru.

Podstęp ten najszczęśliwszym skutkiem uwieńczonym został; obłąkana rozumiała że w saméj rzeczy odzyskała swoje dziecię, pieściła je, przyciskała do serca, oblewała łzami, i niezważała nawet gdzie idzie.

Henryk wprowadził ją do zamku, umieścił w obszernym, lecz prawie zupełnie ciemnym pokoju, i kazał spokojnie czekać na siebie; Ambrożowa nie potrzebowała tego zalecenia, cała swojém szczęściem zajęta, piastowała dziecinę, która znając ją od dawna, przymilała się do obłąkanéj; a ta spiewała piosnki wesołe, i nie posiadała się z radości. Henryk kilkanaście razy na dzień przynośił im żywność, a Ambrożowa widząc to, dziwiła się że dni tak prędko schodzą, i że teraz mało jada i sypia.

W kilka dni, podczas snu obłąkanéj Henryk zamienił trzyletnią, na starszą cokolwiek dziewczynkę; Ambrożowa pozna-

ła to, lecz dała sobie wmówić, że dziecię tak szybko wzrasta; zaczęła je uczyć pacierza, opowiadała rożne powieści, i postępowała zupełnie rozsądnie. Co kilka dni, lub co tydzień następowała zamiana dziecięcia, Henryk i Izydora niewidzialnie śledząc każde słowo Ambrożowéj, przygotowywali zręcznie dziewczynkę która młodszą towarzyszkę zastąpić miała; wszystkie znały i lubiły obłąkaną, a znęcone podarunkami i obietnicą hojnéj nagrody; chętnie po kilka dni przepędzały w ciemnym pokoju. Dziwiąc się prędkiemu wzrostowi i postępom swojéj córki, Ambrożowa uczuła chęć przyjrzenia się dobrze jéj rysom, lecz próżno; zabite okna ledwie od góry cokolwiek światła przypuszczały, a przy niém tylko wzrost i postawę dojrzeć mogła, ale rysów nigdy. Prosiła więc Henryka o światło, pytała kiedy ją z tego ukrycia wyprowadzi, kiedy powróci do wioski, i swoją Dorkę sąsiadom pokaże. Ucieszył się zacny lekarz tą oznaką macierzyńskiej próżności, uważał ją bowiem za nieomyl-

ną rękojmię zupełnego ozdrowienia; lecz chcąc na pewien czas jeszcze Ambrożowę zatrzymać w ukryciu, powiedział jéj że hrabina D. nabywszy te dobra, przyjechała do nich właśnie w chwilę pożaru, i gdy się o przyczynę jego dopytywać zaczęła, sąsiedzi widząc iż Ambrożowej ani jéj córki nie było we wsi, na nią złożyli winę, a hrabina rozgniewana znaczną szkodą; postanowiła surowo jéj sprawczynie ukarać— „Dla tego moja kobieto, rzekł dalej lekarz: ukryłem was w tym ciemnym pokoju, który do mego mieszkania należy, dla tego, i światła wam nie daję, aby nikt zewnątrz nie domyślił się waszego tu pobytu."

Obłąkana podziękowała czule Henrykowi; i odtąd nie wspomniała już o wyjściu; tymczasem Izydora z całych dóbr swoich kazała młode zwozić dziewczęta, i wybierała między niemi takie, któreby mogły przyłożyć się do z iszczenia zamierzonego celu; w przeciągu trzech miesięcy, mniemana Dorka zmieniła się pod

okiem Ambrożowéj w szesnastoletnią dziewczynę; w tedy Izydora miejsce jéj zajęła; nie trudno jéj było przez kika dni naśladować mowę i obéjście się młodych wieśniaczek, i zwolna tylko ukazywać się taką jaką była w istocie. Ambrożowa składała ręce z zadziwieniem, gdy jéj córka wysłuchawszy prostéj nauki matki, opowiadała jéj nawzajem o wszechmocności Boga i o tém że u niego nic niepodobnego nie ma; uważała ją za natchnioną, i wierzyła mocno, że wielka zmiana mogła zajśdź w jéj położeniu, ściskała z uniesieniem szczęśliwą Izydorę, dziękując Niebu że jéj tak dobrą i mądrą zachowało córkę.

Po miesiącu takiego przygotowania, Henryk odwiedzający co dzień Ambrożowę i jéj córkę, oznajmił że hrabina mocno zasłabła i że mało ma o jéj zdrowiu nadziei; pierwszém uczuciem matki była radość, że opuści ciemne więzienie, że się swojéj córce przypatrzy, lecz w krótce, przypominając sobie słowa Izydory: że za złe do-

brém oddawać należy, uklękła, i zaczęła się modlić o jéj uzdrowienie; w kilka dni jeszcze, Henryk przyniósł nowinę że hrabina nie żyje, i że dowiedziawszy się o niewinném długoletniém cierpieniu Ambrożowéj i jéj córki, chcąc je nagrodzić choć w części, zostawia im cały majątek. Uzdrowiona już z obłąkania Ambrożowa, z wdzięcznością przyjęła ten dar nieba; lecz gorącéj jeszcze jak za majątek, dziękowała Bogu, gdy ujrzała piękność swéj córki. Nie chciała wejść wprzód do zamku, aż całéj wsi swoją córkę ukazała. „To moja Dorka! mówiła z pychą każdemu, patrzcie jaka urodna! mój Boże coby to była za szkoda gdyby była w ogniu zginęła.”

Pamięć dawnych istotnych cierpień zatarła się zupełnie; często tylko opowiadała o ciemnicy, w któréj tyle lat z swoją córką przepędziła, i o dobroci Henryka który ostatek życia pędzi przy wdzięcznéj Izydorze. Osiadła w zamku, przywykła łatwo do dostatków i przyzwoitego obejścia się; a choć nie wie o rzeczywistéj Henry-

ka przysłudze, zawsze z wdzięcznością powtarza, że jemu szczęście swoje winna.

Jakaż musi bydź radość Izydory? kto taką jak ona posiada duszę, ktoby sam miał odwagę z stąpienia ze szczytu wielkości, uniżenia się w oczach ludzi, ktoby wszelkich użył środków, byle prostą, ubogą, obłąkaną matkę odzyskać, ten tylko jéj szczęście pojąć zdoła!.....

Róża Magierowska.

SAMOBÓJSTWO.

Śmierć mnje nie trwoży, nie żal mi świata,
Z czary żywota sam piołun piłam,
A choć nie długie liczę me lata,
Przecięż dla cierpień zbyt wiele żyłam.
Dziś samobójcze targnęłam dłonie,
Napój zatruty chwyciłam niemi.
Czuję jak ogień gore w mém łonie,
Jak pali piersi jady swojemi.....

Już policzone moje godziny,
Parę ich tylko. — Zbliż się kapłanie,
Ty namiestniku Boga jedyny,
Przyjmij mych błędów i win wyznanie.
Lecz ty drzysz widzę, pot lica rosi,
Czyż zgon dziewicy tak Cię przeraża?
Wszak przebaczenie Chrystus nam głosi?
Czyż moja przyszłość tak cię zatrważa?
Zbliż się, spowiadaj wszystkie me grzechy...
Czyliż uprosić nie zdołam ciebie?
Wiesz co dla naszéj Bóg rzekł pociechy:
»Rozwiąż na ziemi, rozwiąże w niebie."

....

Już wysłuchałeś, wznieś myśl do Pana,
Poleć mą duszę w Jego opiekę,
Błagaj go czystém sercem kapłana,
Błagaj, nim wiecznie zamknę powiekę.
Teraz ty matko, i bracia moi
Zbliżcie się do mnie, otoczcie łoże.
Lecz wzrok wasz widzę mego się boi,
I was przerażam.... bydź że, to może?
I wy w skonania mojego chwili,
Wyrok potępień na mnie rzucacie?
Wy coście dla mnie tak drodzy byli,

Dziś mi uścisku swego nie dacie?....
Otóż zbawienne łzy błysły w oku,
Znak przebaczenia: dzięki wam szczere,
Niechaj w obfitym spłyną potoku;
Niech pocałunki wasze odbiorę.....
Otóż je czuję na mojéj twarzy!
Czuję jak palą zimne me czoło,
A silny ogień aż w sercu żarzy:
Straszno, ponuro, głucho w około,
Żegnam was..... w chwili gdy pożegnałam,
Głos mojéj matki z snu mnie ocucił,
Przetarłam oczy, w okno spójrzałam,
Z pól Elizejskich duch lotny wrócił.

Józefa P.......a



CZTERY PORY ROKU.

Zima.

Wiatry powiały w doliny,
Zburzyły wonne rośliny!
Cała natura omdlewa,
W gaju ptak żaden nie śpiewa,
Zniknęły barwy zielone,
Drzewa liści pozbawione;
Pola, niwy, puste leżą,
Białą okryte odzieżą,

Wszędzie widać jakiś smutek,
Jest to zmiany roku skutek.
Jego cztery pory razem
Czyż nie są życia obrazem?

Wiosna.

Gdy się niwa zazieleni
Ścięta woda w zdrój zamieni
Skowronek w górę się wznosi,
I swym śpiewem wiosnę głosi.
Długie noce słońce skraca,
Rolnik do pracy powraca,
Łąka się stroi kwiatami,
Ich widok łudzi i mami.
Idąc wskazaną koleją.
Pora ta zdobna nadzieją,
Wdziękiem, i świeżością razem,
Wszak młodości jest obrazem?

Lato.

Lato plon pracy zgromadza,
Trudy rolnika nagradza,

Kwiat się w owoce zamienia,
Drzewa użyczają cienia,
I choć czasem ryknie burza,
Wnet się słońce z chmur wynurza.
Ptaszyna gniazdo gotuje,
W niém radość, pokój znajduje,
Dla dzieci ziarnka zgromadza,
Śpiewem czuwanie osładza.
Ten luby obraz, człowieku
To lato twojego wieku.

Jesień.

Już stodółka pełna stoi,
Kmiotek głodu się nie boi;
Lecz choć czasem dni pogodne,
Częściéj jednak dzdżyste chłodne.
Tak starość człowieka zniża,
Gdy się do kresu przybliża.
Liść zeschły z drzewa opada,
Wszystko zimę zapowiada.
Lecz przykrzéjsza zima wieku,
Ta się nie odmładza w człeku.

A wszystkie te pory razem
Czyż nie są życia obrazem?.

Kamilla Kosowska.



IŁŻA

Powieść z gminnego podania.

I.

Na górze, gdzie dziś jeszcze widać zwaliska po kilka razy odbudowanego pałacu, stał pod koniec jedynastego wieku obronny zamek możnego szlachcica; choć już od lat kilkunastu bielił się krzyż kamienny na jego mogile, nic się w dworcu nie zmieniło: od rana nabożeństwo zbierało wszystkich jego mieszkańców do kaplicy, co go-

dzina zmieniano straże, co kilka dni wykonywano wojenne obroty, strzały do tarczy, konne gonitwy, ostrym zgiełkiem i wrzawą napełniały podwórza, a wewnątrz komnat, tylko cichy odgłos pobożnych pieśni przerywał jednostajne warczenie kołowrotków.

Porządku tego przestrzegała Judyta, wdowa zmarłego szlachica, mądra i przezorna niewiasta; ręka jéj najzręczniéj wywijała wrzecionem, wzrok i głos zachęcał wojowników do popisywania się z siłą i zręcznością; czytać i pisać umiała jak kapelan zamkowy; młoda, i piękna odrzuciła licznych zalotników, i cały wiek swój poświęciła wychowaniu syna.

Mówiono w prawdzie że Pani Judyta dla tego tylko nie chciała wejść powtórnie w małżeńskie śluby, aby nie utracić niepodległości i nieograniczonéj władzy co na nię po śmierci męża przypadła; że dla tego osiadła w samotnym dworcu, iż jak oko dojrzéć mogło z najwyższéj jego baszty,

nie było możniejszéj nad nią Pani, i że w tych stronach wszyscy przed nią czołem bili. Nie wiem jak to rozsądzić; bo wszak matka potrafi się dla ukochanego dziecięcia poświęcić, potrafi wyrzec się dla niego własnego szczęścia, blasku, i zaszczytów; lecz mówią z cicha, że znajdują się niewiasty, w których chęć panowania jest jedyną, najsilniéjszą namiętnością.

Bądź co bądź, Judyta kochała swego syna, o ile tylko kochać mogła; nie zaniedbywała niczego, coby go na doskonałego rycerza wykształcić mogło; i młody Bogdan nie zawiódł oczekiwań matki; w naukach, cnocie, i pobożności wyćwiczył go czcigodny ojciec Ambroży, który widząc swego ucznia śmiele prawą idącego drogą, opuścił zamek, i o pół mili z tamtąd osiadł nad brzegiem jeziora, pustelnicze wiodąc życie. Towarzystwo wojowników goszczących czasem w dworcu Judyty, oswoiło młodziana ze wszystkiemi mężów zabawami; niczém mu było najdzikszego dosiąść konia, niczém bystrą

rzekę wpław przebyć, niczém rączego zająca doścignąć w biegu; gdy doszedł lat młodzieńczych, najwprawniéjsze dłonie nie wstydziły się kruszyć z nim kopji, a późniéj nieco, nikt z młodym Bogdanem nie odważył się iść w zapasy.

Rosło serce dumnéj wdowie na widok tak świetnych syna przymiotów, lecz niestety! jednéj wady przebaczyć mu nie mogła: Bogdan od kolebki otoczony wielkością, do najwyższych zrodzony zaszczytów, nie umiał cenić swego znaczenia; wyniosły, drażliwy z równymi sobie, dobry, łagodny dla niższych, nie umiał bydź dla nich dumnym ani surowym.

II.

U stóp wysokich zamkowych wałów, jak gniazdo jaskółcze przyczepione do gmachu, chwiała się nędzna lepianka; dawniéj jak teraz, słabszy uciekał pod opiekę silnego, i w cieniu jego potęgi obrony szukał dla siebie. Właściciel téj chaty, choć

ubogi i bezbronny spokojnie zasypiał pod słomianym dachem; samo imię Judyty osłaniało jego strzechę, i gdyby pod nią skarby nawet ukrywał, nikt by go najechać nie śmiał. Wszelako nie ten stawiał chatę który w niéj w owym czasie mieszkał; byłby on ją wolał na pustém zbudować polu, niż się uciekać pod skrzydła niewieściéj opieki.

Przecław, stary żołnierz, z białym wąsem i brodą, śmiały, dumny, i ubogi, towarzyszył w wyprawach mężowi Judyty, ale po jego śmierci, nie postał na dworze wdowy. Niechętném okiem patrzyła nań pani, bo on jeden nic od niéj nie żądał, na nim tylko nie mogła swojéj wspaniałości okazać. Próżno kazała mu w zbożu i pieniądzach dawać zapomogę; Przecław uchylał czapki, i odpowiadał posłańcom:
— Niech to Pani Judyta odda między chore i kaleki. Komu Bóg dał zdrowie, temu chleba nie zabraknie.

Próżno chciala kilkoro jego dzieci wziąć do swoich komnat; Przecław potrząsał gło-

wą, mówiąc: —Póki mnie na świecie stanie, póty moim dzieciom nie będzie za ciasno w chacie.

Urażona Judyta nazywała go dumnym, niedorzecznym starcem; lecz gdyby jak syn jéj weszła uprzéjmie do ubogiéj lepianki, gdyby jéj panu przyjazną podała rękę, poszłoby za nią serce poczciwego człeka, poszłyby i dzieci; bo choć cnotliwe, bogobojne, przestające na małém i kochane od ojca, nie były one szczęśliwe.

Siedmiorgiem już dziatek obdarzył Bóg Przecława, gdy mu po krótkiéj chorobie ich matka umarła; staruszek nie przywykły siedziéć w domu i pilnować gospodarstwa, rozumiał że ulży sobie kłopotu pojmując drugą żonę; odstąpiła go zwykła roztropność na chwilę, z ubieloną wiekiem głową, podał rękę hożéj, młodéj Marynie, i wwiodł ją do domu, jako panię i matkę równych jéj prawie dzieci. Poznały też wkrótce, co to zła macocha; Przecławowa na to tylko pomna jakby się do kościoła wystroić, odzierała z wszystkiego biedne

dzieciny; osobliwie też Hanna, najstarsze dziewczę, solą w oku była dla złośliwéj niewiasty; obarczała ją robotą, kazała kopać w ogrodzie, chodzić koło kuchni, nosić wodę aż z wysokiéj zamkowéj studni, i jeszcze sobie w niczém dogodzić nie dała, nigdy uprzéjmie nie przemówiła do biednego dziecięcia.

Nie raz młody Bogdan litował się krzywdy Hanny, nie raz schodził do chaty Przecława, i po kilka godzin w niéj przepędzał; Maryna zajęta widokiem i rozmową panicza, zapominała o swoich pasierbach, i pozwalała odpocząć im na chwilę; często nawet drobny dar wsunął w rękę Przecława, a żołnierz co z taką dumą odrzucał wsparcie Judyty, przyjmował je od jéj syna, bo i młodzieniec nie gardził strzechą staruszka, słuchał jego opowiadań, i czasem ochoczo siadał przy glinianéj misie.

Na głowie młodéj Hanny spoczywał cały ciężar domowego gospodarstwa; dobra, cierpliwa, pobożna, nie próżnowała ani chwili; to też stary ojciec z pychą po-

glądając na gładkie lica dziewczyny, i na jéj czynność niezmordowaną, skarbem ją swoim nazywał; drobne uciśnione od macochy rodzeństwo, otaczało ją jak swego anioła stróża; a słodycz i urok głosu nawet samą Marynę łagodził niekiedy. Bogdan patrzył na nię z litością i podziwieniem, które się z czasem w tkliwą zmieniło miłość; lecz milczał i walczył z sobą, bo czuł, że jego matka nie przyjęłaby Hanny za synowę. Młoda dziewica nie wiedziała o téj walce, lecz co dzień liczyła chwile dopóki młodzian we drzwi chaty nie zapukał; bo też nikt na nię tak czule nie patrzył, nikt nie przemawiał tak mile, nigdy jeszcze tak pięknéj i łagodnéj nie widziała twarzy.

III.

Złe i dobre szybko mija przed nami. Nadeszła chwila w któréj stary Przecław skołatany wiekiem, trudami, i niepokojem,

opuścił na zawsze ziemię; na śmiertelném już łożu, skrzepłą ręką ścisnął dłoń Bogdana, i polecił mu swoje biedne dziatki. Młodzieniec przyrzekł czuwać nad niemi, oddalać cierpienia i niedostatek. Dotrzymał ile mógł słowa, lecz jakże by się domyślił przychodząc pod wieczór do domku wdowy Przecława, widząc wesołość Maryny, tkliwe zadowolnienie Hanny, i spokojny sen drobnych dzieci, jakże mówię mógł by się domyśléć ile tam łez przez dzień cały wylano, ile gorzkich wymówiono wyrazów! Maryna objąwszy nieograniczoną władzę nad całą rodziną, przekonywała ją codzień mocniéj o swojéj nienawiści. Hanna najstarsza, najtkliwsza, najwięcéj cierpiała; uległając prawie pod ciężarem pracy, musiała słuchać przykrych wyrzutów obwiniających pamięć ojca, że tak liczną rodzinę narzucił młodéj, innego losu godnéj kobiecie; musiała patrzéć na swoje siostry i braci wydanych bez obrony na złość nieczułéj macochy, bo nie było już ojca którego ręka rozciągała silną

nad nimi opiekę, którego jedna pieszczota nagradzała całodzienne cierpienia. Jedyną Hanny pociechą były odwiedziny Bogdana, bo choć mało z nim mówiła, czuła wszelako że w jego piersi biło szlachetne i tkliwe serce.

Pewnego wieczora, młodzieniec wszedłszy niespodzianie do chaty, ujrzał Hannę klęczącą przed zagniewaną macochą, i ze łzami błagającą przebaczenia dla najmłodszego brata, który drżąc z bojaźni przed surową karą za małe przewinienie, tulił się nieśmiało do siostry. Wdowa Przecława, zamiast odpowiedzi, uchwyciła jedną ręką płowe włosy dziewicy, a drugę uzbrojonę wrzecionem, wzniosła nad jéj głową; lecz wprzód nim spadło na białe Hanny ramiona, wytrącił je Bogdan, i ostremi wyrazy począł macosze wyrzucać jéj nieludzkość, dodając: że kiedy nikt nie chce się zająć dziećmi zmarłego Przecława, kiedy ta je dręczy coby bronić powinna, on im los zapewni.

Surowość ta, do żywego rozjątrzyła Marynę, i wywiodła z miłego błędu; dotąd bowiem, próżna kobieta rozumiała że tylko jéj czarne iskrzące oczy, wabiły Bogdana do chaty. Zawiedziona w tém mniemaniu, puściła wodze gniewowi i z okropném uniesieniem zawołała:

— Dobrze! dobrze! weźcie sobie tych próżniaków, żebraków, ale niechaj się żadne nie waży raz jeszcze przestąpić mojego progu.

Kończąc te słowa, chciała biedne, potrwożone sieroty bez litości za próg wytrącać; Bogdan skinął na nie, silną dłonią odprowadził Marynę na środek izby, i mimo jéj oporu przytrzymał dopóki ostatnie dziecię za drzwi nie wyszło; wtedy ze wzgardą spójrzawszy na zostającą, opuścił lepiankę.

Dzieci Przecława szły w milczeniu na jego mogiłę, wiedziały że tam jeśli nie schronienie, to pociechę znajdą; jedną myślą wiedzione padły na kolana, a Hanna

poglądając na te słabe, jéj staraniu powierzone istoty, czując że nie wydoła zaspokojeniu ich potrzeb, chciała o śmierć dla wszystkich prosić Najwyższego; lecz podniosłszy oczy ujrzała stojącego na przeciw siebie Bogdana, a na ten widok nadzieja wstąpiła do jéj serca.

— Hanno! rzekł młodzieniec: przyrzekłem waszemu ojcu, że się wami opiekować będę; pójdźcie do pustelni; ojciec Ambroży przyjmie was chętnie, zostańcie u niego, dopóki nie wéjdziecie do zamku.

Dziewica z zadziwieniem spójrzała na młodzieńca, bo z dziwnym jakimś wyrazem ostatnie wymówił słowa; lecz ufna i wdzięczna poszła za nim do pustelnika. Bogdan polecił sieroty cnotliwemu starcowi. Ojciec Ambroży przemówił do nich uprzejmie, zastawił skromną wieczerzę, wskazał mchowe posłanie otaczające izdebkę, i wyszedł z Bogdanem do groty, będącéj zwykłem jego mieszkaniem. O ważnych musieli rozmawiać rzeczach, bo już

mrok pokrył jezioro, już i gwiazdy zeszły na niebie, gdy Bogdan pożegnawszy pobożnego starca, zwrócił swe kroki ku zamkowi.

IV.

Rozniecono już wieczorny ogień w wielkiéj zamkowéj komnacie, modrzewie jéj ściany pokryte kształtnie z rogoży plecionémi matami, zdobił wizerunek Zbawiciela i Najświętszéj Jego matki (wielka jeszcze rzadkość w tym wieku). W kącie przy ogromnym kominie stało wysokie dębowe krzesło Judyty. Pani zamku piękna jeszcze wyniosłéj i wspaniałéj postawy, siedziała zamyślona; głowa jéj białym pokryta rąbkiem wsparła się na ręce, czarna szeroka szata spływała od ramion, i okrywała nogi spoczywające na niedźwiedziéj skórze. W znaczném od niéj oddaleniu, służebne niewiasty zasiadły z przędziwem w półkole; kilka drzazg smólnych zatkniętych za łańcuch zwieszony od skopconéj belki oświecało ich pracę, a kilkanaście

niezgodnych głosów nócących pieśń wieczorną, łącząc się z szmerem wrzecion i trzaskiem ognia, nie zbyt miłą tworzyły harmoniję.

Bogdan wszedł we drzwi komnaty, i zasiadł na dębowéj ławie stojącéj na przeciw krzesła Judyty; rozpogodziło się jéj oblicze, ustała prządek robota, lecz gdy młodzieniec oznajmił matce że z nią samą chce pomówić, powstała, mocnym głosem zanuciła nową pieśń, prządki powtórzyły ją za nią, wrzask napełnił komnatę, i Bogdan od matki tylko słyszany zaczął jéj opowiadać całą dnia tego przygodę.

Pani zamku słuchała obojętnie; lecz gdy Bogdan kończąc, oświadczył że postanowił pojąć Hannę za żonę, i przyszedł o macierzyńskie prosić błogosławieństwo, zadrżała z oburzenia; oniemiały drgające jéj usta, a czarne oczy tak mocno zajaśniały, że widząc je rzekłbyś, iż się z nich żywsze posypały iskry, jak te, co z ogniska na żelazną wyskakiwały kratę.

— Jakto! rzekła po chwli: śmiałeś wybrać małżonkę bez mego zezwolenia?....

— Obrałem ją matko, ale sercem tylko; i choć wiem że się mojemu szczęściu nie przeciwisz, czekałem na twoje błogosławieństwo, nim Hannie mój zamiar oświadczę.

— Dobrześ postąpił synu; nie należy lekce przyrzekać czego dotrzymać nie można; uniosłeś się litością, zdawało ci się że tylko poślubiając Hannę możesz ją uszczęśliwić; ale jak ten zapał minie, żałować będziesz, żeś nawet pobłażającéj matce wspomniał o nierozsądném przedsięwzięciu.

— Ja nie w zapale mówię, matko, od roku już tak myślę jak wam dziś objawiam, od roku zastanawiam się i radzę nad tém, a codzień jaśniéj widzę że tylko Hanna może bydź moją małżonką.

Zadumała się Judyta, i po kilku chwilach rzekła poważnie i łagodnie:

— Posłuchaj Bogdanie; może nie wiesz ile uczyniłam dla ciebie, bo nigdy nie mówiłam ci o tém, posłuchaj: Ojciec twój

zostawił mnie młodą hożą i bogatą, najznaczniéjsi w kraju rycerze dobijali się o moją rękę; mogłam stanąć tuż przy tronie, mogłam między pierwszémi jaśniéć matronami; nie chciałam; bo mi szło o ciebie, bo chciałam sama patrzéć na twoje wychowanie. Wzrosłam w pokoju i pobożności, a od lat kilkunastu rzuciłam krośna, zaniedbałam pacierzy, byle dniem i nocą czuwać nad twoją osobą, nad twoją dziedziną. Patrz! żaden rycerz nie ma tyle zamków i kopji, niczyje spichrze, niczyje skarbce nie są tak pełne jak twoje; niczyje imię tak głośno jak imię Bogdana nie słynie; to wszystko mojéj ręki i głowy robota; a teraz, na stare moje lata miałabym patrzéć, jak córka prostego żołnierza przewodziła by w mojéj pracy i domu?... Bogdanie! ty byś sam nie chciał tego!

— Matko kochana! wiem coś dla mnie uczyniła, cały wiek mój czcić cię będę za to, ale gdybyś znała Hannę!....

— Raz bym jeszcze powtórzyła, że córka Przecława, nigdy po mojéj woli two-

ją żoną nie będzie; odrzekła stanowczo Judyta.

— Ha! więc i ja nie będę nigdy szczęśliwym!

— Minie szał ten Bogdanie; zaspokój dobroczynność twoję, daj Hannie i jéj rodzeństwu kiesę złota, wieś, dwór, zamek, niczemu się nie przeciwię, ale rękę i imię, téj tylko oddasz którą ja wybiorę.

— Nie! nie matko! pomnij jak sama wpajałaś mi w serce te słowa: » że mąż prawy długo powinien ważyć myśli i słowa swoje, lecz co raz uzna za dobre, co tylko z ust jego wyjdzie, przy tém z całéj siły obstawać powinien,'' zawsze tak postępowałem; i teraz, przez rok ważyłem moje myśli, dziś pierwszy raz w obec nieba i ziemi wyrzekłem że kocham Hannę, że ją poślubię, i nigdy od tego postanowienia nie odstąpię.

Judyta przygryzła sobie usta, lecz znała Bogdana, wiedziała że surowością nie dopnie swego celu; inną więc udała się drogą, i z pozorną obojętnością przemówiła:

— Widzę że teraz nie pora rozmawiania z tobą rozsądnie; masz swoję wolę, możesz działać jak ci się podoba; wszelako jako matka mam prawo żądać przynajmniéj zwłoki. Przez rok doświadczałeś twojéj stałości, niechże jeszcze i ja jéj doświadczę; przyrzecz mi że Hannę codzień widywać będziesz, a jeżeli od dziś za rok powtórzysz że ją chcesz poślubić, nie przeciwię się temu, niech się dzieje wola Boga.

W téj chwili zadzwoniono w zamkowéj kaplicy; Judyta, Bogdan, i prządki przyklękły pobożnie i odmówiły wieczorną modlitwę; potém pani zamku podała synowi rękę, on ją pocałował z uszanowaniem, i każde udało się do swojéj sypialni, każde szczęśliwe i pełne nadziei.

Judyta spodziewała się, że syn jéj widując codzień prostą dziewczynę, od któréj żadna przeszkoda dzielić go nie będzie, znudzi się jéj towarzystwem i nie wspomni więcéj o szalonym zamiarze; nie wiedziała ona ile jest wdzięku w czystéj i nie-

winnéj duszy, nie pojmowała że prawdziwa miłość unika blasku, i prostotę nadeń przenosi.

Bogdan pewny że się nie zmieni, błogosławił niebo, które matkę tak łagodną natchnęło myślą, i liczył niecierpliwie dni, co go do upragnionego zbliżały celu.

V.

Syn i matka nie wspominali więcéj o Hannie, lecz nieznacznie, zamek Judyty inną zupełnie przybrał postać; ten ponury przybytek dumy i ostrych powinności zmienił się w czarowny pobyt rozkoszy; uczty, łowy, gonitwy, następowały po sobie; komnaty zamkowe zabrzmiały liczniéjszych gości odgłosem, grono pięknych i bogatych dziewic otoczyło możną niewiastę; słowem, co tylko młody wzniosły umysł zapalić, co tylko tkliwe serce ująć mogło, wszystko to Judyta zebrała w smutnym dotąd dworcu.

Bogdan pełnił ochoczo obowiązki gospodarza; dwornie i uprzejmie przyjmował gości swéj matki; nie raz z zachwyceniem słuchał głosu młodych dziewic, dziwił się ich wdziękom i wytwornemu ułożeniu, ale kiedy wieczorem przyszedłszy nad brzeg jeziora spotkał tkliwe i czyste spójrzenie Hanny, ujrzał ją zajętą drobném rodzeństwem, lub dzielącą między ubogich hojne jego dary; kiedy ojciec Ambroży opowiadał mu o jéj dobroci, pobożności, i sam świętym zwany, aniołem nazywał dziewicę, wtedy dopiero czuł Bogdan że żadna z pań na zamku zebranych nie zastąpi mu téj prostéj mieszkanki pustelniczéj chaty.

Przywiązanie młodzieńca wzrastało z dniem każdym, a choć widział w oczach Hanny że i ona jego uczucia podziela, nie wspominał o miłości, nie chciał próżno jéj pokoju zatruwać.

Gdy minął rok próby, Bogdan w przytomności ojca Ambrożego zażądał ręki i serca Hanny; nieśmiała, zdziwiona

przemówiła coś z cicha o pani Judycie, lecz zapewniona przez młodzieńca i pustelnika że można wdowa gotowa ją przyjąć za córkę, z zapłonieniem złożyła dłonie w dłoni Bogdana; świątobliwy starzec wzniósł nad nimi błogosławiącą rękę, i wkrótce uściskawszy wesołych braci i siostry, Bogdan i Hanna poszli ku zamkowi.

Dziewica nigdy dotąd wewnątrz dworca nie była, dziwiło i zajmowało ją wszystko, cieszyła się jak dziecię widząc straże schylające z uszanowaniem bronie przed jéj Bogdanem; mimo to, gdy weszli do sypialni Judyty, obawa przejęła jéj serce.

Nie było wdowy w sypialni; Bogdan uspokoiwszy drżącą Hannę, prosił by tu spoczęła, a sam poszedł do gościnnéj komnaty.

Na tém samém dębowém krześle na którém siedzącą widzieliśmy Judytę przed rokiem, zastał ją Bogdan; lecz zamiast czerwonego blasku główni, twarz jéj oświecał blady promień jesiennego słońca. Cichość zalegała komnatę, bo w rannéj go-

dzinie każdy gość zajmował się modlitwą i ubiorem; sama tylko gospodyni czuwała nad potrzebami wszystkich, a obmyśliwszy je, dumała głęboko.

Nie kochała ona, nie liczyła dni wy-, znaczonych na doświadczenie Bogdana lecz wiedziała że kres jego był bliskim. Przez cały ten czas nie widziała syna wychodzącego samotnie z zamku, nie słyszała z ust jego Hanny imienia, sądziła że jéj zapomniał, i cieszyła się w duszy że tak łatwo zwyciężyć jéj przyszło nie zachwiane na pozór przedsięwzięcie syna. Dumne zamiary napełniały jéj umysł, i właśnie w myśli rozrządzała jego ręką, gdy go nagle przed sobą spostrzegła.

—Usiądź synu; rzekła uprzéjmie, wskazując ręką dębową ławę: myślałam właśnie o tobie; bo też to i czas zmienić młodzieńcze życie, czas godną wybrać małżonkę.

— Wybrałem ją matko, odrzekł młodzieniec, niepewny czy go Judyta doświadczyć, czy uszczęśliwić pragnie.

— Bogu dzięki! zawsześ ty Bogdanie był dobrém posłuszném dziecięciem, i pewno żadna matka nie doznała z swego syna tyle pociechy ile ty mi jéj przyniosłeś. Ale gdybyśmy też jedną, tę samę osobę wybrali?...... rozważałam długo, i zdaje mi się że najstósowniéjszą dla ciebie żoną była by Marja Nałęczówna.

— Moją żoną będzie Hanna, córka Przecława; odparł poważnie Bogdan: minął rok który Pani sama naznaczyłaś; raz jeszcze staje w tém miéjscu, powtarzam że kocham Hannę, i na kolanach błagam cię matko, pobłogosław twoje dzieci?

— Moje dzieci! wykrzyknęła ze zgrozą Judyta; moje dzieci?.... dobrze, przywiedź mi tę zuchwałą co się chce mocą wedrzeć do moiéj rodziny, niechaj mi spójrzy w oczy, niech się ośmieli walczyć ze mną o ciebie!

— Twojeż to są słowa matko? wszak powiedziałaś że się memu życzeniu przeciwiać nie będziesz? a teraz.....

— Teraz, odwołuję te bluźniercze słowa jeżeli je wymówiłam kiedy; teraz powiadam że wolałabym cię widzić w grobie przodków, niż z nią przy ślubnym ołtarzu.

Wyszła z komnaty, zatrzasnąwszy drzwi za sobą. Bogdan z rozpaczą w sercu wrócił do Hanny; słyszała ona wszystko i ten cios niespodziewany tak silnie ją uderzył, że zmysły straciła.

— Nie wolno nam żyć razem! przemówiła smutnie, gdy ją starania młodzieńca do przytomności wróciły.

— Ale umrzeć wolno! odrzekł ponuro Bogdan; i patrząc z niemą rozpaczą na swoję narzeczoną, zapytał: Hanno! czy byś ty śmiała wraz ze mną życie opuścić?

— Jam twoja w życiu i śmierci! odpowiedziała dziewica, nierozumiejąc okropnéj myśli Bogdana.

Podał jéj rękę, spokojnie, w milczeniu przeprowadził przez dziedziniec zamkowy

i zwrócił się ku zewnętrznym wałom; tam raz jeszcze spójrzał na mury co kolebkę jego osłaniały, w których się tyle szczęścia spodziewał, i spotkał wzrok Judyty, stojącéj w otwartém oknie, aby krew gniewem wzburzoną ochłodzić ostrem jesieni powietrzem. Bogdan zatrzymał się na wale, i wskazując Hannę, zawołał donośnie:

— Matko! patrz na to oblicze, i iéj dusza jest tak piękną, tak czystą! jakich że jeszcze przymiotów żądasz w twéj synowéj?

— Ja nie mam syna!.... nie; podły gad wykarmiłam na mojém łonie, i wyrzekam się go na wieki!

Na te słowa, blada twarz Hanny pochyliła się na ramię Bogdana, goście zwabieni tak głośną rozmową do wszystkich okien cisnąć się zaczęli; młodzieniec silniéj obiął dziewicę, i błagalnym przemówił głosem:

— Matko! matko patrz na tego Anioła, nie potrącaj mię ku zbrodni!.... jednėm

słowém możesz nam wrócić życie.... daj się zmiękczyć moim prośbom.... pobłogosław nas....

— Przeklinam!... krzyknęła rozjątrzona wdowa nie rozumiejąc może zamiaru młodzieńca: przeklinam was niegodni!... lecz nim to słowo skończyła, już nikogo nie było na wale, zwłoki Hanny i Bogdana spoczywały w dolinie u stóp stroméj zamkowéj góry.

Ojciec Ambroży, co ich miał przed ślubnym łączyć ołtarzem, oddał im z boleścią ostatnią posługę; płacz rozlegał się w całéj okolicy, tylko oko Judyty suchém pozostało, tylko w jéj sercu duma mocniejszą była od żalu.

— Lepiéj tak! mawiała tym którzy pocieszać chcieli: wolę nad jego śmiercią niż nad niesławą ubolewać.

VI.

Powoli, rozjeżdżali się goście, zamek coraz cichszym i smutniejszym się stawał,

a na twarzach pozostałych w nim osób, malował się przestrach, i niespokojność; spostrzegła to Judyta, badała o przyczynę, a za całą odpowiedź poprowadzono ją do okna. Xiężyc nieśmiało oświecał dziedziniec i wały, w miejscu gdzie po raz ostatni jak wtedy, stał Bogdan i Hanna.

Nieczuła matka zadrżała na widok tak oczewistéj kary nieba, lecz nie w własném okrucieństwie, w niewinnéj Hannie widziała sprawczynię okropnego nieszczęścia, i za grobem przeklinała ją jeszcze.

Zjawisko powtarzało się co wieczór; przerażeni niém domownicy opuszczali miejsca dotknięte przeklęctwem, a Judyta sama prawie wśród obszernych komnat, czuła zgryzotę sumienia. Uciekła się do postów i modlitwy, lecz próżno święte zwiedzała miéjsca, próżno kościołom bogate czyniła dary, groźne cienie jéj ofiar co wieczór ukazywały się na wale.

Wyczerpawszy wszelkie środki przebłagania nieba, Judyta udała się do pustelnika, co wychował Bogdana, co przez rok

cały opiekował się Hanną, i prosiła go o radę.

Swięty mąż pościł i modlił się przez kilka dni i nocy, a gdy lekki sen przymknął na chwilę znużone jego powieki, ujrzał swoich wychowańców, i usłyszał Bogdana wymawiającego te słowa:

— Bogu tylko wolno rozrządzać życiem człowieka; przestąpiłem to prawo, za to słuszną odbieram karę, lecz i matka moja ciężko zawiniła; twarde jest jéj serce, i nieubłagana dusza; nie dała się zmiękczyć głosowi syna; teraz więc dopóty na cień mój patrzéć będzie, dopóki łzą żalu nie skropi mojéj i Hanny mogiły."

Pustelnik opowiedział swoje widzenie Judycie; odtąd strapiona wdowa codzień schodziła w dolinę, modliła się na świeżym grobie, lecz łza pożądana, łza o którą tak gorąco Boga błagała, nie zwilżała jéj powieki; bo też jeszcze nie sobie przypisywała zbrodnię syna, jeszcze o nią w duszy oskarżała Hannę.

Raz gdy do późnéj nocy została w miéjscu swéj kary, przywodząc sobie na pamięć miłe rysy dziewicy, jéj dobroć i cnoty o których tyle słyszała, rzekła rozrzewniona :

— Gdybym chciała, żyliby jeszcze.... kochali by mię może!.... dusza jéj tak piękną bydź miała, a ja ją zabiłam..... o Hanno! Hanno! tyś tak mojego Bogdana kochała! daruj mu śmierć twoją... daruj ją występnéj jego matce!....

Pochyliła czoło na zimną mogiłę, i potok łez dobył się z pod spieczonych powiek.

Nikt nie wie jak długo płakała, lecz nazajutrz rano, nie było ani grobu, ani wdowy, tylko czysta rzeka płynęła przez dolinę. Gdy ją ojciec Ambroży zobaczył, podziękował niebu za darowanie popełnionéj tu winy, i myśląc o Judycie, wyrzekł: to *jéj łza.*

Z czasem, skutkiem zapomnienia lub złego wymawiania *jéj łza* zmieniła się w

Iłża i nazwiska tego udzieliła miasteczku wznoszącemu się teraz nad jéj brzegiem; dotąd jednak pomiędzy prostymi tamtych okolic mieszkańcami, usłyszéć można powieść o początku téj nazwy.

Paulina K....



DUMANIE.

Kiedy natura cała jest w uśpieniu,
Kiedy na ziemi wszystko już spoczywa,
Samotna tonę w przyjemném marzeniu,
Szczęśliwa że mi nikt go nie przerywa.
Patrzę na obłok gwiazdami sklepiony,
Słucham, czy z góry nie usłyszę głosu,
Godziny tylko ogłaszają dzwony,
A ja przebiegam wszystkie zmiany losu—
Bydź może że te światła gorejące,
Ogniem swym duszę moją zapalają,
A widząc je tak nad głową wiszące,
Mniemam, że święto nocy oznaczają.

Że ja myślący proszek na tym świecie,
Jestem tajemnym celem widowiska,
Że wielkość jego łatwo zgadnę przecie,
Na takie dziwy poglądając z bliska.—

Kamilla Kosowska.



STRZAŁA I PTAKI

BAJKA.

(Z NIEMIECKIEGO.)

STRZAŁA z cięciwy puszczona z łoskotem
Jak błyskawica powietrze przeszywa,
I napuszona wartkim swoim lotem
Tak się do ptaków odzywa:
—Cóż to? w milczeniu na mnie poglądacie?
Czy już zdumieni głosu do pochwał nie macie
Widząc że rówoo z wami w górne dążę szlaki?
—Żal nam cię dumna pani! sądzisz że po niebie

Tak jest łatwo żeglować? odrzekły jéj ptaki;
Lecz w krótce siłę utracisz,
Pychę swą wstydem opłacisz,
I wzniosłszy się przez drugich, spadniesz sama
z siebie.

*Rozalja M**

KOBIETA.

Więc, bym poznał jabłka składy
Będę go na cząstki krajał,
Przetnę włókna i pokłady,
Rozkroiwszy będę spajał;
I tak rzeknę: „przyrodzenie
Takie cząstki utworzyło!"
A może tam gdziem przeciął właśnie życie
było!...

Magnuszewski.

KOBIETA!.. jeden wyraz a tak wiele myśli,
Kobieta ta istota słaba i lękliwa.....
Posłuchaj ile głosów razem się odzywa
Których ucho nie schwyci, a pióro nie skreśli,

Bo w wrzawie trudno nawet rozeznać jest sło-
wa.
Tysiąc sędziów zebranych, każden silniéj woła;
Poeta ją postacią równa do anioła
A duszą do szatana; filozofa głowa
Zimna, mądra, przezorna, waży ją, pojmuje,
I szuka „wątka prawdy, co się w ludziach mie-
ści,
Co po drabinie wniosków do nieba wzlatuje."
Lecz kiedy zbada serce i umysł niewieści,
Mówi: „pierwsze zbyt czułe, a drugi za słaby"
Starzec którego znaczne obarczyły lata,
Co wiele chwil przyjemnych przepędził wśród
świata,
Ale które minęły—„O! znam te powaby,
Rzecze młodszemu z synów lub może do wnuka:
Strzeż się ich moje dziecię jeslić spokój drogi;
Wiesz że mam doświadczenie, posłuchaj prze-
strogi:
Kto chce szczęsny los poznać, niech kobiet nie
szuka"
Fizyk, badacz natury, z rachub swych znajomy,
Rad wielość mózgu poznać, zwolna go rozbie-
ra,

Dziwi się że tak mało !.. znów serce otwiera,
Starannie je przegląda, dzieli na atomy,
Mierzy, waży, cząstkuje; znać liczba nieduża
Może zbyt jest przedziałów? bo potrząsnął głową
Uśmiechnął się i odszedł— W tém z twarzą surową
Przybył prawnik, co wiecznie jak mól się zanurza
W księdze ustaw, co wszystko z niéj, podług niéj sądzi;
Kobieta! twór przewrotny: z powagą powiada:
Nieraz światło xiężyca nad słońca przekłada.
Czyż prawu nie ubliża i sama nie błądzi?
Gdy pierwszy blask drugiego jest tylko kradzieżą"
Tysiące zdań podobnych miesza się do koła;
Ten głośno, tamten głośniéj, ów najgłośniéj woła;
Zamęt trwa nie słychany bo się głosy szerzą...
Biada wam biada ludzie! wasz wyrok jest mylny.
Któż nas zbada rozumem jeśli brak mu duszy?
Kto pytam, łańcuch uczuć na atomy skruszy,
Łańcuch z drobnych ogniwek a przecięż tak silny?

Czyż proszę, kiedy malarz pędzlem wprawnéj
ręki
Mnóstwo lekkich odcieniów na płótno przeleje,
Cyrklem zmierzyć ich wielkość można mieć nadzieję?
Czyli, w całość zebrane z tych drobnostek
wdzięki
Pojedynczo by miały swą cenę rzetelną?....
O nie! kto pojąć pragnie, niech cyrkla nie szuka;
Daremna Hegla, Kanta, Newtona nauka;
Przyznaję, że rzecz każda musi bydź podzielną,
Lecz gdy ją podzielemy nie straciż wartości?
Bóg dał siłę spojenia mamyż ją rozrywać?
Lepiejże nad szczegółem każdym się zdumiewać,
Niźli widzieć rzecz całą, i sądzić w całości?
Lecz gdzież się zapędziłam!.... pył drobny, znikomy,
Kobieta! możeż zdania bezkarnie otwierać?
Jéj wolno tylko cierpieć myśleć i umierać,
A wam szydzić, potępiać rzucać praw swych
gromy.

Józefa P.......a

WYJĄTKI

z DZIENNIKA PODRÓŻY

Obrazy nowożytnych artystów w Dreznie.

Galerya *Kwanta* ważną jest szczególniéj pod względem najnowszych niemieckich utworów. *Kwant* bogaty jej właściciel, należy do towarzystwa sztuk pięknych, które od kilku lat w Dreznie równie jak w wielu miastach niemieckich istnieje. W czasach dzisiéjszych, kiedy

wielkie kapitały użyte są po największéj części na przedsięwzięcia rolnicze, lub przemysłowe, zamiar wspierania artystów przez połączoną usilność, dowodzi równie wyższości dążeń, jak delikatności uczuć. Towarzystwo to, zakupuje z corocznéj wystawy najważniejsze roboty po odpowiedniéj cenie, i losuje potém na członków; oprócz tego jeszcze, wszystkie kupione obrazy litografują starannie, i każdy z należących do towarzystwa dostaje zbiór roczny. Najmożniejsze osoby ubiegają się o wspieranie tego związku, który jeśli godnie zasług gieniuszu opłacić nie może, przedstawia przecięż młodym artystom pomoc i światłą krytykę, a w narodzie całym budzi miłość sztuk pięknych, tego źródła czucia, i czystości obyczajów.

Europa zaczyna teraz oddawać sprawiedliwość sztuce niemieckiéj. *Bendemann* powszechne wznieca zachwycenie. Jego *Jeremiasz płaczący nad zburzoną Jerozolimą* oznacza razem poetę, artystę, i filozofa. *Owerbeck* długo nieznany, w ubó

stwie kształcący swe zdolności, dziś używa słusznéj sławy. Któż nie słyszał o wielkim jego obrazie: *Zdjęcie z krzyża Chrystusa*, gdzie gust staréj niemieckiéj szkoły, oczyszczony natchnieniem, wznosi się prawie do bozkości. Uczony *Szadów* przysposobił grono uczniów dziś w Dysseldorfie słynących. Ze szkoły téj wyszły talenta nie tylko w rodzinnéj ziemi cenione (*) Hrabia *Massini* we Włoszech wezwał do swojéj willi *Sznora*, *Owerbecka*, i *Kocha*, aby im fresko rozwinęli poemat Ariosta i Tassa, a wykonanie przewyższyło nawet jego nadzieje. Do nowych artystów żyjących w Dreznie należy Professor *Mathei* równie w portretach, jak w historycznych obrazach celujący, lubo w ostatnich, więcéj doskonałość rysunku, niż myśl i koloryt zajmują. *Vogel* ojciec, zmarły niedawno, odznaczył się w portretach naiwnością i uczuciem, syn jego jest dziś professorem malarstwa, i w hi-

---

(*) Przeczytaj wielkie dzieło hist. Raczyńskiego o sztukach w Niemczech.

storycznym oddziale należy do znakomitszych artystów. W Galeryi *Kwanta* można obeznać się z duchem tych nowych utworów. Najmocniéj mnie zajął obraz przedstawiający: *rozdawanie jałmużny* przez *Feihta*, plafon *Owerbecka* myśl wzięta z Tassa, Włoszka przez *Korneljusza*, szkic z historyi rzymskiéj przez *Pinelego*, śmiało i mistrzowsko grupowane, i wiele bardzo dobrych pejsażów.

Oprócz tego zbioru widziałam wiele dzieł artystów niemieckich, w prywatnych domach, lub odryte w *Kunst-Verein*. Wymienię tu przedmioty niektórych, gdyż zdają mi się uprzytomniać charakter myślącéj *Leibnitza i Kanta* ojczyzny.

Wnętrze mieszkania Fausta przez Bodego. Badacz siedzi przy stoliku pogrążony w zamyśleniu, w około widać globy, sfery, zwierciadła, szkła fizyczne, księgi porozrzucane na stole, szkielet ludzki stoi przy ścianie. Obraz ten wiele myśli nastręcza. Faust badał naturę tylko obser-

wacją, doświadczeniem, szczegóły mieszały jego umysł. Prawda wielka, jedna, wyraża się w przyrodzeniu, lecz w zjawiskach zewnętrznych, łamie się i krzyżuje.... Nauki fizyczne bogacą teoryą, lecz do poznania natury, nigdy nie doprowadzą... Jest wyższa umiejętność, ogarniająca całą wiedzę ludzką, stosunek Boga z naturą i człowiekiem, ona tłumaczy myśl stworzenia, razem serce i rozum zaspokaja. Empiryzm w napływie postrzeżeń traci z uwagi bezwzględną myśl Boga.... Szczegóły są chwilowe, zwodnicze, przemienne, dla tego Göte uzmysłowił w złym duchu mądrość Fausta..

Poemat ten, stokroć jeszcze głębsze myśli nastręcza niż sam autor rozumiał.... Obraz Bodego daje pole do ich rozwinięcia.... Bode posiada znaczną sławę w Niemczech, prawie zawsze bawi w Rzymie.

Widok *Campo-vacino* przez Hermana, gdzie poezja łączy się z wiernem przedstawieniem natury. Wśród ruin starego

Rzymu, pasą się krowy, kozy, na gruzach spoczywa młody pastuszek....

Powiewna blaszczu szata,
Boskie kształty oplata.
Ze stosu gruzów jakby z rozłamanéj trumny,
Jeszcze ku niebu dążycie społem
Dwie bliźnie kolumny.
Tam siostra wasza, sama stoi między groby;
Posępny mech nad waszém wywinął się czołem.
Patrzycie z uroczystéj wyrazem żałoby,
Na szanowne postacie waszych sióstr i braci,
Zwalone pod nogi,
Wbite do ziemi,
Między ciernie między głogi!
Wysmukła trawa powiewa nad niemi.

....

A ty człowieku
Między wspaniałe wyłomy
Przeszłego wieku,
Nikczemne domy
Stawisz sobie.
Używasz życia na grobie!

Hühnego pejzaże często widzieć można w Dreźnie, jest to młody malarz z prawdziwém natchnieniem. *Szuberta, rozdanie chleba przez Chrystusa*, duży obraz w duchu szkoły niemieckiéj. Zbawiciel smutny, pełen wzniesienia, zdaje się zbierać moc moralną, aby smiało władać materyą, aby z nicości byt wyprowadzić. Zdumienie i miłość ludu wzniośle oddane. Wielkie nauki Chrystusa, jego myśli boskie, prawodawcze, w których życie wieków było ukryte, te myśli długo na zimne serca padały; cud widoczny, dotykalny, przeciągnął w jednéj chwili na stronę nauczyciela całe zgromadzenie.

Widziałam także kilka utworów tkliwego *Fischbejna*. Jego rycerz umierający silne na mnie uczynił wrażenie Oparty o kamienny nagrobek siedzi blady na pobojowisku, jedną ręką jeszcze trzyma chorągiew, jeszcze przeszłość burzliwa mu droga. Słabe swiatło nocy oświeca trupy, wilk żarłoczny je konia zabitego, ułomki armat, kół, wozów, leżą rozsypane.

Rysunki *Schika* do *Gölego*, odznaczają się pojęciem myśli poety, i dobrą kompozycją. Ostatnia chwila Małgorzaty w więzieniu, kiedy odrzucając pomoc Fausta, przekłada śmierć nad występek, okropne czyni wrażenie. »Twoją jestem ojcze, ratuj mnie!" mówi nieszczęśliwa, potęga wiary zwycięża władze złego. Jéj biały ubiór, w rozrzucone włosy, postać blada, uprzytomniają walkę uczuć, które zwolna ustępują wyrzeczeniu się świata. Słaba istota, człowiek niezdoła oprzeć się namiętności, ale wiedza cnoty nie znika nigdy z jego serca; głos prawdy przeniknie nakoniec w śród gwaru burzliwych uczuć i chociaż w chwili konania, znękaną duszę oświeci!....

Historyczne obrazy K. Richtera są w stylu wzniosłym, kompozycya energiczna, myślącego artystę znamionująca. Widziałam jego *Agarę na puszczy*: nie ma tam tego ideału boskości, jaki włoskie cechuje utwory, lecz prawda w śmiałych i wielkich

przedstawia się rysach. Boleść matki, miłość dziecięcia, w wątłéj i wynędzniałéj postaci Agary, malują tryumf czucia nad życiem. Ten sam duch, odznacza wielki jego obraz: *Błogosławieństwo Jakóba potomkom Józefa dane.* Rozłożył on wyschłe ręce po nad głową klęczącego syna z dziećmi, wraz z myślą wzrok utonął w niebie — widzisz prawie, to niezgłębione i mistyczne współczucie, które wątłe dziecię ziemi z panem połącza, spoglądasz razem na człowieka i na jego wielkość, jego powołanie, a w tym człowieku widzisz postać wiekową co siłą cnoty, prorockiego przejrzenia, rozwija wychowawcze historyi koleje, na obszary świata....

Trzeci obraz Rychtera, jest *Chrystus ukazujący się uczniom.* Tu energja i śmiałość, właściwa przedmiotom ze starego testamentu, przechodzi w melancholiczne czucie i boskość Ewangelji... Tak właśnie ludzkością z pod surowéj opieki pierwszego prawa, przeszła pod władzę miłosierdzia

i miłości. Sty Tomasz dotyka ran Chrystusa, na wszystkich widzach, w rozmaitych ruchach maluje się zdziwienie. Sty Jan tylko, ukochany uczeń, nie dziwi się..... on sercem czuje przytomność *wiecznego słowa*; dla niego byt ducha jest widoczny, bo się w źródle miłości odbija......

Rodzina *Richterów*, wsławiona jest w Saxonii, pod względem malarstwa. Do niéj należał także znany w Warszawie professor Richter, pełen czucia i znajomości sztuki. Szczupłość majątku, przywiązanie do lubéj córki, zmuszając go do pracy nauczycielskiéj, niedozwoliło mu wykonać pomysłów, do jakich jego myśl była zdolną. Zaledwie cząstkę jego talentu poznaliśmy, a i w téj cząstce, jakaż biegłość, jakie przeniknienie się naturą!...

Widziałam także *sen Egmonda*, przez sławnego Rentscha, który w genjalnych rysunkach do Szyllera, zjednoczył się już w wspomnieniu rodaków z pamięcią wielkiego poety. *Egmond* spoczywa na łóżku,

wyraz jego twarzy, podniesienie ręki, zdradzają niespokojność i razem smętne marzenie. Sen ten usposobił artysta w anielskiéj postaci klary, która mu wieniec laurowy podaje.

Te kilka wspomnień estetycznych, niech zakończy wzmianka o obrazie mistycznego Frydryka, malarza Saskiego, którego wrażenie nigdy nie zniknie z méj pamięci. Na wyniosłéj skale, wśród posępnéj nocy, w dzikiéj okolicy, ślepy starzec z młodzieńcem przy dźwiękach lutni, nucą chwałę Pana. Ah! bo religia jest naturalnym śpiewem duszy człowieka, on czuje swój stosunek z Bogiem w najbardziéj osieroconéj pustyni. Religja nie jest wymysłem ludzkiém dla utrzymania porządku, człowiek nieśmiertelny i dla tego właśnie musi *wierzyć* w swoje boskie pochodzenie, musi karmić się duchowném wspomnieniem i przeczuciem, co stanowi przyrodzone żywioły religii.

Kilka słów o Teatrze Drezdeńskim.

Teatr drezdeński niepozorny i mały, lecz doskonałość aktorów i śpiewaków wynagradza tę niedogodność. Naród ten powolny, czuje cenę arcydzieł; aktor wié że na nim niejako spoczywa sława genjalnego poety, umie przejąć się duchem utworu. Niekiedy gra ich do takiego dochodzi stopnia iż sztuka zamienia się w realność, kilka godzin żyjesz jedném życiem, jedną nadzieją, jedném wzniesieniem z osobami sceny. Idealne pomysły *Götego*, *Szyllera*, przybierają formę żywą, prawdę wywołują współczucie widzów. Manjerność zarzucona Niemcom w towarzystwach nie daje się czuć w aktorach, owszem swoboda romantycznych utworów jest w harmonji z ich usposobieniem — Klassyczne sztuki więcéj mechanizmu od artysty scenicznego wymagały, dzisiejsze zostawiają wolne pole wzniesieniu i wyobraźni aktora. Słabe wyrazy namiętności burzliwych potrzebują oprawy w genjalnych ruchach i

postawie grających. Pod tym ostatnim względem niezmierne na mnie uczyniła wrażenie nowa rycerska dramma Grizelda i Genewra; pełna życia i natchnienia scena dzieje się w Anglii w XII wieku. Szlachetny rycerz na dworze Króla Artura ujęty cnotą, dobrocią młodéj wieśniaczki, bierze ją za żonę. Dumna Królowa Genewra i dwór jéj oburzają się na taką hańbę. Kiedy Perciwal pierwszy raz się ukazuje po ślubie, złośliwe ucinki Królowéj budzą w nim gwałtowne uczucie zemsty. Porównanie wzniosłości duszy jego małżonki, z nikczemnością próżnych wyobrażeń, napełnia jego duszę pogardą. Opowiada jak poznał tę lubą wiejską dziewicę, jak się dobroczynnemi jéj czyny zachwycił, jak słodkie pożycie domowe, miłość żony, wdzięki małego syna, stały się odtąd drogą ofiary przesądów nagrodą. Uczucia Perciwala może nie są właściwe wiekowi w którym go autor umieścił, lecz czyliż nie można przypuścić że w każdéj epoce czysty głos czucia z piersi człowieka mimo-

wolnie prawie się wyrywa? Ani szlachetność postępku, ani moc opisu Parciwala niewzruszają Genewry, w ówczas oburzenie jego do najwyższego dochodzi stopnia, gniewnemi wyrazy uchybia godności Królowéj. Król Artur rozkazuje mu na kolanach błagać przebaczenia małżonki: duma walczy w sercu rycerza.... Kiedy Genewra zawiesza wyrok. »Jeśli rzecze Grizelda dla uchronienia ciebie od śmierci (którą wola Króla na pozór ci zagraża) przystanie na oddanie posłom moim dziecięcia, jeśli dusza jéj tak jest wzniosłą aby dla szczęścia Parciwala, własne poświęcić mogła, jeśli wyrzecze się świetnego losu którego jéj zapewnił, jeśli w téj saméj ubogiéj odzieży opuści swój dom zamożny, posłuszna woli Króla od którego los twój zależy, jeśli moc jéj cnoty przewyższy matki boleść, wówczas dumna Genewra Anglii ukorzy się przed ubogą wieśniaczką; lecz jeśli się słabą pokaże, wstyd i poniżenie czekają ciebie Parciwal." Jest to tylko próba, chwilowe złudzenie, ale

jakże okropne dla nieszczęsnéj żony. Walka uczuć Perciwala mistrzowsko jest oddana jednym zgięciem kolan, jednym wyrazem pokory, oszczędziłby tyle łez, tyle cierpień małżonki. Ale w cóżby się obróciły jego godność, duma, honor? Duma, honor na jednéj szali z cierpieniem serca!.... ah! tu widać duszę męzczyzny, kobieta nawet takiego wachania nie jest zdolna pojąć.... Jakże nierównie wyższą jest walka Grizeldy, ona wybiera między utratą męża lub dziecięcia, okrutna ostateczność!.... W malowaniu stanu jéj duszy, poeta dosięgnął prawdziwéj szczytności, kiedy nakoniec w śród ostatniéj rozpaczy miłość żony zwycięża, kiedy w obłąkaniu prawie mówi do wzruszonych posłów królewskich »*so nehmt das Kind*" słychać tylko powszechny odgłos jęków w teatrze, sztuka przemienia się w prawdę, prawdę straszną którą czuje serce każdéj matki. Kiedy późniéj znów w skromnym wiejskim ubiorze, spokojna, chociaż blada heroiczna małżonka Perciwala przychodzi speł-

nić ostatni kielich goryczy, kiedy się żegna z drogim mężem pełna przywiązania i wdzięczności dla niego, w ówczas żal widzów ustępuje miejsca uwielbieniu. W niedoli tak jest wielką tak piękną że prawie chciałoby się dzielić z nią cierpienie które ją tak mocno nad ludzi wywyższa! Ona nie ma łez dla świetności, zbytków, przepychu które porzuca, ona w tym bogatym grodzie widzi Perciwala..... jego tylko płacze,.... spełniona ofiara..... Młoda Grizelda wraca samotnie do chatki biednego ojca. Tu znów piękny przedstawia się obraz. Starzec w łachmanach pogardza córką która go dla miłości możnego pana opuściła! posądza ją o dumę, chęć bogactw, kiedy czysta jéj dusza zbytkiem tylko miłości zgrzeszyła. Nieszczęsna istota upada pod ciężarem niedoli, ludzie ją opuścili. Bóg jéj tylko pozostał!

Lecz Genewra żąda jednéj jeszcze próby od Perciwala: wygnany na pozór od Króla, ścigany zewsząd, ogołocony z majątku

ucieka do tego lasku gdzie Grizelda wróciła. Ich spotkanie, radość cnotliwéj żony w najwyższych uprzytomnioną rysach. Perciwal mówi jéj o swym niebezpieczeństwie, Grizelda chroni go do chaty. W krótce przybywa dumna Genewra, na czele zbrojnych żołnierzy domaga się wydania mniemanego zbrodniarza, nakazuje nieszczęsnéj wskazać miejsce schronienia pod karą śmierci. Heroiczna niewiasta gotowa jest poświęcić życie dla zachowania tajemnicy. Na ten widok zachwycona wdziękami, poświęceniem Grizeldy, Genewra uznaje się zwyciężoną, zgina kolana przed nędznéj chaty dziedziczką.

Walka wzniosłych uczuć do ostatniego momentu jest utrzymaną. Ta czuła, ta wielka małżonka i matka, ta kochanka Perciwala, która go nad życie, nad syna przeniosła, kiedy się dowiaduje prawdy, kiedy słyszy że jedno słowo dumnego męża, ofiara pychy byłaby uchroniła ją od tylu cierpień, ta mówię dusza wielka i sil-

na w chwili heroizmu, gardzi teraz ręką okrutnego. Byłaby przyjęła nędze, ubóstwo, byłaby w ustroniu dzieliła się czarnym chleba kawałkiem z ukochanym mężem, lecz nie chce dziś na łonie bogactw żyć z człowiekiem który ceny łez matki, żony, kochanki nie rozumie. Drama ta w wierszach po raz pierwszy grana podczas naszéj bytności w Dreźnie, zyskała powszechny poklask znawców, serce moje widziało tam wierny obraz duszy człowieka.

Piękną i wielką jest tu natura ludzka kiedy ją w zapasach z nieszczęściem widziemy, w ówczas znika ogniwo łączące wielki szczegół, z mierną powszechnością, w ówczas Twórca przemawia w czynach słabego stworzenia. Do wrażenia téj sztuki nie mało zapewne przyłożyła się gra doskonałych artystów. Przedstawiający Perciwala zdawał się raczéj improwizatorem. Stosownie do uczuć cała jego dusza przelewała się w spójrzenie, mimikę, modulacyą głosu. Gra Panny Bauer przedstawiającéj bohaterkę, zdawała się wal.

czyć o wyższość z pomysłem autora. Bauer przypomniała mi bardzo naszą genialną Żuczkowskę, mniemam że w równie poetycznéj sztuce, nasza artystka nie okazałaby się niższą. W całym tym utworze młodego poety więcéj epicznéj wzniosłości, niż pierwiastku realnego, prawdy istotnéj która jest duszą dramy, dla tego może głębsza rozwaga wywoła ostrą krytykę, pierwsze jednak wrażenie zbyt było potężne aby dozwoliło sądzić swobodnie. Pod czas naszego pobytu, opery Belliniego nadzwyczajne budziły zajęcie. Był to jednak hołd wdzięczności cieniom geniuszu składany. O ileż opłakiwać potrzeba wczesnego zniknięcia młodego artysty, który wiosenne skronie tak trwałym wieńcem ozdobił. Bellini ma całą słodycz, pieściwość Rossiniego, lecz góruje nad nim, mocą rozwinięcia, pomysłów, bogactwem, energią natchnienia. Tryumfem jego jest *Norma*, Norma wielka epopeja muzyczna. Tu żadnego ustępu słabego, żadnego opuszczenia, wszędzie, jedna siła chociaż

urozmaicona stosownie do uczuć. Kto wie czy sama wzniosłość przedmiotu nie przyłożyła się wiele do natchnienia artysty. Mylne to jest zdanie żeby treść obojętną była dla kompozytora, ci tylko tak sądzić mogą, którzy w boskich odcieniach harmonji nie widzą ruchów myśli człowieka, co mówię ducha wieku! Talent wsławionéj śpiewaczki *Schröder Devriant* podwajał moc wrażenia jakie Norma budziła. Po pani Malibran i Paście trzyma ona pierwsze miéjsce w Europie, choć już nie młoda, choć dawno znana publiczności ciągle świeże otrzymuje oklaski, w przeszłym roku zachwycała Londyn. Nie jedna stolica pragnęłaby ją posiadać lecz ona kocha Saxonią i tam tylko prawdziwie miłe jéj są tryufmy. W każdéj operze równie jest zachwycającą, łączy ona bowiem do silnego i wyrobionego śpiewu doskonałą deklamacyą i ruchy przypominające klassyczne starożytnéj rzeźby postawy. Rzadko kiedy śpiewaczka jest dobrą aktorką, a o pani Dewriant trudno wyrzec

którą z tych dwóch zalet przeważa. Po Montechi i Capuletti, wspaniałéj Normie, tkliwych Paryżanach Belliniego, równie doskonałą wydała mi się Pani Dewriant. W skromnéj lecz pełnéj myśli operze Bethowena Fidelio wielki ten muzyk filozof jednę tylko w życiu napisał operę, nie ma zapewne wartości innych dzieł jego, lecz nosi wspólną cechę utworów Bethowena, rzewną melancholią, głębokie ducha dumania. Tam prawie widzisz namiętne i rozległe pomysły ślepego mistrza który duszę ognistą pod cichą i milczącą ukrywał powierzchownością. Po sztukach Belliniego Fidelio był dla mnie jakby powrotem po świetnéj pielgrzymce do rodzinnéj zagrody. Wyobraźnia lubo mnie zachwyca i unosi, raczéj zdziwienie już współczucia obudza. Przywykła do ciężkich badań, do głębokich w dziedzinie filozoficznéj zaciekań lubię bardziéj te trudne, myślące, poważne utwory niemieckie. Włoscy kompozytorowie tylko imaginacyą i czucie karmią, niemieccy niosą żywioł wszy-

stkim władzom ducha; wtorowany ich harmonią umysł tonie w dumaniach powyższych. Ze śpiewaków najdoskonalszy jest *Cezi* głos już nie młody lecz mocny i wyrobiony.

W tenczas także dawał się słyszéć po raz pierwszy publiczności Saskiéj młody wirtuoz *Döller*; talent, czucie, nauka, cechują grę jego na fortepianie, lecz geniuszu, natchnienia nie widziałam. Wykonywał Humla z nadzwyczajną biegłością, przechodził w ducha kompozycyi autora; oryginalne jego utwory zbyt mało zapału tak właściwego w młodości zdradzają.

E. Ziemęcka.

Tutaj jest szczęście prawdziwe.

Nieznajomy.

Powiedz mi piękna dziewczyno:
Gdzie tak szybkim dążysz krokiem,
Krętą, zarosłą drożyną,
W dżdżystą porę późnym zmrokiem?
A choć blade twoje czoło,

Choć zrzenice wilży łezka,
Przecięż zdajesz się wesołą;
Powiedz istoto niebieska
Jaki cel twojéj podróży?

Dziewczyna.

O! cel mój miły i błogi;
On mi wszystko dobre wróży,
Usuwa ciernia i głogi,
I obraz szczęścia wskazuje
Za którym wszyscy tak gonią.

Nieznajomy.

Jeśli tak, to ci winszuję,
Gdy go chwytasz twoją dłonią;
Ale przytém ciebie proszę,
Przez miłość bliźnim właściwą
Wskaż miéjsce gdzie są roskosze
Co cię uczynią szczęśliwą?
Gdzie jest to marzeń siedlisko?

Dziewczyna.

Ja cię wnet panie zawiodę,
Bo od nas dosyć już blisko;
Wszakże nasze lata młode
Szybkiego lotu użyczą....
I w téj chwili, jéj wéjrzenie
Choć z oznaką tajemniczą,
Zdradziło duszy cierpienie.
Lecz znowu nadziei promień
Na jéj bladém błysnął czole;
W oku odżył życia płomnień,
I rączo biegła przez pole,
Daléj przez łąki, doliny,
Przez pagórki, po nad lasem;
W piersiach zmęczonéj dziewczyny
Dech się tylko wstrzymał czasem;
Czasem na Anielskie lica
Pot wystąpił w perle rosy,
Łzą zabłysnęła źrenica,
Gdy wiatr z czoła zdmuchnął włosy.

To znów, kryjąc rozrzewnienie
Usta w uśmiech przystroiła,
Niekiedy tonąc w marzenie,
Ponurą piosnkę nóciła.
Już wiele drogi ubiegli,
Bo biegli blisko godzinę,
Nakoniec smentarz postrzegli;
Na nim, zieloną darninę,
I groby swieżo sypane;
Nad niemi krzyże, kamienie,
Ręką żalu zapisane;
Zgasłéj przeszłości wspomnienie!
A krzyż jeden, nad mogiłą
Nieco wyżéj wznosił czoło;
Wiele kwiatów go zdobiło,
Co wieńczyły grób w około.
Na nim rosła darń zielona,
Nie wiem, czy rosą perlistą,
Czyli też łzami skropiona,
Czy kryniczną wodą czystą. ...
Długo, długo wzrok dziewicy
Był zwrócony ku mogile;
Nagle, pędem błyskawicy,
W niepodobnéj sobie sile,

Poskoczyła jakby strzała,
I stanęła... a łza w oku
Smutnym blaskiem zajaśniała,
Już nie sama, lecz w potoku
Na jéj blade spadła lica;
A na piersi spadła głowa;
Zwolna wzniosła ją dziewica,
Jakaś spokojność grobowa
W jéj twarzy była rozlana.
W krzyż złożyła śnieżne dłonie,
I drżące zgięła kolana,
A w bijącém z lekka łonie
Znać było życia ostatek.
O! jak patrzéć jest boleśnie,
Kiedy pierwszy wiosny kwiatek
Więdnie i znika zawcześnie!....
Dziewica jękła głęboko,
Modły na ustach ostygły,
Wzniosła jeszcze w niebo oko,
Raz w nim jeszcze łezki migły,
Raz ostatni;... bo ramiony
Krzyż do piersi przycisnęła,
I wzmocniła głos stłumiony,
Jéj twarz rumieńcem spłonęła,

I jakby z niebios natchniona
»Boże zbaw mnie" zawołała;
Ale nazbyt wysilona
Padła na grób, i skonała.

Nieznajomy stał z daleka,
Na grób podniósł oko tkliwe,
I zawołał: „dla człowieka,
Tutaj jest szczęście prawdziwe!"

Józefa P ......a



DWOJAKIE SZCZĘŚCIE.

Gdy czasem wspomnę na wiek dziecinny
Co mi uleciał tak mile,
Dziwię się czemu stan mój tak inny,
Tak różny w obecną chwilę.

Bo dawniéj żyłam w domu rodziców
Szczęśliwe, wesołe dziecię,
Cały mój smutek w smutku ich liców,
Oni mi wszystkiem na świecie.

Bo jeszcze w tedy nie znałam świata,
Nieznałam obłudy ludzi,
Ani jak boli urojeń strata,
Ani jak szczęście nas łudzi.

Wtedy me serce niedoświadczone
Bóg dobry wspierał chwilami;
Dziś by już tylko szczęście stracone
Można odzyskać cnotami.

Bo dwa nam szczęścia nadały nieba;
Pierwszém, niewinność jest złota,
Ale drugiego nabywać trzeba,
A jego imieniem, cnota.

J. Rodziszewska.

MŁODA AUTORKA.

Wyobraźnia kobiety szczególniéj w młodym wieku nadzwyczaj jest silną; karmi ją ona miłemi dumaniami, tworzy tysiące urojonych nadziei, które nigdy ziszczone bydź nie mogą, a przynajmniéj żadnéj nie przyniosą korzyści, lecz owszem mogą stać się przyczyną gorzkich umartwień, a czasem całe zatruć życie.

Za przykład zbytniego oddania się urojeniom wyobraźni, posłużyć może Wanda, młoda i jedyna córka majętnych rodziców. Otrzymała ona wychowanie stosowne do

majątku i znaczenia swego ojca, a obdarzona niepospolitą zdatnością wielkie czyniła postępy w każdéj gałęzi wykształcenia.

Dumna z nauk zdobiących jéj umysł, ceniła je wyżéj niż majątek którym ją przeznaczenie bez jéj zasług i przyłożenia się obdarzyło, lecz sądząc że tyle już posiada wiadomości iż ich drugim udzielić może, powtarzała często że chce ich użyć ku powszechnemu pożytkowi, i jako najstosowniejszy ku temu środek, obrała zawód autorki.

Zapomniała że jedynym zawodem kobiety jest ciche, domowe życie; że czasem tylko wolno jéj myślą za jego zakres wybiegać, lecz nigdy go zupełnie z oka spuszczać nie powinna; Wanda mówię, zapomniała że była młodą nadobną dziewicą, zaniedbała miłéj swéj powierzchowności, w mniemaniu iż autorka nie powinna się tak błahym zajmować przedmiotem. Najmilszém jéj zajęciem było odczytywanie biografii sławnych kobiet, rozmyślała jakby się do nich zbliżyć, zarzuciła zabawy

i rozrywki wiekowi swemu właściwe, a natomiast oddała się ciągłéj, poważnéj, naukowéj pracy.

Skutki tego szkodliwego urojenia ukazały się w krótce w całéj postaci Wandy; znikła jéj żywość i wesołość, zbladły świeże lica, pogodne czoło zmarszczkami się pokryło; sen i pokój odbiegły od niéj, a niespokojność i udręczenie miejsce ich zajęły, bo Wanda lubo na wiek swój wiele posiadała wiadomości, czuła z każdą chwilą jak trudno jéj będzie dopiąć swego celu, i odznaczyć się w zawodzie literackim; widziała że można czuć głęboko, myśléć jasno, a jednak nie bydź w stanie wylania na papier tych myśli i uczuć. Wszelako nie ustawała w raz powziętym zamiarze; mimo prożb i przekładań rodziców, pracowała z natężoną pilnością, w nadziei że owoc téj pracy, cały świat zadziwi, a jednając jéj nieśmiertelną sławę, nagrodzi odniesione trudy i nadwerężane zdrowie.

Po długich usiłowaniach, udało się nakoniec Wandzie wykończyć małe dziełko,

które lubo wielkich nie miało zalet, jednakże z uniesieniem zostało przyjętém w gronie jéj rodziny i znajomych. Młoda autorka upojona tak pomyślnym skutkiem, kazała dzieło swoje drukować, w nadziei że powszechne hołdy i uwielbienie pozyska; lecz niestety! innem okiem patrzą przyjaciele na owoc pracy szesnastoletniéj dziewicy, innćm zaś zimna, rozsądna, bezstronna krytyka.

Mąż znany z światła i nauki, uznał dzieło Wandy godném ścisłego rozbioru; przyznał autorce wiele zdolności, wskazał wiele pięknych ustępów, lecz razem wytknął błędy, których liczba przeważyła zalety. Zdanie to ogłoszone publicznie, i podzielane przez większą część czytelników, uderzyło boleśnie Wandę; zamiast korzystania z przestrogi, zamiast dalszego ćwiczenia się w pismiennictwie, opuściła je ze wstrętem; zraziła się przykrą choć sprawiedliwą nauką, uczuła że nie ma ani sił, ani powołania do tego zawodu, i przestała pisać.

Kilka lat spoczynku wróciły jéj nadwątloną czerstwość, lecz prawdziwa spokojność nie wróciła nigdy; nie raz zastanawiając się nad przeszłością, ze wstydem myślała, iż z tak niedostateczném dziełem wystąpiła przed sąd publiczności; nie raz też, lubo rzadko, przychodziło jéj na myśl, czy to czasem nie duch stronnictwa, lub niechęć wiodła piórem krytyka? czy ona w saméj rzeczy nie posiada wyższych zdolnosci? i czyby ich jeszcze okazać nie mogła? Wkrótce jednakże zwyciężała tę pokusę, i powtarzała sobie, że kobieta chcąca żyć spokojnie i szczęśliwie, za sławą ubiegać się nie powinna; i jeżeli myśli swoich drugim udzielać pragnie, niechaj tego nie czyni w chęci zjednania pochwał, i zyskania uwielbienia.

*Franciszka Z**

KWIAT WSPOMNIENIA.

Jakież to dziewic zebrane koło?
Każda z nich świeży kwiatek ma w dłoni,
Jasny blask szczęścia ozdabia czoło,
Jak świeża róża lice się płoni,
I wszystkie do mnie biegą z pośpiechem;
Lekkie ich stopy zefir unosi,
A każda z wdziękiem, z lubym uśmiechem,
Bym przyjął od niéj kwiateczek, prosi.

1sza Dziewica.

O! zbliż się, zbliż się młodzieńcze,
Spójrz na te listki zielone:
Gdy ci w nie czoło uwieńczę,
Twe imię będzie wsławione,
Twa chwała wieki przeżyje!
O przyim te listki zielone
Niech ci w nie czoło okryję.
Przyjmij ten laur młodzieńcze!

Młodzieniec.

Gdym dziecinne kończył lata,
Z tłumu nowych wrażeń drżący,
Rzucał się w ten odmęt świata;
Wtenczas, umysł młody wrzący
Marzył o podobnym kwiecie.
Lecz ileż cierni do koła,
Za nim go zerwać kto zdoła,
Wprzód chytra zawiść wéń wplecie.....
O! już ja gardzę tym kwiatem.

2ga Dziewica.

Na mój kwiat spójrzyj młodzianie;
On jest piękniéjszy nad inne;
Wszyscy go pragną ziemianie.
Patrz, barwę jak ma niewinnę,
Ten kwiatek pełen lubości.
A te różowe zawoje
Nie zachwycąż serce twoje?
Nie sąż to godła miłości?....

Młodzieniec.

Co miłości!... były chwile
Lube, drogie, i namiętne;
Dziś już zgasłe, lecz pamiętne;
Kiedy w całéj uczuć sile
Jam ją żywił w mojéj duszy!
Lecz gdy w łono jad wpuściła,
Memi łzami się karmiła;
Odtąd nigdy mnie nie wzruszy.
Precz mi z tym kwiatem miłości!

3cia Dziewica.

O! prawda, prawda młodzianie:
Chwała, miłość zwodne mary,
Niepodobna dadź im wiary.
I kiedy znikną cóż nam zostanie
Oprócz przyjaźni jedynéj ?...
Ona boleśne rany zagaja,
Ona nam słodzi życia godziny,
Nowém uczuciem serce upaja,
Uczuciem tkliwém, czystém, bez skazy
Choć nie tak wrzącém choć więcéj cichem.
Ona to szczęścia tworzy obrazy.
Bo w każdéj chwili, z lubym uśmiechém
Niesie nam błogie pociechy słowa.
I kiedy sława, miłość przeminie,
Ona to sama, ona jedynie
Swiętéj nam wiary dochowa.
O! proszę ciebie, spójrzyj ziemianie
Na ten kwiateczek nieduży.
Jemu wdzięk skromny dali niebianie;
On stokroć milszy od róży.

Choć nie jaśnieje blaskiem jak ona,
Nie tak rumieńcem się płoni,
Modra główeczka w trawce schylona,
Lecz ileż cudnéj ma woni!
Nie gardź młodzieńcze maleńkim kwiatkiem,
Co dłonie niosą ci moje;
On ślicznéj wiosny pierwszym zadatkiem,
I on umili dni twoje.

Młodzieniec.

To on jest mówisz, godłem przyjaźni?
O piękny, piękny zaiste.
Jam jego barwy lube choć mgliste,
Nieraz ożywiał w méj wyobraźni;
Jam się nim szczerze, tak szczerze cieszył!
I gdy mnie inne odbiegły kwiaty
Jam z tkliwém sercem do niego śpieszył,
Wnim nowe szczęścia budował światy.
Chciałem go wszczepić do głębi łona
Z nim razem całe przepędzić życie.
Lecz jak nadzieja moja zwiedzona!
Marzyłem błędnie jak małe dziecię.

O gorzkie! gorzkie wspomnienie!.....
Ten kwiatek uwiądł tak wcześnie.
Dziś go tak widzę jak we śnie.
Ah! długo moje westchnienie
Biegło za nim bez nadziei.
Ten co miał wspierać me siły,
Towarzyszyć do mogiły
Zniknął wśród świata kolei.
O niechcę kwiata przyjaźni!

4ta Dziewica,

Wszystko to kwiaty zwodnicze
Co siostry moje ci niosą.
Mój kwiatek przyjąć ja życzę:
Patrz, łzawą skropiony rosą,
A jaki blask ma uroczy;
Cały w purpurę odziany,
Jak władca tronu przybrany.
O! zwróć na niego twe oczy,
Przypatrz się tylko świeżości
I nie gardź, nie gardź tym kwiatem.
On to jest godłem wierności,

On cię pogodzi ze światem,
Posępne dni twe umili,
Zawsze, zawsze będzie z tobą
Będzie w każdéj życia chwili.
Ty się pożegnasz z żałobą
Przy drogim kwiatku wierności

Młodzieniec.

Co wierności? znam cię kwiatku!
I tyś mnie odbiegł z innemi!
Przedtem uczuć moich świadku,
Czemuż cię łzami mojémi
Niemogłem późniéj powrócić?
Bo czyż przyjaźń, miłość, chwała
Takby prędko uleciała,
Gdybyś ty nie chciał mnie rzucić?
O! nie chcę wierności kwiata,
On tak zwodniczy jak inne.
Już nie żądam nic od świata,
Niechaj swe cacka dziecinne
Dla drugich szaleńców chowa.

Spełzły roskoszy obrazy,
Choć serce miałem bez skazy;
Dziś, życia mego osnowa
Nie ma złotych nitek w sobie.
Nienawidzę całą ziemię,
Obce dla mnie ludzkie plemię.
Pragnę rychło spocząć w grobie,
Więc nie potrzeba mi kwiatów.

Wszystkie Dziewice.

O przyjmij, przyjmij młodzianie,
Z rąk naszych wieniec spleciony,
Droższy nad świata korony,
Niech na twém czole zostanie.
A odtąd dni twe wesoło,
Lekko, błogo niech ci biegą,
Niech cię nasze kwiaty strzegą,
Jakby rajskie uciech koło!

Młodzieniec.

Ja gardzę waszemi dary;
Bo pośród całego świata

Ni jednego niema kwiata,
Ni jednéj niema ofiary
Bym ją siebie uznał godną.
Lecz czemuż? piękne dziewice!
Widzę waszą rówiennicę,
Z twarzą mniéj jak wy swobodną?
Smutnie ku ziemi pogląda,
Czasem oko wzniesie mile,
I na mnie zatrzyma chwile.
Czyż czego odemnie żąda?....

5ta Dziewica.

Spójrzyj młodzieńcze, tu na méj skroni,
Maleńki kwiatek spoczywa:
Ale mogęż ci nieść go lękliwa
Gdy nie ma blasku i woni?
Gdy nie jest godłem sławy, miłości,
Co młody umysł zapala;
Ani przyjaźni, ani wierności,
Co szczęście bardziéj utrwala.
Lecz tylko zbiegłe chwile jedyne,

Rozkoszy uciech powraca,
I przeszłość w każdéj stawia godzinie
Nią smutki, troski obecne skraca;
Duszę zatapia w lube marzenia,
Które już czasu ręka zmazała.
O jeśli prośba nie jest za śmiała!
Przyjmij ten kwiatek wspomnienia

Młodzieniec milczał, po chwili dłonie,
Obie wyciągnął z pośpiechem,
Ze łzą czułości, z szczęścia uśmiechem
Kwiatek położył na łonie.

Józefa P.......a



LISTA
PRENUMERATORÓW.

	Exempl.
Armińska Teofila	1.
Aszperger Aniela	1.
Bogatko Elizabeta	1.
Bącewicz Amelja	1.
Brzozowska Laura	1.
Brokowska Julia	1.
Biernacka Emilja	1.
Biernacka Fryderyka	1.
Bystrzonowska Marja z Giżyckich . .	1.

Exempl.

Bauman Petronella . . . . 1.
Berksohn Helena . . . . 1.
Bielewicz Eufrozyna . . . . 1.
Berska Bronisława . . . . 1.
Bełza Józef Mag. Fil. Czł. Rad. Lek.
Professor . . . . 1.
Bieńkowski Sylwester Urz. K. S. W. 1.
Bogucki Jan . . . . 1.
Bądarzewski Kom. P. W. . . . . 1.
Bruder Urz. B. P. . . . . 1.
Bętkowski . . . . 1.
Borzewski Antoni Kamerjunkier . . . 1.
Brandszteter Ludwika . . . . 1.
Bagniewski Adam Naczel. Wydz. B. P. 1.
Bichniewicz Adam . . . . 1.
Brzozowski Seweryn . . . . 1.
Czartkowski Henryk . . . . 2.
Czaplicki Antoni Sędzia do szcz: por,
K. R. S. . . . . 1.
Chęciński Mecenas . . . . 1.
Chrzanowski Ignacy Urz. K. R. P. i S. 1.
Daszkiewicz Józefa . . . . 1.
Domańska Anna . . . . 1.

Exempl.

Dylczyńska Emilja . . . . , 1.
Dichtwald Magdalena . . . . 1.
Dypner Teressa . . . . 1.
Dzieżkowski Grzegorz Urzęd. K. R. S. 1.
Dmuszewski Ludwik Dyrektor Teatrów Warszawskich . . . . . . 1.
Dukiet Antoni . . . . 1.
Dąbrowski Adam Exp. Najw. Izb. Obr. 1.
Duczyński Jerzy Radca Honorowy . . 1.
Dobrotoki Adj. P. W. . . . . 1.
Dobrzyński Franciszek obyw. . . . . 1.
Dubrowa Teodor Buchalter Gł. Pr. K. 1.

Elżanowska Xawera . . . . 1.
Elżanowski Seweryn . . . . 1.
Faust Alexander . . . . 1.

Grabowska Emilja . . . . 1.
Garbolewska Marjanna . . . . 1.
G. B...r . . . . 1.
Gnatowski Franciszek Sekr. B. P. . . 1.
Głębocki Józef Assessor . . . . 1.
Gawroński Wincenty U. B. P. . . . . . 1.
Gąsiorowski Franciszek . . . . 1.

Exempl.

Heylman August S. Ap. . . . . 1.
Herman Adolf Dominik . . . . 1.
Henszel Alexander Radca Honor: . . 1.
Hrepaczewski Teofil . . . . 1.
Hachurski Wojciech . . . . 1.
H. Z. . . . . 1.
Janicki Paweł Rach. Naj. Izb. Obr. . . 1.
Jenike Ludwik . . . . 1.
Jaquemart Romuald . . . . 1.
Joachimowski Jan Kom. P. W. . . . . 1.
Jakowenko Urz. Prow. Kom. . . . . . 1.
Janikowski Godfrid Ur. B. P. . . . . . 1.
Jamiołkowski Piotr . . . . 1.
Janczewski Leonard . . . . 1.
Kicka Natalia Generałowa . . . . . . 2.
Kropiwnicka Izabella . . . . 1.
Kołucka Emilja . . . . 1.
Kolnarska Melanja . . . . 1.
Knoff Marjanna . . . . 1.
Karśnicka Weronika . . . . 1.
Kwiecińska Julja . . . . 1.
Kruszewska Anna z Gebhartów . . . 1.
Kamiński Otton . . . . 1.

Exempl.

Kleczkowski Adam . . . . 1.
Kwieciński Wincenty U. B. P. . . . . . 1.
Korwell Karol . . . . 1.
Kossakowski Jan Kanty Urz. K. R. S. 1.
Kamiński Józef Podpr. S. K. G. M. i K. 1.
Koisiewicz Mecenas . . . . 1.
Kamiński Jan . . . . 1.

Lewocka Katarzyna . . . . 1.
L..... Anna . . . . 1.
Lapierre Jan Naczelnik Wydz. w Kanc. Przyb. D. Gł. K. R. P i S. . . 1.
Lebisz Naczelnik Biura Policyi . . . 1.
Lisowski Ludwik Pomocnik Kontrollera G. R. K. . . . . 1.
Lippert Apolinary . . . . 1.

Łabęcki Hieronim Urz. B. P. . . . . 1.
Łuszczewska Nina . . . . 1.

Moraczewska Konstacja . . . . 1.
Merzbach Justyna . . . . 1.
Milde Petronella . . . . 1.
Majewski Wincenty Patron T. C. I. In. G. M. . . . . 1.

Exempl.

Małachowski Hrabia . . . . 3.
Markowski Ludwik Sekr. Jen. D. G. P. 1.
Malhomme Ludwik . . . . 1.
Malhomme Henryk . . . . 1.
Miecznikowski Ignacy . . . . 1.
Mejnert Józef U. M. . . . . 1.
Michałowski Kazimierz . . . . 1.
Medwiediew Główny Insp. Mag. War. 2.
Mittaur Członek Kommis. . . . . 2.
Malewicz Głów. Insp. Ma. Pło. i Aug. Gubernji . . . . 2.
Miłkowski Antoni Ur. B. P. . . . . . . 1.
Miłobędzki Leon Urz. B. P. . . . . . 1.
Mejlert Wilhelm . . . . 1.

Nowicka Apolonja . . . . 1.
Nendzyński Alexy Mag. Nauk i Sztuk Pięknych, Professor . . . . . . 1.
Niewiarowski J. Urz. K. R. S. W. D. i O. P. . . . . 1.
Niedziecki Franciszek . . . . 1.
Niedziałkowski Adwokat . . . . 1.
Naralski Mikołaj . . . . 1.

Exempl.

Ornowski Józef Ref. K. R. S. Rad. K. T. K. 1.
Onyszkiewicz Urzęd. P. Kom. . . . . . 1.
Onyszkiewicz Józef Jacyna Pom. Pods. 1.
Piwnicka Radcz. Stanu . . . . 1.
Prusiecka Józefa . . . . 1.
Pawłowska Antonina . . . . 1.
Pawłowska Julja . . . . 1.
Pajerska Agnieszka . . . . 1.
Plewczyńska Teofila . . . . 1.
Piotrowska Karolina . . . . 1.
Płończyńska Alexandra . . . . 1.
Pawłowska Amelja . . . . 1.
Pietrusiński Ludwik Obr. Prok. Jen.
Radca Kons. Ewang. . . . . 2.
Potocki Konstanty Sędzia Trybunału
C. I. Inst. G. M. Rad. K. T. K. . 1.
Poklękowski Józef Assessor Trybuna-
łu C. I. Inst. G. M. . . . . . . 1.
Popielewski Franciszek Assessor P. J. 1.
Pągowski Michał Mag. Fil. . . . . . . 1.
Pisulewski Szymon Mag. Fil. Nau. Gim. 1.
Paszkowski Józef Inspektor Kur. dodat. 1.
Puc Alexander Sek. B. P. . . . . 1.

Exempl.

Perkowski Kom. P. W. . . . . 1.
Ptaszyński Jan . . . . 1.

Rurawska Józefa . . . . 1.
Radwańska Zofia . . . . 1.
Ragazzi Dominika . . . . 1.
Rybicki Teofil Mag. Fil. Pcofessor . 1.
Radomski Sekretarz . . . . 3.
Radziszewski Franc. Szef K. R. S. . . 1.
Radomski Michał Urz. K. R. S. W. D.
i O. P. . . . . 1.
Rejnhard Karól V. J. R. L. . . . . . 1.
Rychłowski August . . . . 1.

Szańkowska Anna . . . . 1.
Samojłowicz Julja . . . . , . . 1.
Swierczyńska Aniela . . . . 1.
Semadini Marja . . . . 1.
Sumiński Antoni Hrabia Czł. R. St. . 1.
Sierociński Teodozy Professor . . . . 1.
Szwajnic Mag. Nauk i Szt. Pięku. . . 1.
Stopczański Gustaw . . . . 1.
Szczepański Józef . . . . 1.
Szabrański Antoni Urz. K R. S. . . . 1.

Exempl.

Szafrański Szymon . . . . 1.
Sewerynowski Jan . . . . 1.
Schabram Andrzéj X. P. . . . . 1.
Szateński Antoni Radca P. . . . . . 1.
Sadoński J. . . . . 1.
Stolpe Edward . . . . 1.
Słomkowski Jan Urz. K. R. P. i S. . . 1.

Topczewska Wiktorja . . . . 1.
Trompeter Ludwika . . . . 1.
Trepka Jan . . . . 1.
Tołajewski Ref. K. R. S. W. D. i O. P. 1.

Vorbrodt Karol . . . . 1.
Vorbrodt Joanna . . . . 1.

Wojciechowska Józefa . . . . 1.
Wambach Bibijanna . . . . 1.
Wozniakowska Józefa . . . . 1.
Wołowski Jan Kanty Mecenas . . . . 1.
Wosiński Teodor Radca Prok. Jen. . 1.
Winogradzki Kommissyonier . . . . 1.
Wodyński Radca Kolleg. . . . . . . 1.

Zeidler Karolina . . . . 1.
Zieliński Tomasz Kom. P. W. . . . 1.

Zieliński Marcelli . . . . 1.
Zmijewski Franciszek Kom. P. W. . 3.
Zagrabiński Tomasz z K. P. W. . . . 1.
Żołędź Cezar. Czł. Kom. Bud. . . . 1.

SPIS RZECZY

PODŁUG IMION AUTOREK.

POEZYA.

Stronnica.

Stronnica.

PROZA.

Exemplarze, nie opatrzone moim podpisem, prawnie poszukiwane będą.

V. Fleck lithg.